Manipulują, kłamią, wykorzystują.
Mogą nimi być szef, złośliwa koleżanka z pracy, irytujący sąsiad,
a nawet twój partner.

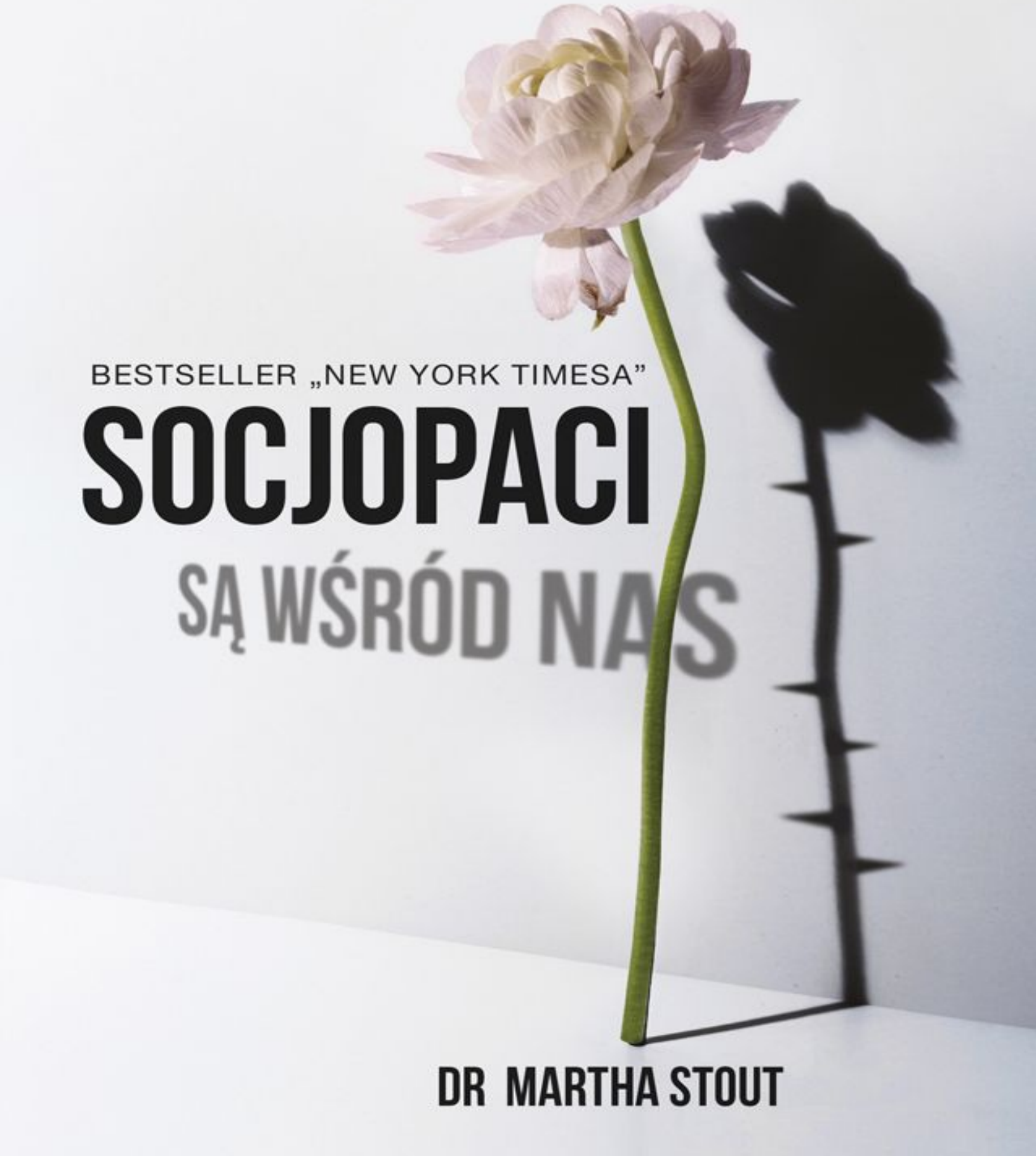

BESTSELLER „NEW YORK TIMESA"

SOCJOPACI

SĄ WŚRÓD NAS

DR MARTHA STOUT

DR MARTHA STOUT

SOCJOPACI SĄ WŚRÓD NAS

Ludzie bez sumienia
kontra reszta świata

tłumaczenie
Rafał Śmietana

znak litera nova
Kraków 2017

Dla Steve'a Stouta,
mojego brata i pierwszej osoby, która przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o sile charakteru

Sumienie narodu jest jego siłą.
JOHN DRYDEN

PODZIĘKOWANIA

Pasjonujące zajęcie, jakim jest pisanie książki, rzadziej przypomina tworzenie czegoś oryginalnego, a częściej pośredniczenie – za pomocą palców i klawiatury – w przekazywaniu nauk i inspiracji pochodzących od niezliczonej liczby innych ludzi: mądrych przyjaciół poznawanych przez całe życie oraz nauczycieli ukrywających się pod postaciami studentów, pacjentów i kolegów. Żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie i podziękować im wszystkim, korzystam więc z nadarzającej się sposobności wyrażenia wdzięczności tym, którzy najbardziej mi pomagali i wspierali mnie przez cały rok w pracy nad tą książką.

Dziękuję Carol Kauffman za jej uwagi, za legendarną kreatywność w rozwiązywaniu problemów oraz za to, że jej zainteresowanie nie osłabło nawet wówczas, gdy była zajęta pisaniem własnej książki *Pivot Points*.

Ta książka nie powstałaby bez niesamowitego zaangażowania mojej agentki i drogiej przyjaciółki Susan Lee Cohen – niewyczerpanej oazy wdzięku, zrozumienia i serdeczności pośrodku rozległej pustyni.

Gdybym chciała wymyślić najwspanialszego wydawcę na świecie, z pewnością nie dorastałby do pięt Kristine Puopolo z Broadway Books. Dziękuję jej za inteligencję, dokładność oraz za niespotykaną umiejętność przekonywania do swoich racji, zawsze bez choćby cienia nachalności.

Dziękuję Diane Wemyss za troskę, zdolności organizacyjne oraz za podsunięcie mi jednego z opisywanych tutaj przypadków, a także Elizabeth Haymaker za jej bezgraniczny urok.

Dziękuję Steve’owi Stoutowi i Darcy’emu Wakefieldowi za to, że pozwolili mi znów uwierzyć w miłość.

Raz jeszcze – i nieustająco – dziękuję moim wyjątkowym rodzicom – Evie Deaton Stout oraz Adrianowi Phillipowi Stoutowi – za to, że pokazali mi, jak wiele miłości i światła potrafi dać światu dwoje ludzi obdarzonych wyjątkowym sumieniem.

Pełna podziwu i miłości wykraczającej ponad wszelkie wcześniejsze wyobrażenia, chciałabym podziękować mojej córce Amandzie, pierwszej i najbardziej wnikliwej czytelniczce tej książki. Oprócz wielu innych rzeczy nauczyła mnie, że w parze z duszą idą uprzejmość i prawość.

OD AUTORKI

W tej książce zawarłam wiele opisów postaci. Najważniejszą zasadą obowiązującą w psychoterapii jest poufność, dlatego jak zwykle dołożyłam wszelkich starań, by ochronić prywatność prawdziwych osób. Wszystkie imiona i nazwiska są fikcyjne, a cechy charakteru, które mogłyby umożliwić identyfikację kogokolwiek, zostały zmienione. Niektóre osoby pojawiające się w książce wyraziły zgodę na sporządzenie swojego anonimowego portretu. W tych przypadkach również nie podałam żadnych szczegółów mogących w jakikolwiek sposób ujawnić ich tożsamość.

Historia przedstawiona w rozdziale zatytułowanym *Dzień świstaka* jest fikcyjna. Wszelkie pozostałe postaci, wydarzenia i rozmowy przytoczone w książce zaczerpnęłam ze swojej dwudziestopięcioletniej praktyki psychologa. Ze względu jednak na wyżej wspomniane zobowiązanie do zachowania poufności poszczególne studia przypadków i opisy wydarzeń opierają się na kompilacjach, innymi słowy, każdy przypadek łączy w sobie cechy i przeżycia wielu ludzi. Po starannej modyfikacji szczegółów ponownie składałam te cechy i przeżycia w postaci, które następnie wykorzystałam do zilustrowania interesujących mnie zjawisk. Wszelkie podobieństwo powstałych w ten sposób fikcyjnych tworów do rzeczywistych osób jest całkowicie przypadkowe.

WSTĘP

WYOBRAŹCIE SOBIE

Umysły różnią się od siebie nawet bardziej niż twarze.
VOLTAIRE

Wyobraźcie sobie, jeżeli potraficie, że nie macie sumienia, choćby jego najmniejszej cząstki, żadnego poczucia winy ani żalu bez względu na to, co robicie. Wyobraźcie sobie, że nie obchodzi was los nieznajomych, przyjaciół, a nawet członków rodziny. Wyobraźcie sobie, że przez całe życie nie musicie się borykać ze wstydem, niezależnie od tego, jak bardzo krzywdzicie innych swoim egoizmem, niemoralnym postępowaniem lub lenistwem. I udajcie, że pojęcie odpowiedzialności rozumiecie wyłącznie jako ciężar, który inni, niczym łatwowierni głupcy, biorą na siebie bez pytania. A teraz dodajcie do tej dziwnej mieszanki umiejętność ukrywania przed innymi prawdziwych cech waszego charakteru. Bardzo niewielu ludzi nie ma sumienia, więc kamuflaż nie wymaga od was prawie żadnego wysiłku. Ani poczucie winy, ani wstyd nie powstrzymują was przed spełnianiem wszelkich swoich zachcianek. Nikt nigdy nie wyraził dezaprobaty dla waszej bezwzględności. Zupełny brak empatii jest tak przedziwnym zjawiskiem, tak daleko wykracza poza osobiste doświadczenie innych ludzi, że rzadko choćby próbują się domyślić, jacy jesteście naprawdę.

Innymi słowy, jesteście całkowicie wolni od wewnętrznych ograniczeń. Nieskrępowana swoboda robienia tego, co chcecie, bez wyrzutów sumienia pozostaje niewidoczna dla świata, co bardzo wam odpowiada. *Możecie zrobić absolutnie wszystko*, mimo to wasza osobliwa przewaga nad większością ludzi ograniczonych sumieniem najprawdopodobniej pozostanie nieodkryta.

Jak się potoczy wasze życie? Jak wykorzystacie swoją ogromną, sekretną przewagę oraz odpowiadającą jej ułomność (czyli sumienie) u innych osób? Odpowiedź w dużym stopniu zależy od waszych pragnień, ponieważ ludzie nie są tacy sami. Nawet ci całkowicie pozbawieni skrupułów różnią się od siebie. Część z nas – bez względu na to, czy mamy sumienie, czy nie – rozkoszuje się bezczynnością, podczas gdy inni pragną realizować swoje szalone marzenia i ambicje. Niektórzy bywają błyskotliwi i utalentowani, inni nierozgarnięci, a większość, z sumieniem czy bez, plasuje się gdzieś pośrodku. Są ludzie agresywni i są ludzie dobroduszni. Jedni pałają żądzą krwi, podczas gdy inni zachowują się bardziej powściągliwie.

Może pragniecie pieniędzy, wpływów i chociaż zupełnie brak wam sumienia, to jednak możecie się pochwalić wysokim IQ. Wasza przebojowa natura wraz z możliwościami intelektualnymi umożliwia wam osiągnięcie celów, jakie sobie stawiacie. Zupełnie nie doskwiera wam dręczący głos sumienia, który innych powstrzymuje przed zrobieniem dosłownie

wszystkiego, czego wymagałoby odniesienie sukcesu. Z całej gamy profesji dających wam władzę nad innymi ludźmi wybieracie biznes, politykę, prawo, bankowość, rozwój międzynarodowy lub inną specjalność. Robicie karierę z chłodnym zacięciem, nie zwracając uwagi na moralne ani prawne przeszkody. Kiedy wam to na rękę, fałszujecie księgi rachunkowe i pozbywacie się dowodów, knujecie za plecami pracowników i klientów (lub wyborców), wchodzicie w związki dla pieniędzy, z premedytacją okłamujecie ufających wam ludzi, niszczycie silnych lub elokwentnych kolegów lub po prostu roznosicie w pył osoby zależne od innych bądź pozbawione prawa głosu. I robicie to wszystko z niekłamaną swobodą wynikającą z braku sumienia.

Odnosicie niewyobrażalne, niepodważalne, a może nawet globalne sukcesy. Dlaczego nie? Intelekt pozbawiony ograniczeń nakładanych przez sumienie pozwala wam zrobić dosłownie wszystko.

Albo inaczej – załóżmy, że ta charakterystyka nie do końca do was pasuje. Owszem, macie ambicję i dla kariery zrobicie najróżniejsze rzeczy, o których ludzie mający sumienie nigdy by nie pomyśleli, ale nie dysponujecie wybitnym intelektem. Być może natura obdarzyła was inteligencją powyżej przeciętnej i ludzie uważają was za bystrych, może nawet za bardzo bystrych. Ale w głębi serca wiecie, że brak wam umiejętności i kreatywności pozwalających osiągnąć niebotyczne szczyty władzy, o których po cichu marzycie. Właśnie dlatego żywicie urazę do całego świata i zazdrościcie otaczającym was ludziom.

Jeżeli ten opis odnosi się do was, uwiliście sobie komfortowe gniazdko w jednej lub kilku niszach umożliwiających wam komenderowanie niewielkimi grupami ludzi. To częściowo zaspokaja wasze pragnienie dominacji, chociaż ciągle drażni was fakt, że wasze wpływy nie sięgają dalej. To irytujące, że można być do tego stopnia nieograniczonym przez głupi wewnętrzny głos, powstrzymujący innych przed sięgnięciem po wielką władzę, a jednocześnie nie dysponować talentem wystarczającym do samodzielnego odniesienia ostatecznego sukcesu. Czasami popadacie w ponurą zadumę, kiedy indziej we wściekłość wywołaną frustracją, której przyczyn nie rozumie nikt oprócz was.

Czerpiecie jednak przyjemność z pracy pozwalającej na sprawowanie niezbyt ściśle nadzorowanej kontroli nad kilkoma osobami lub małymi grupami, najlepiej względnie bezsilnymi i bezbronnymi. Jesteście nauczycielami lub psychoterapeutami, adwokatami specjalizującymi się w prawie rozwodowym lub uczycie wuefu w szkole średniej. Być może pracujecie jako konsultanci, maklerzy, właściciele galerii lub dyrektorzy do spraw zasobów ludzkich. A może nie macie płatnej posady i zamiast tego przewodniczycie wspólnotom mieszkańców, udzielacie się w szpitalach jako wolontariusze albo jesteście rodzicami? Bez względu na to, czym się zajmujecie, manipulujecie podległymi sobie ludźmi. Tyranizujecie ich tak często i tak dotkliwie, jak tylko się da, gdyż nie grozi wam za to zwolnienie z pracy ani pociągnięcie do odpowiedzialności. Postępujecie tak dla zasady, nawet jeśli nie służy to żadnemu innemu celowi poza tym, że sprawia wam frajdę. Ludzie reagują na was nerwowo, co oznacza, że macie władzę – albo tak się wam wydaje. Zastraszanie innych daje wam też zastrzyk adrenaliny. A to z kolei oznacza dobrą zabawę.

Zapewne nie było wam dane zostać dyrektorem generalnym międzynarodowej korporacji, ale potraficie wzbudzić strach w garstce osób, spowodować, że będą gonić w piętkę jak opętane, okradacie je lub – i to chyba sprawia wam największą przyjemność – stwarzacie sytuacje wprawiające je w podły nastrój. Właśnie to oznacza dla was władzę, zwłaszcza gdy

manipulujecie ludźmi górującymi nad wami pod takim czy innym względem. Gnębienie tych, którzy są bystrzejsi lub osiągnęli więcej od was, mają większą klasę, są bardziej atrakcyjni, lubiani lub godni podziwu pod względem moralnym, daje wam największy zastrzyk energii. To nie tylko dobra zabawa, lecz także egzystencjalna zemsta. Ludziom bez sumienia przychodzi to z zaskakującą łatwością. Bez chwili zastanowienia okłamujecie waszego szefa i jego szefa, ronicie krokodyle łzy, sabotujecie projekty kolegi z pracy lub znęcacie się psychicznie nad pacjentem (albo dzieckiem), kusicie obietnicami lub podajecie kłamliwe informacje, zwłaszcza wtedy, gdy wiecie, że nikt nie dojdzie do ich źródła.

A może macie skłonności do przemocy lub lubicie się przyglądać aktom agresji? Możecie ot tak zamordować swojego współpracownika, albo zlecić jego zabójstwo. Jesteście gotowi zgotować taki sam los szefowi, eksmałżonkowi, współmałżonce majętnego kochanka – każdemu, kto wam przeszkadza. Musicie uważać, ponieważ jeśli powinie się wam noga, zostaniecie złapani i ukarani przez system. Sumienie jednak nigdy nie oskarży was o nic, ponieważ go nie macie. Jeśli zdecydujecie się kogoś zabić, napotkacie wyłącznie trudności natury zewnętrznej. W waszym wypadku nie zaprotestuje żaden głos wewnętrzny.

Możecie zrobić absolutnie wszystko, o ile nie zostaniecie powstrzymani siłą. Jeżeli urodziliście się we właściwym czasie i macie dostęp choćby do cząstki rodzinnej fortuny, a do tego przejawiacie wyjątkowy talent do podsycania nienawiści i poczucia niesprawiedliwości, możecie doprowadzić do śmierci wielu Bogu ducha winnych ludzi. Dysponując wystarczającą ilością pieniędzy, możecie to zrobić na odległość i przyglądać się wszystkiemu z zadowoleniem. Prawdę mówiąc, terroryzm (uprawiany na odległość) to idealne zajęcie dla kogoś, kto pała żądzą krwi i nie ma sumienia, ponieważ jeżeli się postaracie, możecie wzbudzić strach w całych narodach. A jeżeli to nie jest władza, to co nią jest?

Teraz wyobraźmy sobie odwrotną skrajność: nie interesuje was władza. Wprost przeciwnie, jesteście osobami, którym niewiele się chce. Tak naprawdę chcecie tylko przetrwać, nie wysilając się zbytnio. Nie chce się wam pracować tak jak innym ludziom. Bez wyrzutów sumienia drzemiecie, oddajecie się swoim hobby, oglądacie telewizję lub całymi dniami snujecie się bez celu. Żyjąc nieco na obrzeżach społeczeństwa, wspomagani datkami krewnych i przyjaciół, możecie tak egzystować bez końca. Za waszymi plecami ludzie zapewne nazwą was nieudacznikami, ofiarami losu, a nawet będą podejrzewać was o depresję, a gdy wpadną w złość, będą narzekać na wasze próżniactwo. Kiedy poznają was lepiej i wpadną w prawdziwą wściekłość, nawrzeszczą na was i nazwą ofiarą losu i darmozjadem. Nigdy jednak nie przyjdzie im do głowy, że tak naprawdę nie macie sumienia i wasz umysł działa zasadniczo odmiennie od ich umysłów.

Wzbudzające panikę wyrzuty sumienia nigdy nie chwytają was za serce ani nie budzą w środku nocy. Mimo takiego stylu życia nie macie poczucia, że zachowujecie się nieodpowiedzialnie lub zaniedbujecie swoje obowiązki. Nie czujecie nawet najmniejszego skrępowania, chociaż dla zachowania pozorów czasami udajecie zakłopotanie. Na przykład jeżeli jesteście dobrymi obserwatorami ludzi i wiecie, co wzbudza ich negatywne reakcje, możecie przybrać apatyczny wyraz twarzy, przyznać, że wstydzicie się za siebie, i wyjawić, jak bardzo wam to doskwiera. Lepiej, by ludzie podejrzewali u was depresję, niż gdyby nieustannym krzykiem mieli nakłaniać was do znalezienia pracy.

Zauważacie, że ludzie mający sumienie czują się winni, gdy strofują kogoś, kto ich zdaniem „cierpi na depresję” lub „przeżywa trudności”. Co więcej, często czują się zobowiązani otoczyć

kogoś takiego opieką, co oznacza jeszcze większą korzyść dla was. Jeżeli mimo względnego niedostatku udaje się wam nawiązać z kimś relację seksualną, to osoby niepodejrzewające, jacy naprawdę jesteście, mogą odczuwać szczególną presję. A skoro zależy wam tylko na tym, by nie pracować, wasz sponsor wcale nie musi być bardzo bogaty – wystarczy, by postępował zgodnie z nakazem sumienia.

Mam nadzieję, że gdy czytaliście powyższy opis, przebiegł was dreszcz – opisywani przeze mnie ludzie są nie tylko szaleni, lecz także niebezpieczni. Ludzie mający wyżej opisane cechy charakteru istnieją naprawdę. Naukowcy nadali im nawet nazwę. Wielu specjalistów zajmujących się kwestiami zdrowia psychicznego określa posiadanie sumienia w ograniczonym stopniu lub jego brak jako „osobowość antyspołeczną". Według aktualnych szacunków to nieuleczalne zaburzenie charakteru występuje u około 4 procent populacji, czyli u jednej na 25 osób[1]. Brak sumienia nosi również inne nazwy, najczęściej stosowane to socjopatia i trochę bardziej znana psychopatia[2]. Niewystępowanie poczucia winy jest w rzeczywistości pierwszym rozpoznanym w psychiatrii zaburzeniem osobowości, w ciągu minionego stulecia zwanym niekiedy manią bez delirium, psychopatycznym poczuciem niższości, obłędem moralnym lub imbecylizmem moralnym.

Według czwartego wydania biblii psychiatrii – *Diagnostycznego i statystycznego podręcznika zaburzeń umysłowych* Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego[3] – rozpoznanie kliniczne „osobowości antyspołecznej" sugeruje występowanie u badanej osoby przynajmniej trzech spośród następujących siedmiu cech: (1) niezdolność do przestrzegania norm społecznych; (2) nieuczciwość, skłonność do manipulacji; (3) impulsywność, nieumiejętność planowania przyszłości; (4) drażliwość, agresja; (5) lekkomyślne nieposzanowanie bezpieczeństwa własnego i innych; (6) konsekwentna (ciągła) nieodpowiedzialność; (7) brak wyrzutów sumienia po zranieniu kogoś, znęcaniu się nad kimś lub okradzeniu kogoś. Innymi słowy, jeżeli u kogoś występują łącznie trzy „objawy" z wymienionej listy, psychiatrzy mogą rozpoznać u niego osobowość antyspołeczną.

Inni badacze i klinicyści, spośród których wielu uważa, że zaproponowana przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne definicja osobowości antyspołecznej lepiej opisuje zwykłą „przestępczość" niż prawdziwą „psychopatię" lub „socjopatię", wskazują na dodatkową udokumentowaną cechę socjopatów jako grupy[4]. Dość często obserwuje się u nich nieodparty, choć powierzchowny urok pozwalający im dosłownie i w przenośni uwodzić innych. Otaczająca prawdziwego socjopatę aura lub charyzma sprawia, że początkowo wydaje się on bardziej czarujący lub interesujący niż większość zwykłych ludzi. Socjopata jest bardziej spontaniczny, bardziej intrygujący, w pewnym sensie ma bardziej „złożoną" osobowość, bywa seksowniejszy, a także zabawniejszy od innych. Niekiedy „charyzmie socjopaty" towarzyszy wygórowane poczucie własnej wartości, które początkowo może wydać się atrakcyjne, lecz przy bliższym poznaniu sprawia wrażenie dziwacznej, a nawet śmiesznej zarozumiałości. („Pewnego dnia świat się przekona, jaki jestem niezwykły" lub „Wiesz, że po mnie żaden inny kochanek cię nie zadowoli").

Ponadto socjopaci w większym stopniu niż inni poszukują podniet, co skutkuje częstym podejmowaniem ryzyka w wymiarach społecznym, fizycznym, finansowym i prawnym. W typowy dla siebie sposób oczarowują innych, przekonując do współuczestnictwa w niebezpiecznych przedsięwzięciach. Jako grupa są znani z patologicznej skłonności do kłamstwa, do oszustw oraz z pasożytniczych relacji z „przyjaciółmi". Bez względu na

wykształcenie i pozycję społeczną osiągniętą w dorosłym życiu, w młodości sprawiali zazwyczaj problemy wychowawcze, niekiedy przyjmowali narkotyki lub popełniali przestępstwa, czemu zawsze towarzyszyła odmowa wzięcia odpowiedzialności za spowodowane przez siebie problemy.

Socjopaci są znani zwłaszcza z płytkich uczuć, z powierzchownej i przelotnej natury wszelkich przejawów rzekomo odczuwanej przez siebie serdeczności oraz z szokującej bezduszności[5]. Nie ma w nich ani krzty empatii, żadnego szczerego pragnienia podtrzymywania emocjonalnych więzi z partnerem. Gdy znika powierzchowny urok, ich małżeństwa okazują się pozbawione miłości, jednostronne i prawie zawsze krótkotrwałe. Socjopata uznaje żonę (lub męża) za swoją własność, której utrata może wzbudzić w nim (niej) złość, lecz nigdy nie wywoła smutku ani poczucia winy. Współmałżonek przedstawia więc dla socjopaty jakąkolwiek wartość tylko jako rekwizyt.

Wszystkie te cechy wraz z listą „objawów" socjopatii sformułowaną przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne stanowią behawioralne przejawy tego, co większość z nas uznaje za niepojęte zaburzenie psychiczne: brak bardzo istotnego siódmego zmysłu, czyli sumienia.

Ta groźna, budząca lęk, a jednak prawdziwa cecha charakteru występuje u 4 procent populacji.

Co w rzeczywistości oznacza ten odsetek dla społeczeństwa? Za punkt odniesienia niech posłuży nam garść danych statystycznych dotyczących schorzeń, o których częściej słyszymy. Zapadalność na zaburzenie odżywiania zwane anoreksją szacuje się na 3,43 procent, co uznaje się prawie za epidemię, chociaż w populacji ogólnej występuje ono nieco rzadziej niż osobowość antyspołeczna. Najbardziej znany zespół zaburzeń psychicznych noszący nazwę schizofrenii rozpoznaje się zaledwie u co setnej osoby, a więc czterokrotnie rzadziej niż osobowość antyspołeczną. Amerykańska Agencja do spraw Kontroli i Zapobiegania Chorobom (Centers for Disease Control and Prevention) szacuje zapadalność na raka jelita grubego w USA na czterdzieści przypadków na sto tysięcy osób. Uznaje się to za niepokojąco wysoki poziom, choć liczba rozpoznawanych przypadków tej choroby jest sto razy niższa niż liczba ludzi z osobowością antyspołeczną. Krótko mówiąc, jest wśród nas więcej socjopatów niż ludzi cierpiących na powszechnie znaną anoreksję, czterokrotnie więcej niż schizofreników oraz sto razy więcej niż osób, u których wykryto tak poważną chorobę jak nowotwór jelita grubego.

Jako terapeutka specjalizuję się w leczeniu ofiar urazów psychicznych. Przez ostatnich dwadzieścia pięć lat miałam w swojej praktyce do czynienia z setkami dorosłych, którzy codziennie, przez całe życie odczuwali psychiczny ból wywołany molestowaniem w dzieciństwie lub innym traumatycznym doświadczeniem z przeszłości. Jak wspomniałam w studium przypadku zatytułowanym *The Myth of Sanity*[6] (Zdrowie psychiczne to mit), moi pacjenci cierpią na liczne dolegliwości, na przykład przewlekłe stany lękowe, paraliżującą depresję oraz zaburzenia psychiczne. Wielu z nich trafiło do mnie po próbach samobójczych podjętych w przeświadczeniu, że ich życie stało się nie do zniesienia. Niektórzy z nich doznali traumy pod wpływem katastrof naturalnych, takich jak trzęsienia ziemi, lub spowodowanych przez człowieka, takich jak wojny, większość z nich znajdowała się jednak pod niszczącym wpływem konkretnych sprawców, często socjopatów, niekiedy nieznajomych, lecz częściej rodziców, starszych krewnych lub rodzeństwa. Kiedy pomagałam moim pacjentom i ich rodzinom uporać się z wyrządzoną im krzywdą i analizowałam historię ich życia, przekonałam się, że szkody wyrządzone przez socjopatów żyjących wśród nas są głębokie i trwałe,

zaskakująco powszechne i często kończą się tragicznie. Pracując z setkami ofiar traumatycznych przeżyć, nabrałam przekonania, że otwarte i bezpośrednie opowiedzenie o faktach związanych z tym zjawiskiem jest dla nas wszystkich naglącą kwestią.

Mniej więcej jedna na dwadzieścia pięć osób jest socjopatą, czyli osobą bez sumienia. Nie chodzi o to, że socjopata nie potrafi uchwycić różnicy między dobrem i złem, lecz o to, że ta różnica zupełnie nie wpływa na jego zachowanie. Intelektualna świadomość tej różnicy nie uruchamia emocjonalnych syren, błyskających kogutów ani lęku przed Bogiem, jak to się dzieje u pozostałych ludzi. *Jedna na dwadzieścia pięć osób może zrobić absolutnie wszystko* bez najmniejszego poczucia winy czy wyrzutów sumienia.

Duży odsetek socjopatów w społeczeństwie wywiera olbrzymi wpływ na resztę ludzi żyjących na tej planecie, nawet na tych, u których nie wystąpiły kliniczne objawy traumy. Cztery procent socjopatów niszczy nasze związki, opróżnia nasze konta, deprecjonuje nasze osiągnięcia, obniża poczucie własnej wartości, a nawet zagraża pokojowi na świecie. A jednak, o dziwo, wielu ludzi nie ma pojęcia o tym zaburzeniu, a jeżeli coś o nim słyszeli, traktują je wyłącznie w kategoriach brutalnej psychopatii. Za jej ucieleśnienie uznają zbrodniarzy, seryjnych zabójców i masowych morderców, czyli ludzi wielokrotnie łamiących prawo w zwracający uwagę sposób, ludzi, których po ujęciu nasz wymiar sprawiedliwości zamknie w więzieniu lub nawet skaże na śmierć. Zazwyczaj nie zdajemy sobie sprawy z istnienia jeszcze większej liczby nieagresywnych socjopatów, więc nie potrafimy zidentyfikować ich w naszym otoczeniu. Często nie łamią oni prawa w rażący sposób, dlatego nasz oficjalny system prawny zapewnia nam znikomą ochronę przed nimi.

Większość z nas nie dopatrzyłaby się związku między planowaniem czystek etnicznych i – powiedzmy – podsuwaniem szefowi kłamstw na temat kolegi z pracy bez najmniejszego poczucia winy. Lecz z psychologicznego punktu widzenia takie podobieństwo nie tylko istnieje, lecz wręcz mrozi krew w żyłach. Ten głęboki związek polega na braku wewnętrznego mechanizmu, który, mówiąc językiem emocji, alarmuje nas, gdy dokonujemy wyboru postrzeganego jako niemoralny, nieetyczny, samolubny lub świadczący o zaniedbaniu. Prawie każdy z nas czuje się trochę winny, kiedy zje w kuchni ostatni kawałek ciasta, nie wspominając o tym, co czulibyśmy, gdybyśmy celowo i metodycznie zadawali ból innej osobie. Ludzie pozbawieni tego wewnętrznego głosu ostrzegawczego należą do jednej grupy bez względu na to, czy są niebezpiecznymi tyranami, czy też tylko nieproszeni wtrącają się do prowadzonych przez nas rozmów.

Obecność lub nieobecność sumienia wytycza głęboką linię podziału wśród ludzi, przypuszczalnie wyraźniejszą niż inteligencja, rasa, a nawet płeć. Tym, co odróżnia socjopatę żerującego na cudzej pracy od kogoś, kto sporadycznie okrada całodobowe sklepy spożywcze, lub od współczesnego wyzyskiwacza – a także tym, co odróżnia zwykłego zbira od socjopatycznego mordercy – jest po prostu status społeczny, zapał, intelekt, żądza krwi bądź po prostu sposobność. Wszystkie te osoby różnią się od nas całkowitą pustką w psychice tam, gdzie powinien się znajdować najbardziej rozwinięty spośród wszystkich zmysłów świadczących o naszym człowieczeństwie.

Dla mniej więcej 96 procent z nas sumienie stanowi kwestię tak fundamentalną, że rzadko nawet uświadamiamy sobie jego istnienie. Przeważnie działa ono na zasadzie odruchu. Jeżeli stajemy w obliczu nadmiernej pokusy (co na szczęście zazwyczaj nie zdarza się na co dzień), nigdy nie roztrząsamy każdej kwestii moralnej, z którą mamy do czynienia. Nie zadajemy sobie

na serio pytania: Czy mam dziś dać dziecku pieniądze na lunch, czy nie? Czy mam ukraść teczkę koleżance? Czy mam rzucić żonę? Sumienie podejmuje za nas te decyzje tak cicho, automatycznie i nieustannie, że nawet w najbardziej kreatywnych popisach naszej wyobraźni nie potrafilibyśmy wymyślić bytu pozbawionego tego wewnętrznego głosu. Dlatego zupełnie naturalnie, kiedy ktoś podejmuje decyzję naprawdę świadczącą o braku sumienia, potrafimy tylko szukać usprawiedliwień niemających nic wspólnego z prawdą. Zapomniała dać dziecku pieniądze na lunch. Jej koleżanka musiała gdzieś zostawić teczkę. Z jego żoną nie dało się wytrzymać. Niekiedy wymyślamy również epitety, które, pod warunkiem że nie jesteśmy nadmiernie wnikliwi, z grubsza tłumaczą antyspołeczne zachowania innych ludzi: to typ „ekscentryczny", „artystyczny", jest „naprawdę ambitny", „leniwy", „głupi", albo „zawsze było z niego niezłe ziółko".

Nie licząc oglądanych co pewien czas w telewizji potworów o psychopatycznych skłonnościach, których czyny są zbyt odrażające, by można je było usprawiedliwić, ludzie pozbawieni sumienia prawie zawsze pozostają dla nas niezauważalni. Żywo interesujemy się inteligencją własną i innych ludzi. Nawet najmłodsze dziecko potrafi odróżnić dziewczynkę od chłopca. Toczymy wojny na tle rasowym. Tkwimy jednak w błogiej nieświadomości co do prawdopodobnie najistotniejszej cechy wytyczającej linię podziału między ludźmi: obecności lub nieobecności sumienia.

Niezależnie od poziomu wykształcenia bardzo niewielu ludzi zna sens słowa „socjopata". W jeszcze mniejszym stopniu są oni świadomi, że termin ten można zasadnie zastosować w odniesieniu do niektórych osób z ich otoczenia. Brak sumienia wykracza poza wyobraźnię większości spośród nas. Prawda jest taka, że trudno podać przykład innego doznania w równym stopniu wymykającego się empatii. Potrafimy wyobrazić sobie zupełną ślepotę, kliniczną depresję, głębokie upośledzenie poznawcze, wygraną na loterii i tysiące innych skrajnych przypadków składających się na ludzkie doświadczenie, nie wykluczając psychozy. Wszyscy błądziliśmy kiedyś w ciemnościach. Wszyscy doświadczyliśmy obniżenia nastroju. Wszyscy przynajmniej raz lub dwa czuliśmy się głupio. Wszyscy mamy w głowie listę rzeczy, które zrobilibyśmy w razie niespodziewanego przypływu gotówki. A kiedy śpimy, nasze myśli i senne wizje bywają zupełnie szalone.

Ale żeby *zupełnie* się nie przejmować wpływem naszych poczynań na społeczeństwo, przyjaciół, rodzinę i na nasze *dzieci*? Jak by to, u licha, wyglądało? Co byśmy ze sobą zrobili? Czy we śnie, czy na jawie, nie docierają do nas żadne sygnały. Socjopatii najbliżej chyba do dotkliwego fizycznego cierpienia paraliżującego na jakiś czas naszą zdolność do racjonalnego myślenia i postępowania. Nawet ból nie zagłusza jednak wyrzutów sumienia. Zupełny brak poczucia winy wykracza poza naszą wyobraźnię.

Sumienie jest naszym wszystkowiedzącym i wymagającym przełożonym. Ustala zasady postępowania i gdy je łamiemy, wymierza nam kary o charakterze emocjonalnym. Nie prosiliśmy o nie, ono po prostu jest, działa nieprzerwanie jak skóra, serce i płuca. W pewnym sensie jego obecność wcale nie jest naszą zasługą. A jednak nie potrafimy sobie wyobrazić, jak czulibyśmy się bez niego.

Brak poczucia winy jest także wyjątkowo mylący jako termin medyczny. W odróżnieniu od choroby nowotworowej, anoreksji, schizofrenii, depresji, a nawet innych „zaburzeń osobowości", na przykład narcyzmu, socjopatia wydaje się mieć aspekt moralny. Socjopatów niemal zawsze postrzegamy jako osoby złe lub diaboliczne. Tak czynią nawet (a może

zwłaszcza) specjaliści w dziedzinie zdrowia psychicznego, a w literaturze przedmiotu pacjentów z tej grupy przeważnie określa się jako moralnie odrażających i budzących przerażenie.

Robert Hare[7], profesor psychologii na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej, opracował listę kontrolną cech psychopatii (Psychopathy Checklist), zatwierdzoną jako standardowy instrument diagnostyczny dla naukowców i lekarzy klinicznych na całym świecie. Jako bezstronny naukowiec tak pisze o swoich podopiecznych: „Potrafią nabrać, zmanipulować, oszukać i wprawić w zdumienie każdego, nawet specjalistę. Dobry psychopata potrafi zagrać koncert na uczuciach każdego człowieka (…) Najlepszą obroną jest zrozumieć naturę tych drapieżników w skórze człowieka”[8]. Hervey Cleckley, autor wydanej w 1941 roku klasycznej publikacji *The Mask of Sanity* (Maska normalności), dodaje do wizerunku psychopaty następujące spostrzeżenia: „Piękno i brzydota, chyba że w bardzo powierzchownym sensie, dobro, zło, miłość, okropność i poczucie humoru nie mają faktycznego znaczenia, żadnej mocy zdolnej go poruszyć”[9].

Nietrudno znaleźć argumenty przemawiające za stwierdzeniami, że „socjopatia”, „antyspołeczne zaburzenie osobowości” i „psychopatia” to niewłaściwe określenia, odzwierciedlające mieszaninę idei o zmiennym składzie, oraz że zaliczanie braku sumienia do chorób psychicznych tak naprawdę nie ma sensu. Wszystkie inne choroby psychiczne (z narcyzmem włącznie) przysparzają bólu, a nawet udręki dotkniętym nimi osobom. Socjopatia jako „choroba” stanowi wyjątek: nie wywołuje żadnych dolegliwości u dotkniętego nią człowieka, nie powoduje subiektywnie odczuwanego dyskomfortu. Socjopaci często bywają bardzo zadowoleni z siebie i z życia, może właśnie dlatego nie dysponujemy żadną skuteczną „kuracją”. Zgłaszają się na terapię zazwyczaj tylko skierowani przez sąd lub gdy spodziewają się korzyści z odgrywania roli pacjenta. Chęć pozbycia się tej przypadłości rzadko stanowi prawdziwy motyw ich działania. W związku z tym nasuwa się pytanie: czy brak sumienia jest zaburzeniem psychicznym, terminem prawnym, czy też kategorią należącą do zupełnie innego porządku?

Pojęcie socjopatii jest wyjątkowe także dlatego, że potrafi wzbudzić irytację nawet doświadczonych profesjonalistów. Niebezpiecznie zbliża się ono do tego, co rozumiemy pod pojęciem duszy, dobra i zła, co tylko potęguje trudności z jego klarowną analizą. Jak każdy problem postrzegany z perspektywy „oni kontra my” odnosi się do skomplikowanych kwestii o charakterze naukowym, etycznym i politycznym. Jak naukowo badać zjawisko, które wydaje się do pewnego stopnia powiązane z etyką? Kto zasługuje na naszą specjalistyczną profesjonalną pomoc i wsparcie: „pacjenci” czy ci, którzy muszą z nimi wytrzymywać? Skoro badania psychiatryczne pozwalają „diagnozować” socjopatię, kogo powinniśmy badać? Czy w wolnych społeczeństwach w ogóle kogokolwiek winno się poddawać takim badaniom? A jeżeli u kogoś jednoznacznie rozpoznano socjopatię, jak – jeżeli w ogóle – społeczeństwo mogłoby wykorzystać tę informację? Żadna inna diagnoza nie wiąże się z tak wieloma pytaniami niewłaściwymi z politycznego i medycznego punktu widzenia. Socjopatię powiązaną z całym spektrum zachowań – od pobicia żony i gwałtu przez seryjne morderstwa do podżegania do wojny – w pewnym sensie można uznać za ostatnią i najbardziej przerażającą granicę psychologiczną[10].

Najbardziej niepokojące pytania dotyczące tego zjawiska rzadko zadaje się choćby szeptem: czy możemy z całą pewnością stwierdzić, że socjopatia nie przysparza korzyści osobie nią dotkniętej? Czy socjopatia to choroba, czy raczej zaburzenie o charakterze czynnościowym?

Niepewność po drugiej stronie medalu również wywołuje dyskomfort: czy *sumienie* działa na poziomie jednostek, czy grup? Kto właściwie ma sumienie? Czy, jak sugerują niektórzy socjopaci, sumienie jest po prostu psychologiczną klatką dla mas? Bez względu na to, czy mówimy o tym głośno, czy nie, tego rodzaju niewypowiedziane wątpliwości odgrywają bardzo ważną rolę w świecie, w którym na przestrzeni tysięcy lat aż do chwili obecnej największą sławę zyskują ci, którzy potrafią postępować niemoralnie na odpowiednio dużą skalę. W dzisiejszej kulturze wykorzystywanie innych stało się niemal modne. Na przykład światem biznesu wydaje się rządzić zasada: im mniej skrupułów, tym więcej pieniędzy. Większość z nas może przytoczyć przykłady zaczerpnięte z własnego życia, w których górą jest osoba pozbawiona zahamowań, podczas gdy uczciwi wychodzą na głupców.

Czy kłamstwo ma krótkie nogi, czy też mimo wszystko życzliwość nie popłaca? Czy bezwstydna mniejszość naprawdę posiądzie ziemię?

Te pytania odzwierciedlają myśl przewodnią tej książki, która zaświtała mi w głowie tuż po zamachach z 11 września 2001 roku. Przysporzyły one cierpienia wszystkim ludziom obdarzonym sumieniem, a niektórych doprowadziły wręcz do rozpaczy. Właściwie jestem optymistką, ale wówczas wraz z kilkoma innymi psychologami i badaczami natury ludzkiej obawiałam się, że moja ojczyzna i wiele innych krajów zaangażują się w przepojone nienawiścią konflikty i mściwe wojny, które pochłoną nas na wiele lat. Gdy tylko próbowałam odpocząć lub zasnąć, w moje myśli wkradał się wers apokaliptycznej piosenki sprzed trzydziestu lat: „A roześmiany szatan rozpościera skrzydła”[11]. W mojej wyobraźni szatanem zanoszącym się cynicznym śmiechem i szybującym na skrzydłach nad zgliszczami nie był terrorysta, lecz demoniczny manipulator wykorzystujący działania terrorystów do rozniecenia nienawiści na całym świecie.

Zainteresowałam się kwestią socjopatii i sumienia podczas rozmowy telefonicznej z kolegą, dobrym człowiekiem, zazwyczaj tryskającym optymizmem i energią. Podobnie jak reszta świata w tamtych dniach czuł się oszołomiony i zniechęcony. Rozmawialiśmy o naszym wspólnym pacjencie, którego skłonności samobójcze niepokojąco się nasiliły, najwidoczniej pod wpływem straszliwych wydarzeń w USA (z ulgą donoszę, że od tamtego czasu stan chorego znacznie się poprawił). Kolega wyznał mi, że dokuczały mu wyrzuty sumienia, ponieważ sam był wewnętrznie rozdarty i obawiał się, że nie będzie mógł przekazać pacjentowi zwykłej dawki pozytywnej energii emocjonalnej. Ten niezwykle troskliwy i odpowiedzialny terapeuta, przytłoczony wydarzeniami, obawiał się, że postąpi niesumiennie. Gdy tak osądzał samego siebie, przerwał, westchnął i odezwał się znużonym, tak do niego niepodobnym głosem:

– Wiesz, czasami się zastanawiam, po co nam sumienie. To przez nie zaliczamy się do drużyny, która zawsze przegrywa.

Jego słowa zaskoczyły mnie przede wszystkim dlatego, że ta cyniczna uwaga zupełnie nie pasowała do człowieka zazwyczaj bardzo pozytywnie nastawionego do świata. Po chwili odpowiedziałam mu pytaniem:

– W takim razie powiedz mi, Bernie, gdybyś mógł wybierać, gdybyś rzeczywiście mógł podjąć taką decyzję, co jest oczywiście niemożliwe, wolałbyś mieć sumienie takie jak teraz czy być socjopatą zdolnym do… no, do wszystkiego?

Zastanowił się i odparł:

– Masz rację – (chociaż nie sugeruję tu telepatii). – Wolałbym mieć sumienie.

– Dlaczego? – przycisnęłam go.

Zapadło milczenie. Po chwili Bernie się zawahał:

– Noo… – A w końcu odpowiedział: – Wiesz, Martho, nie mam pojęcia. Po prostu wiem, że wybrałbym sumienie.

Może myślałam życzeniowo, ale odniosłam wrażenie, że gdy Bernie już wypowiedział te słowa, w jego głosie dało się wyczuć subtelną zmianę. Wydawał się nieco mniej przygnębiony i zaczęliśmy rozmawiać o planach niesienia pomocy psychologicznej mieszkańcom Nowego Jorku i Waszyngtonu przez jedną z naszych organizacji zawodowych.

Po tej rozmowie bardzo długo intrygowało mnie pytanie kolegi „Po co nam sumienie?", jego odpowiedź, że woli mieć sumienie, niż go nie mieć, oraz fakt, że nie potrafił uzasadnić, dlaczego dokonał takiego wyboru. Etyk lub teolog mógłby odpowiedzieć: „Bo tak trzeba" lub „Bo chcę być dobry". Ale mój kolega psycholog nie potrafił podać *psychologicznej* odpowiedzi.

Jestem głęboko przekonana, że powinniśmy poznać przyczynę psychologiczną dokonanego przez niego wyboru. Zwłaszcza teraz, kiedy świat z przekrętami na skalę globalną w biznesie, z terroryzmem i wojnami nienawiści sprawia wrażenie, że dąży do samozniszczenia, musimy się dowiedzieć, dlaczego, *w sensie psychologicznym*, lepiej mieć sumienie, niż być osobą nieskrępowaną poczuciem winy lub wyrzutami sumienia. Ta książka stanowi próbę odpowiedzi na pytanie: Po co nam sumienie? Poszukując przyczyn, najpierw opisuję zachowania i uczucia osób pozbawionych tego wewnętrznego głosu, czyli socjopatów, by lepiej wyeksponować wartość posiadania tej niekiedy irytującej, bolesnej i – owszem, taka jest prawda – ograniczającej cechy charakteru przez pozostałe 96 procent populacji. Następnie jako psycholog wyrażam swoje najwyższe uznanie dla szmeru łagodnego powiewu[12] oraz dla olbrzymiej większości ludzi obdarzonych sumieniem. Napisałam tę książkę dla tych z nas, którzy nie potrafią żyć inaczej.

Staram się także ostrzec dobrych ludzi przed „socjopatami wśród nas" i pomóc tym pierwszym poradzić sobie z tymi drugimi. Jako psycholog i jako osoba prywatna widziałam zdecydowanie zbyt wiele istnień ludzkich niemal unicestwionych przez działania zaledwie garstki osób pozbawionych sumienia. Socjopaci nie tylko są niebezpieczni, ale także niezwykle trudno ich zidentyfikować. Nawet jeżeli nie stosują fizycznej agresji – a zwłaszcza gdy ich znamy lub są nam bliscy – potrafią zniszczyć nasze życie i sprawić, że przestaniemy się czuć bezpiecznie w społeczeństwie. Moim zdaniem dominacja osób całkowicie pozbawionych sumienia nad resztą z nas stanowi szczególnie rozpowszechniony i przerażający przykład tego, co pisarz Francis Scott Fitzgerald nazwał „tyranią słabych"[13]. Uważam, że wszyscy ludzie obdarzeni sumieniem powinni poznać obyczaje socjopatów, by rozpoznawać osoby bezlitosne, pozbawione zasad i skutecznie z nimi postępować.

W sprawach sumienia popadamy ze skrajności w skrajność. Wystarczy włączyć telewizor, by na własne oczy zobaczyć ich przykłady: po doniesieniach o ludziach na czworakach ratujących szczeniaka z rury kanalizacyjnej następują relacje o innych istotach ludzkich mordujących kobiety i dzieci. W naszym zwyczajnym, codziennym życiu często stykamy się z podobnymi kontrastami, chociaż zapewne nie na tak dramatyczną skalę. Rankiem ktoś zadaje sobie trud i podaje nam upuszczony przez nas dziesięciodolarowy banknot, a po południu ktoś inny z szerokim uśmiechem i równie skwapliwie wpycha się w korku przed nasz samochód.

Ze względu na codzienne przykłady całkowicie sprzecznych ze sobą zachowań musimy otwarcie mówić o obydwu skrajnościach osobowości i zachowań człowieka. Chcąc stworzyć lepszy świat, musimy zrozumieć naturę ludzi nieustannie szkodzących wspólnemu dobru,

których nie spotyka za to żadna kara emocjonalna. Tylko wtedy, gdy spróbujemy zgłębić istotę bezwzględności, odkryjemy liczne sposoby jej przezwyciężania. Jedynie dostrzegając ciemności, możemy naprawdę docenić światło.

Mam nadzieję, że ta książka ograniczy szkodliwy wpływ wywierany przez socjopatów na nasze życie. Dzięki niej ludzie obdarzeni sumieniem nauczą się rozpoznawać „socjopatów wśród nas" i udaremniać ich powodowane wyłącznie wyrachowaniem poczynania lub przynajmniej ochronią siebie oraz swoich bliskich przed bezwstydnymi manipulacjami.

---

[1] K. Barry i in., *Conduct Disorder and Antisocial Personality in Adult Primary Care Patients*, „Journal of Family Practice" 45 (1997), s. 151–158; R. Bland, S. Newman, H. Orn, *Lifetime Prevalence of Psychiatric Disorders in Edmonton*, „Acta Psychiatrica Scandinavica" 77 (1988), s. 24–32; J. Samuels i in., *DSM-III Personality Disorders in the Community*, „American Journal of Psychiatry" 151 (1994), s. 1055–1062; *Substance Abuse and Mental Health Statistical Sourcebook*, Substance Abuse and Mental Health Services Administration, Rockville 1991.

[2] W ciągu ostatnich dwustu lat w krajach zachodnich nadawano socjopatii różnorodne nazwy. Szczegółowe omówienie tego zagadnienia proponują T. Millon, E. Simonsen, M. Birket-Smith, *Historical Conceptions of Psychopathy in the United States and Europe*, w: *Psychopathy. Antisocial, Criminal, and Violent Behavior*, red. T. Millon i in., New York 1998.

[3] American Psychiatric Association (APA), *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*, wyd. 4, Washington 1994. Szczegółowy opis i krytyczną analizę badań terenowych przeprowadzonych przez APA w celu potwierdzenia zasadności aktualnych kryteriów diagnostycznych osobowości antyspołecznej można znaleźć w: *The DSM-IV Personality Disorders*, red. W. Livesley, New York 1995.

[4] Np. R. Hare, *Psychopathy. A Clinical Construct Whose Time Has Come*, „Criminal Justice and Behavior" 23 (1996), s. 25–54.

[5] Przyjęło się stosować określenie „płytkość uczuć", chociaż w przypadku socjopatii bardziej odpowiedni byłby termin „brak emocji".

[6] M. Stout, *The Myth of Sanity. Divided Consciousness and the Promise of Awareness*, New York 2001.

[7] R. Hare i in., *The Revised Psychopathy Checklist. Descriptive Statistics, Reliability, and Factor Structure*, „Psychological Assessment" 2 (1990), s. 338–341.

[8] Tenże, *Without Conscience. The Disturbing World of the Psychopaths Among Us*, New York 1999, s. 207.

[9] H. Cleckley, *The Mask of Sanity*, wyd. 5, St. Louis 1976, s. 90.

[10] Przegląd analiz problemów związanych z socjopatią: D. Black, C. Larson, *Bad Boys, Bad Men. Confronting Antisocial Personality Disorder*, Oxford 2000. Zob. też D. Dutton, S. Golant, *The Batterer. A Psychological Profile*, New York 1995; G. Abel, J. Rouleau, J. Cunningham-Rathner, *Sexually Aggressive Behavior*, w: *Forensic Psychiatry and Psychology*, red. J. Curran, A. McGarry, S. Shah, Philadelphia 1986; L. Grossman, J. Cavenaugh, *Psychopathology and Denial in Alleged Sex Offenders*, „Journal of Nervous and Mental Disease" 178 (1990), s. 739–744; J. Fox, J. Levin, *Overkill. Mass Murder and Serial Killing Exposed*, New York 1994; R. Simon, *Bad Men Do What Good Men Dream*, Washington 1996.

[11] *Satan laughing spreads his wings*. Wers z utworu *War Pigs* zespołu Black Sabbath (album *Paranoid*, 1970).

[12] 1 Księga Królewska 19, 12. Cyt. za Biblia Tysiąclecia, biblia.deon.pl (przyp. tłum.).

[13] F. Scott Fitzgerald, *Czuła jest noc*.

1

SIÓDMY ZMYSŁ

Cnota nie jest nieobecnością wad ani unikaniem moralnych zagrożeń; cnota to żywe i odrębne zjawisko, jak ból lub wyraźny zapach.
G.K. CHESTERTON

Pewnego ranka Joe, trzydziestoletni adwokat, wychodzi z domu o pięć minut za późno na niezmiernie ważne spotkanie, które – z nim lub bez niego – rozpocznie się punktualnie o godzinie ósmej. Zależy mu na utrzymaniu dobrej opinii wśród wyższych rangą – czyli prawie wszystkich – pracowników firmy, prócz tego chciałby jako pierwszy zamienić słowo z zamożnymi klientami, których interesy mają związek z jego nową, obiecującą specjalizacją – planowaniem spadkowym. Od wielu dni pracował nad programem spotkania, ponieważ jego zdaniem gra toczy się o bardzo wysoką stawkę. Za wszelką cenę chce więc przybyć na czas do sali konferencyjnej.

Niestety w środku nocy piec centralnego ogrzewania w starej kamienicy Joego nagle przestał działać. Rankiem, zanim w końcu udało mu się wyjść do pracy, nerwowo chodził po wychłodzonych pokojach. Przerażony perspektywą pęknięcia rur i zalania mieszkania, niecierpliwie czekał na serwisanta. Gdy ten wreszcie się zjawił, Joe wpuścił go do środka i rozpaczliwie pragnąc zdążyć na spotkanie, zostawił go samego w domu, mając nadzieję, że mężczyzna okaże się w miarę uczciwy. Błyskawicznie wsiadł do samochodu i z piskiem opon ruszył do biura, lecz zostało mu zaledwie dwadzieścia pięć minut na pokonanie trasy, którą zazwyczaj przejeżdżał w pół godziny. Postanowił trochę nagiąć przepisy, by nadrobić stracony czas.

Teraz Joe pędzi do pracy dobrze znaną drogą. Zaciska zęby i klnie pod nosem na wlokących się w żółwim tempie kierowców, czyli właściwie na wszystkich. Twórczo reinterpretuje czerwone światła na kilku skrzyżowaniach, zjeżdżając na pas awaryjny, wymija sznur samochodów i desperacko liczy na to, że jakimś cudem zdoła dotrzeć do biura przed ósmą. Gdy trafia na zielone światła trzy razy z rzędu, zaczyna wierzyć, że mu się to uda. Prawą ręką sięga ku leżącej na miejscu pasażera niewielkiej torbie podróżnej, chcąc się upewnić, że nie zapomniał jej zabrać. Jakby tego było mało, szefowie firmy wysyłają go do Nowego Jorku w interesach – samolot odlatuje o godzinie dziesiątej piętnaście, więc po porannym spotkaniu na pewno nie zdąży wrócić po rzeczy do domu. Na szczęście bagaż znajduje się na swoim miejscu. Mężczyzna gładzi miękką skórę pękatej torby.

Nagle przypomina sobie o czymś: nie nakarmił Reeboka, trzyletniego biszkoptowego

labradora retrievera. Pies wabi się tak, ponieważ zanim obowiązki firmowe całkowicie pochłonęły Joego, entuzjastycznie usposobione zwierzę towarzyszyło swojemu panu podczas porannego joggingu. Gdy praca wysunęła się na plan pierwszy i rozkład porannych zajęć uległ zmianie, Joe ogrodził mały teren za domem i zainstalował w piwnicy drzwiczki dla psa, dzięki którym Reebok mógł sam wychodzić do ogrodu. Teraz obydwaj biegają razem po parku tylko w weekendy. Ale bez względu na to, jak często Reebok biega, pochłania tygodniowo kilka kilogramów karmy Science Diet, całe mnóstwo resztek jedzenia ze stołu swojego pana i przynajmniej jedno duże opakowanie psiego przysmaku – suszonych kości. Ma zdumiewający apetyt. Wydaje się, że do szczęścia potrzebuje tylko dwóch rzeczy: czasu spędzanego z Joem i pożywienia.

Reebok trafił do Joego jako szczeniak, ponieważ gdy przyszły prawnik był małym chłopcem, ojciec nie pozwalał mu trzymać w domu żadnego zwierzęcia. Wówczas Joe przyrzekł sobie, że kiedy dorośnie i będzie mu się dobrze powodziło, sprawi sobie psa. Dużego psa. Początkowo Reebok niewiele się różnił od audi, kolejnego nabytku stanowiącego symbol niezależności i wysokiego statusu materialnego. Wkrótce jednak Joe zakochał się w zwierzęciu. Inaczej być nie mogło. Reebok darzył swojego pana bezwarunkowym uwielbieniem i od samego początku dreptał za nim po domu krok w krok, jakby Joe stanowił centralny punkt dobroci we wszechświecie. Kiedy szczeniak podrósł, Joe zorientował się, że stworzenie ma tak samo wyrazistą i odrębną osobowość jak każdy człowiek, a w jego błyszczących brązowych oczach można również dostrzec odbicie duszy. Kiedy tylko Joe zagląda w ślepia Reeboka, ten marszczy jedwabiste beżowe brwi przypominające wyglądem pofałdowany dywan i odwzajemnia spojrzenie. Pełen wdzięku, niezgrabny psiak sprawia wrażenie nadnaturalnie zadumanego, zupełnie jakby potrafił czytać w myślach swojego pana i niepokoił się o niego.

Czasami, kiedy tak jak dziś wyjeżdża w podróż służbową, Joe znika na półtora dnia, a nawet na trochę dłużej. Po powrocie Reebok zawsze wita go w drzwiach, radośnie podskakując, gotów natychmiast wszystko mu wybaczyć. Przed wyjazdem Joe zostawia wielkie miski z karmą i wodą, żeby Reebok miał co jeść i pić podczas jego nieobecności. Pies nie ma najmniejszych trudności z ich opróżnianiem. Lecz tym razem, mając na głowie awarię pieca, zaniepokojony perspektywą spóźnienia się na ważne spotkanie w biurze, Joe zapomniał o zwierzęciu. Pies został bez jedzenia, a może nawet bez wody, więc najbliższy posiłek zje dopiero jutro wieczorem po powrocie swojego pana z Nowego Jorku.

„Może zadzwonię i poproszę kogoś o pomoc?”, zastanawia się zdesperowany prawnik. Ale kogo? Właśnie rozstał się ze swoją dziewczyną, więc nikt nie ma klucza do jego domu.

Joe zaczyna pojmować beznadziejność całej sytuacji i jeszcze mocniej zaciska dłonie na kierownicy. Za wszelką cenę musi dotrzeć na spotkanie. Może uda mu się zdążyć, jeżeli nie zdejmie nogi z gazu. Ale co z Reebokiem? Joe wie, że przez półtora dnia pies nie zagłodzi się na śmierć, ale będzie nieszczęśliwy. A woda? Ile czasu upłynie, zanim zwierzę całkowicie się odwodni? Mężczyzna nie ma pojęcia. Wciąż jedzie na tyle szybko, na ile pozwala mu ruch na drodze, i zastanawia się, co robić. W głowie kotłują mu się różne rozwiązania i ich konsekwencje. Po spotkaniu może pojechać do domu i nakarmić psa, ale wtedy na pewno spóźni się na samolot, a przecież wyjazd do Nowego Jorku jest jeszcze ważniejszy niż spotkanie w biurze. Może pójść na nie i wyjść w połowie? Nie, takie zachowanie uznano by za brak szacunku dla klientów. Gdyby natomiast spróbował złapać kolejny lot, spóźniłby się na umówioną wizytę w Nowym Jorku, albo w ogóle by na nią nie zdążył, co mogłoby oznaczać dla

niego utratę pracy. Może do jutra zostawić psa samemu sobie. Albo teraz zawrócić, nie pójść na spotkanie w firmie, zadbać o psa i zdążyć na lot kwadrans po dziesiątej.

Joe pochyla się nad kierownicą i głośno jęczy, jakby poczuł ukłucie bólu. Kilka przecznic od biura zatrzymuje samochód w miejscu oznakowanym „Tylko dla pojazdów budowy”, wybiera numer do firmy i każe sekretarce poinformować zebranych, że nie przybędzie na poranne spotkanie. Zawraca i jedzie do domu nakarmić Reeboka.

CZYM WŁAŚCIWIE JEST SUMIENIE?

Z pewnego punktu widzenia może zdumiewać, że mężczyzna o imieniu Joe postanawia opuścić ważne spotkanie z grupą zamożnych klientów, do którego przygotowywał się od kilku dni, co więcej, ta decyzja najwyraźniej nie leży w jego dobrze pojętym interesie. Początkowo za wszelką cenę stara się dotrzeć do biura: pozostawia cały swój ruchomy majątek na łasce serwisanta, którego widzi po raz pierwszy w życiu, i naraża się na niebezpieczeństwo, łamiąc przepisy drogowe. Niespodziewanie w ostatniej chwili zawraca i jedzie do domu, by nakarmić psa – poczciwe, nieme stworzenie, które nawet nie potrafiłoby zganić swojego pana za zaniedbanie. Mężczyzna rezygnuje ze spotkania, od którego tak wiele zależy, by zrobić coś, czego nie zobaczy nikt (może z wyjątkiem serwisanta) i dzięki czemu nie wzbogaci się nawet o centa. Co skłoniło młodego, ambitnego prawnika do takiego czynu?

Większość z nas przyjmie decyzję Joego z uśmiechem. Cieszymy się, że mężczyzna wraca do domu po to, by nakarmić psa. Ale właściwie dlaczego się cieszymy? Czy postępowanie mężczyzny odzwierciedla głos jego *sumienia*? Czy właśnie to mamy na myśli, kiedy z uznaniem wypowiadamy się o czyimś zachowaniu: „*Sumienie* nie pozwoliło mu/jej źle postąpić”?

Czym właściwie jest ta niewidzialna, nieodłączna, irytująco nieprzekupna cząstka nas samych zwana przez nas „sumieniem”?

Odpowiedź na to pytanie przysparza trudności nawet wtedy, gdy posługujemy się przykładem tak prostym jak wyżej przytoczony, ponieważ, o dziwo, oprócz sumienia istnieje kilka przyczyn, które razem lub z osobna mogą nakłonić nie tylko Joego, lecz każdego z nas do zrobienia czegoś, co na pierwszy rzut oka będzie stało w sprzeczności z naszym interesem. A jeżeli Joe po prostu nie może znieść myśli, że po powrocie z Nowego Jorku znajdzie na kuchennej podłodze odwodnionego, martwego psa? Mężczyzna nie wie, jak długo psy wytrzymują bez wody, więc nie chce ryzykować, lecz między awersją do przerażającego rozwoju wydarzeń a sumieniem niekoniecznie da się postawić znak równości. Uczucie to przypomina raczej odrazę lub strach.

A może na decyzję Joego wpłynęła obawa o to, co pomyślą sąsiedzi, słysząc wyjącego z głodu Reeboka lub, co gorsza, gdy się dowiedzą, że pozostawiony sam sobie, uwięziony pies zdechł, podczas gdy jego pan bawił w podróży służbowej? Jak się wytłumaczy przed przyjaciółmi i znajomymi? Odczuwany przez prawnika niepokój również nie jest głosem sumienia, lecz raczej stanowi wyraz obawy przed niezwykle kłopotliwą sytuacją i ostracyzmem społecznym. Jeżeli właśnie dlatego Joe wraca do domu, by nakarmić psa, wcale nie jest pierwszą osobą, na której postępowanie wpływa obawa przed tym, co pomyślą inni. W opisywanej sytuacji chodzi o to, jak by postąpił, gdyby miał pewność, że jego czyn pozostanie całkowitą tajemnicą. Chyba nic nie dyscyplinuje nas lepiej niż opinie innych ludzi.

A może Joe nie chce widzieć w sobie okrutnika znęcającego się nad zwierzętami, a przyzwoitość jest dla niego na tyle istotną częścią obrazu samego siebie, że w trudnej sytuacji potrafi zrezygnować z ważnego spotkania, byle tylko podtrzymać ten wizerunek? Takie wytłumaczenie postępowania prawnika brzmi szczególnie przekonująco. Pragnienie zachowania twarzy stanowi dość powszechny czynnik motywujący, zresztą o nie najlepszej sławie. W literaturze, a także w często przytaczanych relacjach historycznych opisujących motywy

ludzkich działań przywiązanie do opinii o sobie samym określa się mianem „honoru". Z powodu „honoru" ginęli ludzie i wybuchały wojny. Pojęcie to miało zastosowanie w dawnych czasach, natomiast we współczesnej psychologii sposób postrzegania samego siebie określa się nowszym pojęciem „poczucia własnej wartości". Poświęcono mu więcej książek niż jakiemukolwiek innemu zagadnieniu z tej dziedziny nauki.

A może Joe jest dziś gotów zrezygnować z czegoś, co przyspieszyłoby jego karierę, po to, by jutro nie unikać swojego odbicia w lustrze, po to, by we własnych oczach nadal uchodzić za „człowieka honoru"? Byłoby to godne pochwały i bardzo ludzkie, ale nie miałoby nic wspólnego z sumieniem.

Intrygująca prawda jest taka: za wieloma naszymi poczynaniami rzekomo dyktowanymi względami sumienia stoi coś zupełnie innego – strach, presja społeczna, duma, a nawet zwykłe przyzwyczajenie. Wróćmy jeszcze na chwilę do Joego. Niektórzy z nas zdecydowanie opowiedzą się za inną motywacją jego postępowania niż sumienie, ponieważ pewien aspekt zachowania prawnika już wcześniej wzbudził nasze wątpliwości. Mężczyzna regularnie zostawia swojego psa w domu na wiele godzin, czasami prawie na dwa dni. Tego samego ranka, mimo że rezygnuje z ważnego spotkania po to, by nakarmić psa, zamierza się udać w podróż służbową, z której wróci dopiero wieczorem następnego dnia. Reebok zostanie zupełnie sam w małym przydomowym ogródku. Skazywanie zwierzęcia na długie okresy samotności niezbyt dobrze świadczy o Joem, a w najlepszym razie odzwierciedla pewien brak wrażliwości pana na potrzeby społeczne psa.

Prawdę mówiąc, życzliwość dla innych również trudno utożsamić z sumieniem. Raz na jakiś czas każdy w miarę rozgarnięty socjopata potrafi postąpić wielkodusznie po to, by łatwiej manipulować innymi. Z kolei ludzie, którzy naprawdę mają sumienie, często wbrew sobie zachowują się nieuprzejmie z powodu ignorancji lub niedostatku empatii (zapewne to właśnie jej brakuje Joemu), a nawet zwyczajnego, doskonale znanego psychologom zaprzeczenia.

Uprzejme zachowanie, rozwaga, liczenie się z reakcją innych, honorowe postępowanie podyktowane szacunkiem do samego siebie – wszystkie powyższe zachowania podobnie jak sumienie mają przeważnie pozytywny wpływ na świat i mogą niekiedy, każde z osobna lub wszystkie razem, skłonić kogoś do nakarmienia psa, jednak żadnego nie da się określić mianem sumienia. Dzieje się tak dlatego że sumienie nie jest zachowaniem, czymś, co robimy lub nad czym rozmyślamy. To coś, co *czujemy*. Innymi słowy, sumienie nie jest cechą zachowania ani nie odzwierciedla funkcjonowania struktur poznawczych. Istnieje przede wszystkim w sferze „afektu", lepiej znanego jako *uczucie*.

Wyjaśnijmy bliżej to rozróżnienie i raz jeszcze przyjrzyjmy się Joemu. Prawnik nie zawsze zachowuje się właściwie wobec swojego psa, ale czy ma sumienie? Jaki dowód sprawiłby, że psycholog byłby w stanie rozstrzygnąć, czy rezygnując ze spotkania i jadąc do domu, by uratować Reeboka, Joe działał pod wpływem sumienia, czy może ze względu na to, co pomyślą o nim ludzie, z chęci zachowania dobrego wyobrażenia o sobie albo z przyczyn finansowych, ponieważ trzy lata wcześniej zapłacił tysiąc dwieście dolarów za rasowego szczeniaka labradora z gwarancją, że zwierzę nie ma dysplazji stawów biodrowych ani nie cierpi na chorobę serca?

Do mnie jako psychologa najbardziej przemawia ten element historii, którego dotąd jeszcze nie omawialiśmy szczegółowo: mianowicie prawnik darzy Reeboka sympatią. Jest z nim *emocjonalnie związany*. Reebok chodzi po domu za swoim panem i to sprawia Joemu przyjemność. Mężczyzna wpatruje się w ślepia Reeboka, który zmienił go z właściciela trofeum

w właściciela zadurzonego w swoim pupilu. Właśnie ze względu na to przywiązanie uważam, że kiedy Joe zmienił plany i pojechał do domu zająć się psem, zapewne działał pod wpływem sumienia. Gdybyśmy mogli podać Joemu serum prawdy i zapytać, co czuł w momencie, gdy postanowił zawrócić, i gdyby wtedy powiedział coś w stylu: „Po prostu nie mogłem znieść myśli, że Reebok będzie cały czas głodny i spragniony", wówczas miałabym pewność, że w tej sytuacji Joe kierował się sumieniem.

Ocenę Joego oparłabym na psychologii sumienia jako takiego. Z psychologicznego punktu widzenia wewnętrzny głos to poczucie obowiązku wyrastające z emocjonalnego przywiązania do innej żywej istoty (często, ale nie zawsze do człowieka) lub do grupy ludzi, a w niektórych przypadkach nawet do całej ludzkości. Sumienie nie istnieje bez emocjonalnej więzi z kimś lub z czymś, stąd jego silny związek z całym spektrum uczuć zwanych „miłością". To przymierze zapewnia prawdziwemu sumieniu odporność i zdumiewającą władzę nad mającymi je osobami. Prawdopodobnie również to ono sprawia, że niekiedy jego nakazy bywają tak nieprecyzyjne i frustrujące.

Sumienie może nas nakłaniać do podejmowania pozornie nieracjonalnych, wręcz autodestrukcyjnych decyzji, poczynając od trywialnych, a kończąc na heroicznych: od niepojawienia się na spotkaniu o ósmej do zachowania milczenia podczas tortur w imię miłości do ojczyzny. Może nami w ten sposób sterować, ponieważ jego paliwem są nasze najsilniejsze uczucia. Odczuwamy zadowolenie, gdy jesteśmy świadkami czynów motywowanych głosem sumienia – nawet tak prozaicznych jak nakarmienie psa – lub gdy o nich słyszymy, ponieważ każdy wybór zgodny z głosem wewnętrznym przypomina nam o łączących nas serdecznych więziach. Opowieść o sumieniu jest jednocześnie opowieścią o wzajemnych związkach żywych istot i choć nie do końca uświadamiamy sobie ten fakt, uśmiechamy się, dostrzegając jej prawdziwą naturę. Rozumiemy dylemat Joego, gdy zmaga się z własnym sumieniem, i uśmiechamy się do niego i do Reeboka, ponieważ zawsze uśmiechamy się do tych, którzy się kochają.

HISTORIA SUMIENIA

Nie każdy ma sumienie – poczucie obowiązku zakorzenione w naszym emocjonalnym przywiązaniu do innych. Niektórzy ludzie nigdy nie doświadczą dojmującej zgryzoty wynikającej z faktu, że się kogoś zawiodło, zraniło, pozbawiło czegoś, a nawet zabiło. Pięć pierwszych zmysłów – wzrok, słuch, dotyk, węch i smak – dotyczy predyspozycji fizycznych, mówiąc o intuicji, używamy terminu „szósty zmysł", dlatego sumienie w najlepszym razie może zostać numerem siódmym. Zmysł ten rozwinął się na późniejszym etapie ewolucji naszego gatunku i wciąż daleko mu do powszechności.

Fakt, że w codziennym życiu na ogół nie potrafimy odróżnić osób mających sumienie od tych, które są go pozbawione, jeszcze bardziej zaciemnia obraz sytuacji. Czy ambitny młody prawnik może posiadać siódmy zmysł? Nie można tego wykluczyć. Czy matka kilkorga dzieci też go ma? Oczywiście, że tak. Czy kapłan przepełniony duchową troską o całą wspólnotę może się kierować sumieniem? Miejmy nadzieję, że tak. Czy silny polityczny przywódca całego narodu może mieć sumienie? Z pewnością.

I odwrotnie, czy któraś z wyżej wymienionych osób mogłaby być całkowicie pozbawiona sumienia? Może nas to zirytować, lecz odpowiedź na tak zadane pytanie również musi być twierdząca.

Anonimowość „zła" i dokuczliwa niemożność skojarzenia go z określoną rolą społeczną, grupą rasową lub typem fizycznym od zawsze prześladowała teologów, a w ostatnich czasach także naukowców. W całej historii ludzkości bardzo się staraliśmy doprecyzować pojęcia „dobra" i „zła" oraz wyjaśnić, dlaczego niektórzy spośród nas sprawiają wrażenie owładniętych złem. W IV wieku chrześcijański uczony św. Hieronim wprowadził grecki termin *synderesis* na określenie wrodzonej, pochodzącej od Boga umiejętności wyczuwania różnicy pomiędzy dobrem a złem. Zaprezentował on wykładnię biblijnej wizji Ezechiela, w której cztery istoty żyjące wynurzyły się z obłoku „w ogniu płonącym i blasku dookoła niego"[1]. Przybrały one postać człowieka, lecz każda z nich miała cztery różne twarze. Twarz z przodu była twarzą człowieka, twarz po prawej stronie twarzą lwa, po lewej – wołu, a z tyłu – orła. W dokonanej przez Świętego Hieronima interpretacji snu Ezechiela twarz ludzka reprezentowała element racjonalny w człowieku, lew odpowiadał za uczucia, wół symbolizował żądze, a wyniosły orzeł był „iskierką sumienia, która nie została stłumiona nawet w sercu Kaina (…) która sprawia, że odczuwamy naszą grzeszność, kiedy jesteśmy owładnięci złym Pragnieniem albo nieokiełznanym Duchem (…). A jednak u niektórych ludzi sumienie zostało pokonane i wyparte. Nie mają oni poczucia winy ani wstydu za swoje grzechy"[2].

Współczesny Świętemu Hieronimowi wybitny filozof Augustyn z Hippony zgadzał się z nim w kwestii natury sumienia. Święty Augustyn zapewniał swoich zwolenników, że „ludzie widzą zasady moralne zapisane w księdze światła, zwanej Prawdą, od której pochodzą wszelkie prawa"[3].

Ale niepokojący problem pozostał. Jeżeli prawda – absolutna świadomość dobra i zła – jest dana przez Boga wszystkim istotom ludzkim, dlaczego nie wszystkie istoty ludzkie są dobre? Dlaczego u niektórych ludzi „dostrzegamy sumienie pokonane i wyparte"? Pytanie to przez wiele wieków pozostawało w centrum debaty teologicznej poświęconej sumieniu. W tej

niezręcznej sytuacji wykluczono alternatywną sugestię, że tylko niektórzy ludzie są obdarzeni sumieniem, ponieważ oznaczałoby to, że zatajając prawdę przed niektórymi sługami, Bóg sam stworzył na świecie zło i porozdzielał je, najwyraźniej losowo, pomiędzy wszystkie przejawy ludzkiej egzystencji.

Rozstrzygnięcie teologicznego dylematu sumienia[4] nastąpiło w XIII wieku, kiedy św. Tomasz z Akwinu zaprezentował skomplikowane rozróżnienie między zaproponowanym przez św. Hieronima *synderesis*, czyli nieomylną, darowaną przez Boga świadomością dobra i zła, i *conscientia* – podatnym na błędy ludzkim rozumem zmagającym się z podejmowaniem decyzji, jak się zachować. Rozum został wyposażony w doskonałą informację od Boga, by móc decydować o postępowaniu człowieka, lecz sam w sobie okazał się dość słaby. W zaproponowanym przez św. Tomasza systemie przyczyną błędnych decyzji i czynów jest niedoskonałość decyzji podejmowanych przez człowieka i idących za nimi czynów, a nie brak sumienia. Czynienie zła jest jednoznaczne z popełnieniem błędu. Z kolei u świętego Tomasza „*Synderesis* nie może się mylić. Jest źródłem zasad, które nie ulegają zmianie, podobnie jak nie ulegają zmianie prawa rządzące fizycznym wszechświatem".

Odnieśmy ten pogląd do naszego współczesnego przykładu, gdy Joe przypomina sobie, że zostawił psa bez jedzenia i wody: dane prawnikowi od Boga wrodzone *synderesis* (prasumienie) natychmiast informuje go, że najwłaściwszym zachowaniem jest powrót do domu i zajęcie się psem. Następnie *conscientia*, proces myślowy rozstrzygający o zachowaniu, poddaje tę prawdę pod rozwagę. Fakt, że Joe nie zawraca natychmiast, lecz poświęca kilka minut na zastanowienie, wynika z naturalnej słabości ludzkiego rozumu. Ostatecznie Joe podejmuje właściwą decyzję. W ujęciu świętego Tomasza oznacza to, że cnoty moralne Joego, za pośrednictwem wzmocnionego rozumu, rozwijają się we właściwym kierunku. Gdyby Joe postanowił zostawić psa własnemu losowi, jego tym samym osłabiony rozum – z teologicznego punktu widzenia – kierowałby cnoty moralne ku piekłu.

Przechodząc do istoty teologii, zdaniem pierwszych ojców Kościoła: (1) zasady moralne są absolutne, (2) wszyscy ludzie z natury znają prawdę absolutną oraz (3) niewłaściwe postępowanie jest skutkiem błędnego myślenia, a nie brakiem *synderesis*, czyli prasumienia. Skoro więc wszyscy mamy sumienie, to gdyby tylko rozum ludzki był doskonały, nie byłoby miejsca na niewłaściwe postępowanie. Te trzy przekonania dotyczące sumienia funkcjonowały niemal powszechnie przez większą część współczesnej historii. Nawet dziś wywierają przemożny wpływ na sposób, w jaki postrzegamy siebie i innych. Nie sposób zignorować zwłaszcza trzeciego założenia. Blisko tysiąc lat po wydaniu przez świętego Tomasza orzeczenia o *synderesis*, gdy ktoś uparcie postępuje bez skrupułów, odwołujemy się do nowej wersji paradygmatu „słabego rozumu". Spekulujemy, że sprawca złego czynu jest ubogi, niezrównoważony lub że to środowisko, w jakim dorastał, wywiera na jego zachowanie przemożny wpływ. Czujemy opór przed prostszym wytłumaczeniem, że Bóg albo natura po prostu nie obdarzyli go sumieniem.

Przez kilkaset lat debaty na temat sumienia skupiały się z reguły na związku między ludzkim rozumem i pochodzącą od Boga wiedzą moralną. Pojawiały się w nich nowe wątki, ostatnio na przykład ten dotyczący proporcjonalizmu – boskiej furtki, dzięki której rozum może poprosić nas o zrobienie czegoś „złego" po to, by doprowadzić do czegoś „dobrego", na przykład do wybuchu „sprawiedliwej wojny".

Na początku XX wieku samo sumienie przeszło zasadniczą przemianę spowodowaną rosnącą

w Europie i w USA popularnością teorii lekarza i naukowca (a także ateisty) Sigmunda Freuda. Freud sformułował tezę, że w toku prawidłowego rozwoju w umysłach małych dzieci powstaje zinternalizowany autorytet zwany superego, który z czasem zastępuje faktyczny autorytet zewnętrzny, czyli rodziców[5]. Dzięki odkryciu superego Freudowi udało się wyrwać sumienie z rąk Boga i umieścić je w objęciach niemogącej się tego doczekać na wskroś ludzkiej rodziny. Ten zwrot w dziedzinie pojmowania sumienia wymagał wprowadzenia pewnych onieśmielających zmian do liczącego sobie wiele stuleci światopoglądu. Nagle się okazało, że nasi przewodnicy moralni stoją na glinianych nogach, a absolutna prawda zaczęła ustępować przed rozterkami relatywizmu kulturowego.

Zaproponowany przez Freuda nowy model umysłu nie odwołuje się do Księgi Ezechiela. Ma trzy elementy: superego, ego oraz id. Na id składają się wszystkie instynktowne zachowania związane z płcią, agresywne odruchy oraz popędy biologiczne, z którymi przychodzimy na świat. Właśnie dlatego id często wchodzi w konflikt z regułami przyjętymi przez cywilizowane społeczeństwa. Z kolei ego stanowi racjonalną, świadomą część umysłu. Potrafi logicznie myśleć, planować i zapamiętywać, dzięki czemu wchodzi w bezpośrednie interakcje ze społeczeństwem, a także w różnym stopniu zaspokaja potrzeby bardziej prymitywnego id. Superego wykształca się z ego podczas przyswajania sobie przez dziecko pochodzących z zewnątrz zasad, według których postępują jego rodzice i społeczeństwo. Ostatecznie superego staje się niezależną siłą rozwijającego się umysłu, zdolną do samodzielnego osądzania i kierowania zachowaniem oraz myślami dziecka. Jest ono władczym, akcentującym winę głosem wewnętrznym, który mówi „nie” nawet wtedy, gdy w pobliżu nie ma nikogo.

Podstawowa koncepcja superego wydaje się mieć sens. Często widzimy dzieci, gdy przyswajają sobie, a nawet wprowadzają w życie zasady stosowane przez swoich rodziców. (Matka marszczy brwi i upomina czteroletnią córeczkę: „Nie krzyczymy w samochodzie”. Kilka minut później czterolatka wskazuje na hałasującą dwuletnią siostrzyczkę i stanowczym głosem woła: „Nie krzyczymy w samochodzie!”). Większość z nas jako dorośli słyszała głos swojego superego. Do niektórych przemawia on dość często. To ten głos w naszej głowie, który powtarza nam: „Ty idioto! Dlaczego to zrobiłeś?”, „Pożałujesz, jeżeli dziś wieczorem nie skończysz tego raportu” lub „Lepiej sprawdź poziom cholesterolu”. Wracając do historii Joego i Reeboka, decyzję o opuszczeniu porannego spotkania niewątpliwie podjęło superego prawnika. Dla ilustracji załóżmy, że ojciec Joego, który nie zgadzał się na kupno psa, powtarzał czteroletniemu wówczas synowi: „Nie, mój mały, nie możemy mieć psa. Pies to ogromna odpowiedzialność. Gdybyś miał psa, musiałbyś się nim zawsze zajmować bez względu na to, jak bardzo byłbyś zajęty innymi sprawami”. Podjęta w dorosłym życiu decyzja o zawróceniu samochodu równie dobrze mogła być podyktowana przez superego nalegające, by Joe postąpił zgodnie z *dictum* ojca.

A teraz skomplikujmy tę sprawę jeszcze bardziej. Sam Freud zapewne by się zastanawiał, czy to superego prawnika (oczywiście nieświadomie) nie wymusiło na nim zmiany planu dnia (mężczyzna bardzo się spieszył, więc zapomniał nakarmić psa) po to, by „potwierdzić” zasadność opinii ojca i „ukarać” Joego za posiadanie psa. W teorii Freuda superego jest nie tylko głosem, lecz także kontrolerem, subtelnym i wielowymiarowym manipulatorem. Potwierdza też przekonania autorytetów. Oskarża, feruje i wykonuje wyroki, działając całkowicie niezależnie od naszej świadomości. Chociaż w najlepszym razie superego pomaga jednostce funkcjonować w społeczeństwie, może też stać się najbardziej dominującą i zapewne najbardziej destrukcyjną

częścią jej osobowości. Zdaniem psychoanalityków nieustannie rozbrzmiewający w czyjejś głowie głos szczególnie srogiego superego może wywołać utrzymującą się przez całe życie depresję, a nawet pchnąć swojego właściciela do samobójstwa.

W taki oto sposób Freud przedstawił światu zdecydowanie świecki pogląd, że u niektórych osób sumienie może wymagać naprawy, a dzięki psychoanalizie można tego faktycznie dokonać.

Ponadto – co jeszcze bardziej szokujące – Freud i jego następcy powiązali ostateczne ukształtowanie się superego z przezwyciężeniem kompleksu Edypa u dzieci. Kompleks Edypa, u dziewcząt zwany niekiedy kompleksem Elektry, rozwija się, gdy małe dziecko w wieku 3–5 lat zaczyna sobie uświadamiać, że nigdy całkowicie nie posiądzie rodzica płci przeciwnej. Prozaicznie rzecz ujmując, chłopcy muszą zaakceptować fakt, że nie ożenią się z własnymi matkami, dziewczynki zaś – że nie wyjdą za mąż za tatusiów. Edypowe zmagania i wywodzące się z nich poczucie rywalizacji, strach i niechęć do rodzica tej samej płci są zdaniem Freuda bardzo silne i niebezpieczne dla rodzinnych relacji dziecka, muszą więc zostać skrupulatnie „wyparte” – wyeliminowane ze świadomości – i to „wyparcie” staje się możliwe dzięki zdecydowanemu wzmocnieniu młodego superego. Od tej chwili, gdyby u dziecka zrodził się jakikolwiek seksualny pociąg do rodzica płci przeciwnej lub chęć rywalizacji z rodzicem tej samej płci, zostaną one stłumione przez budzącą strach, bezwzględną broń w postaci na nowo wzmocnionego superego: natychmiastowego i nieznośnego poczucia winy. W ten sposób superego zyskuje autonomię i zaczyna dominować w umyśle dziecka. Jest ono surowym stróżem istniejącym po to, by służyć naszej potrzebie przynależności do grupy.

Niezależnie od tego, co sądzimy o tym i o podobnych wywodach, powinniśmy docenić wkład Freuda w zrozumienie, że nasz zmysł moralny nie jest uniwersalnym, hermetycznym kodeksem, lecz bytem dynamicznym, misternie splecionym z podstawowymi więzami rodzinnymi i społecznymi. W pracach poświęconych superego zaprezentował on budzącemu się środowisku naukowemu pogląd, że nasz zwykły szacunek dla prawa i porządku nie został nam po prostu narzucony z zewnątrz. Przestrzegamy zasad i pielęgnujemy cnoty powodowani przede wszystkim wewnętrzną potrzebą zaszczepioną w nas w niemowlęctwie i wczesnym dzieciństwie, potrzebą przynależności do naszych rodzin oraz szerzej pojętego społeczeństwa, w którym żyjemy.

SUMIENIE KONTRA SUPEREGO

Bez względu na to, czy zgadzamy się z poglądem uznającym superego za wewnątrzpsychicznego intryganta lub, używając słów Freuda, za „spadkobiercę kompleksu Edypa", tę wielowymiarową koncepcję należy uznać za przydatną. Jako wewnętrzny głos ukształtowany przez ważne relacje w dzieciństwie, komentujący nasze niedociągnięcia i potępiający nasze wykroczenia, superego stanowi element subiektywnego doświadczenia, które większość ludzi z łatwością rozpoznaje. „Nie rób tego". „Nie powinieneś tak sądzić". „Uważaj, zrobisz sobie krzywdę". „Bądź miły dla siostry". „Sprzątnij, skoro naśmieciłeś". „Nie stać cię na to". „To nie było zbyt mądre, prawda?". „Jakoś musisz sobie z tym poradzić". „Przestań tracić czas". Rozbrzmiewający w naszych głowach jazgot superego towarzyszy nam każdego dnia. U niektórych głos ten bywa dokuczliwszy niż u innych.

Nie można jednak postawić znaku równości między superego a sumieniem. Subiektywnie można odnieść takie wrażenie, ale samo w sobie superego nie jest tożsame z sumieniem, chociaż może stanowić niewielką jego cząstkę. Dzieje się tak dlatego, że kiedy Freud formułował pojęcie superego, w pewnym sensie wylał dziecko z kąpielą. Wykluczając moralny absolutyzm z myślenia psychologicznego, przy okazji pozbył się czegoś innego. Wykluczył miłość i wszelkie związane z nią uczucia. Chociaż Freud często utrzymywał, że dzieci kochają rodziców, mimo że się ich boją, opisane przez niego superego odwołuje się wyłącznie do strachu. Zdaniem naukowca tak jak w dzieciństwie boimy się surowej krytyki rodziców, tak później boimy się surowego głosu superego. Wszystkim rządzi strach. We freudowskiej koncepcji superego nie ma miejsca na wpływ miłości, współczucia, czułości ani innych pozytywnych uczuć mających zdolność kształtowania sumienia.

Analizując przykład Joego i Reeboka, stwierdziliśmy, że sumienie to poczucie obowiązku oparte na naszych emocjonalnych związkach z innymi – na wszelkich aspektach tego rodzaju związków – obejmujących zwłaszcza miłość, współczucie i czułość. Tak naprawdę siódmy zmysł u osób, które go mają, odwołuje się przede wszystkim do miłości i współczucia. W ciągu wieków pokonaliśmy drogę od wiary w kierowane przez Boga *synderesis* przez wiarę w karzące rodzicielskie superego aż do zrozumienia, że sumienie jest głęboko i ujmująco zakorzenione w naszej zdolności do okazywania sobie nawzajem troski. Ten drugi etap naszej drogi – przejście od sędziego w głowie do nakazu serca – wiąże się z mniej cynicznym podejściem do natury człowieka, z większą nadzieją dla nas jako grupy, z większą osobistą odpowiedzialnością, a niekiedy również z większym osobistym bólem.

Wyobraźmy sobie na przykład, że niebywałym zbiegiem okoliczności pewnej nocy na jakiś czas tracimy rozum, zakradamy się do domu szczególnie sympatycznej sąsiadki i bez specjalnej przyczyny zabijamy jej kota. Przed świtem odzyskujemy zmysły i dopiero wtedy dociera do nas, co zrobiliśmy. Co czujemy? Co tak naprawdę kryje się za naszą przepełnioną poczuciem winy reakcją? Ukryci za zasłoną w salonie zerkamy, jak sąsiadka podchodzi do drzwi wejściowych i znajduje kota. Pada na kolana, bierze na ręce martwe zwierzątko i przez długą chwilę zanosi się szlochem.

Co dzieje się najpierw? Czy wewnętrzny głos w naszej głowie krzyczy: „Nie zabijaj! Pójdziesz za to do więzienia!", przypominając nam w ten sposób o grożących nam

konsekwencjach? A może natychmiast odczuwamy przygnębienie z powodu zabicia zwierzęcia i doprowadzenia sąsiadki do rozpaczy? Która reakcja jest w naszym przypadku bardziej prawdopodobna w pierwszych chwilach, kiedy obserwujemy załamaną kobietę? Odpowiedź na to pytanie wiele mówi o nas. Najprawdopodobniej zdecyduje o naszym postępowaniu oraz o tym, czy podporządkujemy się tylko surowemu głosowi superego, czy prawdziwemu sumieniu.

To samo pytanie dotyczy naszego starego znajomego. Czy Joe postanawia poświęcić spotkanie w pracy, gdyż odczuwa nieuświadomiony strach wpojony mu w dzieciństwie przez ojca, czy też decyduje się na poświęcenie, ponieważ czuje dyskomfort na myśl o kłopotliwym położeniu Reeboka? Co decyduje o dokonanym przez niego wyborze? Czyste superego czy w pełni ukształtowane sumienie? Jeżeli to drugie, decyzja prawnika o opuszczeniu zaplanowanego spotkania w pracy jest drobną ilustracją tego, że jak na ironię sumienie nie zawsze kieruje się zasadami. Wynosi ludzi (a niekiedy nawet zwierzęta) ponad kodeksy postępowania i oczekiwania instytucji. Podbudowane silnymi uczuciami sumienie jest spoiwem – scala nas ono i częściej integruje, niż wymierza sprawiedliwość. Przedkłada humanistyczne ideały nad normy prawne, a jeśli zaistnieje taka konieczność, może nas nawet zaprowadzić do więzienia. Superego nigdy by do tego nie dopuściło.

Surowe superego gani nas, mówiąc: „Jesteś nieuprzejmy” lub „Nie nadajesz się”. Silne sumienie nalega: „Bez względu na wszystko musisz się nim (albo kimkolwiek lub czymkolwiek innym) zająć”.

Oparte na strachu superego ukrywa się za ciemną zasłoną, oskarżając nas i załamując ręce. Sumienie popycha nas ku innym ludziom, zachęcając do świadomego działania na małą i dużą skalę. Odwołujące się do przywiązania sumienie nakazuje nastoletniej matce kupić słoiczek przecieru z groszku zamiast ulubionego lakieru do paznokci. Staje w obronie zażyłości, sprawia, że przyjaciele dotrzymują obietnic, i powstrzymuje rozzłoszczonych współmałżonków przed odwzajemnieniem ciosu. Zmusza zmęczonego lekarza do odebrania telefonu od przestraszonego pacjenta o trzeciej nad ranem. Występuje przeciwko władzy, gdy zagrożone jest życie ludzi. Wyprowadza tłumy na ulice w proteście przeciwko wojnie. To dzięki niemu działacze na rzecz praw człowieka ryzykują życiem. W parze z ponadprzeciętną odwagą cywilną widzimy je u takich postaci jak matka Teresa, Mahatma Gandhi, Nelson Mandela i Aung San Suu Kyi.

Prawdziwe sumienie zmienia świat na małą i na dużą skalę. Zakorzenione w więziach emocjonalnych, uczy nas pokoju, przeciwstawia się nienawiści i ratuje dzieci. Cementuje małżeństwa, czyści rzeki, karmi psy i udziela łagodnych odpowiedzi. Dzięki niemu życie poszczególnych ludzi staje się lepsze, to ono przysparza nam wszystkim godności. Autentyczność jego głosu sprawia, że odczulibyśmy niewypowiedziany dyskomfort, gdybyśmy skrzywdzili naszego bliźniego.

Jak się jednak wkrótce przekonamy, problem polega na tym, że nie każdy ma sumienie. Według najnowszych szacunków 4 procent wszystkich ludzi jest pozbawionych tego siódmego zmysłu. Przejdźmy teraz do opisu jednej z takich osób i przekonajmy się, jakie uczucia w nas wzbudzi.

---

[1] Księga Ezechiela 1, 4 (przyp. tłum.).

[2] G. Evans, *Mediaeval Commentaries on the* Sentences *of Peter Lombard*, Leiden 2002.

[3] Św. Augustyn, *Wyznania*, www.katedra.uksw.edu.pl/biblioteka/augustyn_wyznania.pdf; R. Saarinen, *Weakness of the Will in Medieval Thought from Augustine to Buridan*, Leiden 1994.

[4] Św. Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, www.katedra.uksw.edu.pl/suma/suma_1.pdf; B. Kent, *Transitory Vice. Thomas Aquinas on Incontinence*, „The Journal of the History of Philosophy" 27 (1989), s. 199–223; T. Potts, *Conscience in Medieval Philosophy*, Cambridge 1980.

[5] S. Freud, *The Ego and the Id*; *Civilisation and Its Discontents*, w: *The Standard Edition of the Complete Psychological Works of Sigmund Freud*, red. J. Strachey, New York 1990.

2

ZIMNI JAK LÓD: SOCJOPACI

Sumienie jest oknem naszej duszy, a zło jej zasłoną.
DOUG HORTON

Kiedy Skip był nastolatkiem, co roku wraz z rodziną spędzał część wakacji w domku letniskowym nad małym jeziorem położonym wśród wzgórz Wirginii. Jeździł tam, odkąd skończył osiem lat, aż do czasu, kiedy wyjechał do szkoły średniej w Massachusetts. Lubił spędzać lato w Wirginii. Nie miał tam dużo do roboty, ale jedno wymyślone przez niego zajęcie sprawiało mu taką frajdę, że rekompensowało ogólny brak rozrywek. Zimą, podczas nudnych lekcji prowadzonych przez szczególnie głupiego nauczyciela, uciekał we własny świat. W wyobraźni oddawał się swojej zabawie nad ciepłym jeziorem i chichotał w głos.

Już jako dziecko Skip był błyskotliwy i urodziwy. „Błyskotliwy i urodziwy", powtarzali w kółko rodzice, znajomi rodziców, a nawet nauczyciele. A jednak nie potrafili zrozumieć, dlaczego chłopiec miał marne wyniki w nauce ani dlaczego niezbyt interesował się dziewczynami, gdy nadeszła stosowna pora. Nie wiedzieli o tym, że Skip, odkąd skończył jedenaście lat, często umawiał się na randki, ale niezupełnie tak, jak to sobie wyobrażali rodzice i nauczyciele. Zawsze znajdowała się jakaś koleżanka, zazwyczaj starsza, która ulegała komplementom i czarującemu uśmiechowi Skipa. Dziewczyny często potajemnie wpuszczały go do swoich pokojów, a kiedy indziej znajdowały ustronne miejsce na placu zabaw lub pod trybunami otaczającymi boisko do softballa. Jeżeli chodzi o stopnie, Skip był naprawdę bardzo bystry – mógłby mieć same szóstki – ale oceny dostateczne nie wymagały od niego żadnego wysiłku i to mu wystarczało. Co jakiś czas dostawał lepsze stopnie, co bawiło go niezmiernie, ponieważ nigdy się nie uczył. Nauczyciele lubili chłopca. Sprawiali wrażenie niemal tak samo podatnych na jego uśmiechy i komplementy jak dziewczyny. Wszyscy uważali, że mimo słabych ocen młody Skip trafi do dobrej szkoły średniej, a następnie wyląduje na przyzwoitej uczelni.

Skip urodził się w zamożnej rodzinie – „megabogatej", jak mawiały inne dzieci. Gdy miał mniej więcej dwanaście lat, usiadł przy antycznym sekretarzyku z żaluzją, kupionym przez rodziców do jego sypialni, i próbował policzyć, ile pieniędzy przypadnie mu w udziale po ich śmierci. Swoje kalkulacje oparł na kilku dokumentach finansowych wykradzionych z gabinetu ojca. Dokumenty były zawiłe i niepełne, nie mógł więc uzyskać dokładnych danych, doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że pewnego dnia będzie bardzo bogaty.

Mimo to chłopiec nie był zadowolony, gdyż przez większość czasu nudził się jak mops. Rozrywki, którym się oddawał, nawet dziewczyny, oszukiwanie nauczycieli i fantazjowanie

o spadku, zajmowały go najwyżej przez pół godziny. Jeżeli chodzi o zapewnienie atrakcji, rodzinna fortuna wyglądała najbardziej obiecująco, ale na razie nie miał do niej dostępu ze względu na wiek. Nie, tak naprawdę jedynym lekarstwem na nudę był pobyt w Wirginii. Podczas wakacji Skip bawił się doskonale. Kiedy miał osiem lat, zaczął przebijać nożyczkami żaby ryczące. Odkrył, że można z łatwością chwytać płazy nad mulistymi brzegami jeziora za pomocą siatki na ryby przechowywanej w szopie ze sprzętem wędkarskim. Kładł żaby na grzbiecie, przytrzymywał je i przebijał ich pękate brzuszki, a następnie odwracał je i patrzył, jak się wykrwawiają, a ich głupie galaretowate oczka stopniowo zasnuwa mgła śmierci. Potem ciskał truchła do jeziora, najdalej jak potrafił, wrzeszcząc do nich: „Masz pecha, jebana żabko!”.

Jezioro obfitowało w płazy. Skip spędzał całe godziny, zabijając je, mimo to na następny dzień zostawały mu ich całe setki, jeżeli nie tysiące. Pod koniec pierwszych spędzonych w ten sposób wakacji uznał, że stać go na coś więcej. Znudził się przekłuwaniem żab. Byłoby super, gdyby się udało wysadzać je w powietrze, znaleźć coś, co rozerwałoby te tłuste obrzydlistwa od środka. Pod koniec wakacji przyszedł mu do głowy naprawdę świetny pomysł. W rodzinnej miejscowości miał wielu starszych kolegów. Wiedział, że jeden z nich, Tim, w kwietniu każdego roku wyjeżdża z rodziną do Karoliny Południowej, gdzie bez większych problemów można nabyć fajerwerki. Postanowił więc namówić Tima, by kupił dla niego kilka fajerwerków, ukrył je na dnie walizki i przeszmuglował do domu. Wiedział, że Tim będzie się bał, ale Skip potrafił być bardzo przekonujący, poza tym miał zamiar przekupić kolegę odpowiednią kwotą. Następnego lata będzie miał do dyspozycji nie nożyczki, ale fajerwerki!

Znalezienie gotówki w domu nie nastręczało trudności, więc plan miał duże szanse powodzenia. W kwietniu Skip wręczył Timowi dwieście dolarów na zestaw fajerwerków noszący nazwę „Gwiaździsty Sztandar”, reklamowany w czasopiśmie poświęconym broni. Kolejne sto dolarów wynagrodziło koledze jego trud. Kiedy wreszcie Skip odebrał przesyłkę, nie posiadał się z zachwytu. Wybrał zestaw „Gwiaździsty Sztandar”, ponieważ zawierał on największą liczbę fajerwerków, których rozmiary pasowały – lub prawie pasowały – do pyszczków żab. W skład zestawu wchodziły małe rzymskie ognie oraz kilka Lady Fingers, czyli smukłych małych czerwonych petard, oraz pakiet jednocalowych naboi zwanych Wizards, a także jego ulubione dwucalowe ładunki w pudełku z etykietką Mortal Destruction ozdobioną trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

Tego lata wtykał petardy jedna po drugiej w pyszczki złapanych płazów, podpalał je i rzucał wysoko w górę nad jezioro. Czasami kładł żabę z podpalonym ładunkiem na ziemi, odbiegał na bezpieczną odległość i z oddali obserwował eksplozję. Widok był niezwykły: krew, miazga, światła, czasami hałas i kolorowe, podobne do kwiatów kształty. Efekty były tak spektakularne, że wkrótce zapragnął, by jego genialną rozrywkę docenił ktoś inny. Pewnego popołudnia zwabił nad jezioro swoją sześcioletnią siostrę Claire, pozwolił, by pomogła mu złapać jedną z żab, a potem na jej oczach wysadził zwierzątko w powietrze. Dziewczynka zaczęła histerycznie krzyczeć i najszybciej jak mogła pobiegła z powrotem do domu.

Okazałą rodzinną „chatę”, ukrytą za kępą wysokich na ponad trzydzieści metrów choin, dzieliło od jeziora mniej więcej osiemset metrów. Oczywiście z tej odległości rodzice Skipa słyszeli odgłosy wybuchów, lecz myśleli, że to sztuczne ognie odpalane przez ich syna. Już dawno uświadomili sobie, że nie jest on dzieckiem, które pozwoliłoby się kontrolować, oraz że muszą starannie wybierać potyczki, które zamierzają z nim stoczyć. Dlatego nie chcieli robić mu wymówek z powodu fajerwerków nawet wtedy, gdy sześcioletnia Claire przybiegła

i powiedziała mamie, co jej brat robi z żabami. Przebywająca w domowej bibliotece matka Skipa nastawiła na maksimum głośność odtwarzanej z gramofonu muzyki, a Claire desperacko próbowała ukryć gdzieś swoją kotkę Emily.

SUPER SKIP

Skip jest socjopatą. Nie ma sumienia – nie ma ani krzty poczucia obowiązku opartego na więziach emocjonalnych – a jego późniejsze życie, które za chwilę opiszę, stanowi pouczający przykład, jak może funkcjonować inteligentny, dorosły człowiek pozbawiony tego wewnętrznego głosu.

Trudno nam sobie uzmysłowić, jak byśmy się czuli, gdybyśmy nie mieli sumienia. Równie trudno sobie wyobrazić, jak właściwie funkcjonuje człowiek pozbawiony empatii. Czy jako amoralna i niewrażliwa jednostka skończy osamotniony na marginesie społeczeństwa? Czy pozbawiony tak fundamentalnego wyróżnika człowieczeństwa nieustannie grozi i warczy? A może pożera wszystkich wzrokiem? Łatwo możemy wyobrazić sobie Skipa jako mordercę. W końcu zapewne zamordował rodziców dla pieniędzy? Niewykluczone, że sam został pozbawiony życia albo trafił w czeluści więzienia o zaostrzonym rygorze. Wszystkie te scenariusze wyglądają prawdopodobnie, ale w rzeczywistości nic podobnego się nie stało. Skip żyje, nigdy nikogo nie zabił, przynajmniej nie bezpośrednio, i – jak dotąd – nie oglądał więzienia od środka. Wprost przeciwnie, wprawdzie jeszcze nie odziedziczył pieniędzy rodziców, ale odniósł sukces i jest obrzydliwie bogaty. Gdybyście teraz spotkali go w restauracji lub na ulicy, wyglądałby jak każdy inny zadbany mężczyzna w średnim wieku w drogim garniturze.

Jakim cudem? Czy coś się zmieniło? Czy odzyskał sumienie? Nie. Prawdę mówiąc, wprost przeciwnie. Został Super Skipem.

Dzięki przyzwoitym, choć nie wybitnym wynikom w nauce, urokowi osobistemu i koneksjom rodziców dostał się do dobrej szkoły z internatem w Massachusetts. Rodzina odetchnęła z ulgą, po pierwsze dlatego że został przyjęty do szkoły, a po drugie dlatego że częściowo wyniósł się z jej życia. Nauczyciele nadal uważali go za czarującego młodego człowieka, lecz matka i siostra dostrzegły jego skłonności do manipulowania innymi. Skip wzbudzał w nich strach. Claire mawiała czasami o „dziwnym spojrzeniu Skipa”, a matka rzucała jej pełne przygnębienia spojrzenie sugerujące, że nie chce o tym rozmawiać. Oprócz nich prawie wszyscy widzieli tylko przystojną twarz młodego mężczyzny.

Skip rozpoczął naukę w tym samym college’u co jego ojciec (a wcześniej jego dziadek). Zasłynął ze skłonności do imprezowania i podrywania dziewcząt. Ukończył studia z typową dla siebie dostateczną średnią, podjął studia Master of Business Administration na mniej prestiżowej uczelni, ponieważ doszedł do wniosku, że najłatwiej będzie mu opanować reguły gry rządzące światem biznesu i zabawiać się, wykorzystując naturalne predyspozycje. Jego stopnie się nie poprawiły, ale doprowadził do perfekcji wrodzoną umiejętność czarowania ludzi i owijania ich sobie wokół palca.

W wieku dwudziestu sześciu lat dołączył do Arika Corporation, firmy produkującej sprzęt i urządzenia do robót strzelniczych, wiercenia i załadunku urobku dla kopalni rud metali. Zawsze potrafił olśnić kogo trzeba rozbrajającym uśmiechem i głębokim spojrzeniem niebieskich oczu. Nowi pracodawcy podziwiali jego niemal magiczne zdolności do motywowania przedstawicieli handlowych i do przekonywania kontrahentów. Sam Skip odkrył, że manipulowanie wykształconymi dorosłymi wcale nie przysparza mu większych trudności niż nakłonienie Tima, kolegi z dzieciństwa, do zakupu fajerwerków w Karolinie Południowej. Oczywiście kłamstwa,

przybierające coraz bardziej eleganckie formy, przychodziły mu z taką samą łatwością jak oddychanie. Co więcej, chronicznie znudzony Skip czerpał rozkosz z podejmowania decyzji pod presją czasu. W odróżnieniu od innych nie bał się nawet dużego ryzyka. W trzecim roku pracy w firmie zainteresował się eksploatacją złóż miedzi w Chile i złota w Afryce Południowej, dzięki czemu Arika została trzecim największym dostawcą sprzętu dla kopalni głębinowych i odkrywkowych na świecie. Założyciel Ariki, którego Skip prywatnie uważał za głupca, był nim tak oczarowany, że podarował mu nowe Ferrari GTB jako „prezent od firmy".

W wieku trzydziestu lat Skip ożenił się ze śliczną, łagodną dwudziestotrzyletnią Juliette. Jej ojciec, znany miliarder, zbił majątek na wydobyciu ropy naftowej. Skip zadbał o to, by teść uznał go za błyskotliwego, ambitnego syna, którego nigdy nie miał. On sam uważał teścia miliardera za przepustkę do niemal wszystkiego. Dość trafnie zauważył, że Juliette jako czarująca, powściągliwa kobieta z wyższych sfer w pełni zaakceptuje rolę żony i koordynatorki życia towarzyskiego, nie będzie też dociekać, dlaczego życie Skipa jest tak zupełnie wyzute z wszelkiej osobistej odpowiedzialności i obfituje w przypadkowe podboje seksualne. Jej powinnością będzie trwać u boku męża w roli atrakcyjnej, powszechnie szanowanej żony i trzymać buzię na kłódkę.

Na tydzień przed ślubem matka Skipa, która zbliżyła się do Juliette znacznie bardziej niż do syna, zmęczonym głosem zapytała go:

– To małżeństwo… Czy naprawdę musisz niszczyć jej życie?

Skip jak zwykle początkowo ją zignorował, lecz nagle coś zabawnego musiało przyjść mu do głowy, bo odpowiedział, uśmiechając się od ucha do ucha:

– Oboje dobrze wiemy, że nigdy się nie dowie, w co wdepnęła.

Matka Skipa przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną, po czym się wzdrygnęła.

Przed ukończeniem trzydziestu sześciu lat Skip – żonaty, ustawiony towarzysko, przynoszący swojej firmie blisko osiemdziesiąt milionów dolarów przychodu rocznie – został mianowany dyrektorem międzynarodowego oddziału Ariki oraz członkiem jej zarządu. Wraz z Juliette zdążyli się dorobić dwóch córeczek, a to uzupełniło kształtowany na potrzeby zewnętrzne wizerunek dobrego męża i ojca. Aktywność Skipa wiązała się z pewnymi dodatkowymi kosztami dla firmy, nie były one jednak zbyt wysokie. Pracownicy skarżyli się niekiedy na „wulgarność" lub „gwałtowność" dyrektora, a jedna z sekretarek pozwała firmę o odszkodowanie – złamała rękę, gdy Skip próbował ją zmusić, by usiadła mu na kolanach. Sprawę załatwiono w drodze ugody pozasądowej. Kobieta zobowiązała się zachować milczenie w zamian za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, czyli tyle co nic w porównaniu z budżetem firmy. Szef Ariki doskonale wiedział, że nie może pozwolić sobie na utratę Super Skipa.

Podczas rozmowy w cztery oczy Skip skomentował ten incydent w następujący sposób: „To wariatka. Sama złamała sobie rękę. Głupia dziwka, szarpała się ze mną. Po co, do cholery, tak się stawiała?".

Po zarzutach sekretarki pojawiły się kolejne oskarżenia o próby molestowania seksualnego, lecz Skip przedstawiał dla firmy tak dużą wartość, że za każdym razem, gdy pojawiały się jakieś problemy, Arika rozwiązywała je, wypisując kolejny czek. Pozostali członkowie zarządu zaczęli go nazywać gwiazdą. Za zasługi dla Ariki Skip otrzymał łącznie ponad milion jej akcji, co uczyniło go drugim co do wielkości prywatnym udziałowcem po jej założycielu. W 2001 roku, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, Skip objął stanowisko prezesa.

Ostatnio Skip musi radzić sobie z nieco trudniejszymi problemami, lecz z typową dla siebie

arogancją i może zbyt daleko posuniętą pewnością siebie utrzymuje, że znów wyląduje na czterech łapach. W 2003 roku Komisja Papierów Wartościowych i Giełd postawiła mu zarzut oszustwa finansowego. Oczywiście Skip nie przyznał się do niczego, a sprawa czeka na rozstrzygnięcie.

REGUŁY GRY

Nie, Skip nie został zepchnięty na margines społeczeństwa, nie zabija nikogo wzrokiem ani (jeszcze) nie trafił do więzienia. Wręcz przeciwnie, jest bogaty i szanowany w wielu kręgach – lub przynajmniej wzbudza strach znakomicie imitujący szacunek. Co więc nie pasuje do naszkicowanego powyżej portretu człowieka sukcesu? A może pytanie powinno raczej brzmieć: jaki jest *najgorszy* element tego portretu, główna skaza osobowości Skipa, która mimo odnoszonych przez niego sukcesów popycha go ku tragedii i czyni z niego sprawcę nieszczęść tak wielu innych osób? Odpowiedź brzmi: Skip nie ma absolutnie żadnych emocjonalnych więzi z innymi ludźmi. Jest zimny jak lód.

Matka służy mu do tego, by ją ignorować, a czasem się z nią drażnić, siostra do tego, żeby się nad nią znęcać. Inne kobiety są celem jego podbojów seksualnych i niczym więcej. Skip od dzieciństwa czeka, aż ojciec zrobi jedno: umrze i zostawi mu w spadku pieniądze. Pracownicy służą do tego, by nimi manipulować i wykorzystywać ich, tak samo jak zawsze czynił z przyjaciółmi. Żona i dzieci są na pokaz. Stanowią kamuflaż. Jako inteligentny człowiek Skip doskonale zna reguły gry rządzące światem biznesu. Lecz zdecydowanie jego najbardziej imponujący talent polega na umiejętności skrywania przed niemal wszystkimi pustki panującej w jego sercu oraz zmuszania do bierności i milczenia garstki tych, którzy o tym wiedzą.

Większość z nas zupełnie irracjonalnie pozostaje pod wpływem czyjegoś wyglądu zewnętrznego, a Skip zawsze był przystojny. Potrafi się uśmiechać. Emanuje urokiem osobistym, dlatego z łatwością wyobrażamy sobie, jak obsypuje pochlebstwami szefa, choć jednocześnie uważa go za głupca. W głębi duszy nie potrafi okazać wdzięczności nikomu. Po mistrzowsku nieustannie kłamie. Nie dręczy go poczucie winy, więc nie zdradzi go mowa ciała ani mimika. Wykorzystuje seksualność do manipulacji i ukrywa emocjonalną pustkę za maską licznych zasługujących na szacunek ról społecznych – supergwiazdy biznesu, zięcia, męża, ojca – gwarantujących mu niemal doskonały kamuflaż.

A jeżeli jakimś cudem czar, zmysłowość i odgrywanie różnych ról zawiodą, Skip wie, jak się posłużyć najgroźniejszą bronią ze swojego arsenału – strachem. Jego chłód emocjonalny poraża. Robert Hare pisze: „Wielu z nas nie radzi sobie z przeszywającym, wyzutym z emocji, »drapieżnym« wzrokiem socjopaty”[1]. Co wrażliwszym osobom z otoczenia Skipa jego niebieskie oczy, te same, które siostrze wydają się „dziwne”, przypominają beznamiętne oczy myśliwego wpatrującego się w psychologiczną ofiarę. Jeżeli tak jest, najprawdopodobniej zareagują one milczeniem.

Bo nawet jeżeli wiemy, jaki jest naprawdę, co kryje w swoim sercu i przejrzeliśmy jego sposób postępowania, jak go zdemaskujemy? Komu i co powiemy? „Jest kłamcą”? „To wariat”? „Zgwałcił mnie w swoim biurze”? „Ma straszne oczy”? „Zabijał żaby”? Przecież to filar społeczności w garniturze od Armaniego. To ukochany mąż Juliette, ojciec dwójki dzieci. Na miłość boską, mówicie o prezesie Arika Corporation! O co go oskarżacie i jakie macie na to dowody? I kto wyjdzie z twarzą z takiego pojedynku – prezes Skip czy jego oskarżyciele? Poza tym wiele osób zamożnych i posiadających wpływy potrzebuje Skipa z takiego czy innego powodu, co tylko potwierdza jego nietykalność. Czy przejmą się tym, co mamy im do powiedzenia?

Trudności ze zdemaskowaniem oraz wiele innych cech osobowości czynią ze Skipa modelowy przykład socjopaty. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne zwraca uwagę na „większą niż normalnie potrzebę stymulacji" u takiego człowieka, dlatego często podejmuje on bardzo ryzykowne działania i z poczuciem bezkarności zachęca innych, by poszli w jego ślady. W dzieciństwie przysparzał nieudokumentowanych „problemów z zachowaniem", zatuszowanych dzięki pozycji społecznej rodziców. Kłamie i manipuluje. Łączy impulsywność z agresją, „lekkomyślnie lekceważąc bezpieczeństwo innych", jak to miało miejsce w przypadku pracownicy, której złamał rękę, oraz innych kobiet, których historie nigdy nie ujrzą światła dziennego. Prawdopodobnie jedynym klasycznym „objawem" socjopatii niewystępującym u Skipa jest nadużywanie środków odurzających. Za najbliższy nałogowi nawyk można uznać skłonność do picia dużych ilości szkockiej whisky po kolacji. Poza tym jego portret należałoby uznać za kompletny. Skipa zupełnie nie interesuje tworzenie więzi, zawsze zachowuje się nieodpowiedzialnie i nie ma wyrzutów sumienia.

Co w takim razie chodzi mu po głowie? Jakie są motywy jego działania? Czego właściwie *chce*?

Większość z nas inspirują do działania inni ludzie. To właśnie oni występują w naszych pragnieniach, kształtują nasze życzenia i marzenia. Nasze serca i myśli wypełniają ci, którzy mieszkają z nami, którzy są daleko, ukochani zmarli, irytujący ludzie, którzy nie chcą nam dać spokoju, miejsca, do których czujemy sentyment z powodu spotkanych tam osób, a także domowe zwierzęta. W życiu nawet największych introwertyków ważną rolę odgrywają relacje międzyludzkie, reakcje, poglądy oraz sympatie i antypatie wobec innych. Prawie cała nasza literatura i pieśni opowiadają o intrygach emocjonalnych, romansach, trosce o kogoś, o odrzuceniu i ponownym spotkaniu. Zaliczamy się do istot, dla których związki z innymi odgrywają niezwykle ważną rolę. Tak było u naszych najwcześniejszych przodków – naczelnych. Jane Goodall stwierdza, że szympansy obserwowane przez nią w Gombe „posiadają bogaty repertuar zachowań służących utrzymaniu lub przywracaniu harmonii społecznej. (…) Obejmowanie, całowanie, poklepywanie i trzymanie się za ręce oznaczające powitanie po dłuższej rozłące. (…) Długie, odprężające chwile wzajemnego iskania się. Dzielenie się pożywieniem. Troska o chorych lub rannych towarzyszy"[2]. Kim bylibyśmy, gdyby nie nasze pierwotne więzi emocjonalne?

Najprawdopodobniej uczestniczylibyśmy w grze przypominającej gigantyczną partię szachów, w której rolę wież, skoczków i pionków odgrywaliby nasi bliźni. Właśnie na tym polega sedno socjopatycznych zachowań i żądz. Jedyną rzeczą, której Skip naprawdę pragnie – jedyną, która mu pozostała – jest zwyciężanie.

Skip nie traci czasu na poszukiwanie kogoś, kogo mógłby pokochać, bo nie potrafi kochać. Nie przejmuje się przyjaciółmi ani członkami rodziny, choćby byli chorzy lub wpadli w kłopoty, ponieważ nie umie martwić się o innych. Nie dba o otoczenie, dlatego nie jest w stanie odczuwać przyjemności wynikającej z dzielenia się z rodzicami lub z żoną swoimi niezaprzeczalnymi sukcesami w świecie biznesu. Może zjeść kolację z każdym, z kim ma ochotę, ale nie potrafi z nikim podzielić się tą chwilą. Kiedy przyszły na świat jego córki, nie bał się, lecz także nie odczuwał z tego powodu radości. Tak naprawdę nie potrafi się cieszyć przebywaniem z nimi ani patrzeniem, jak dorastają.

Istnieje jednak coś, co Skip potrafi robić i co wychodzi mu lepiej niż prawie wszystkim innym: doskonale zwycięża. Potrafi dominować. Potrafi naginać innych do własnej woli. Kiedy

był chłopcem, żaby umierały wtedy, gdy on sam uznał, że nadszedł na to czas. Jego siostra krzyczała wtedy, kiedy chciał. Teraz uczestniczy w zakrojonych na większą skalę i bardziej ekscytujących grach. W świecie, w którym ludzie z trudem wiążą koniec z końcem, Skip przed ukończeniem trzydziestu lat przekonał innych, by uczynili go bogatym. Potrafi okpić dobrze wykształconych pracowników, a nawet teścia miliardera. Wie, jak nastraszyć skądinąd obytych w świecie ludzi, a potem drwi z nich za ich plecami. Wpływa na poważne decyzje finansowe na szczeblu międzynarodowym, z większości z nich potrafi wyciągnąć korzyści dla siebie i nikt nie śmie mu się sprzeciwić. A jeżeli ktoś się poskarży, podcina mu nogi celnie wymierzoną uwagą. Wie, jak wywołać u innych strach, zaatakować ludzi, złamać rękę, zrujnować karierę, a jego bogaci koledzy wyjdą ze skóry, żeby nie poniósł za to konsekwencji, jakie musiałby ponieść zwykły człowiek. Wierzy, że może posiąść każdą kobietę, której zapragnie, i manipulować każdym napotkanym człowiekiem. Ostatnio dołączyli do tego grona członkowie Komisji Papierów Wartościowych.

Oto Super Skip. Przyjemność czerpie wyłącznie ze snucia intryg i z powiększania swojego majątku. Przez całe życie doskonalił umiejętności w tej dziedzinie. Dla Skipa liczy się tylko gra i chociaż jest za bystry, żeby się do tego głośno przyznać, uważa resztę z nas za naiwnych i głupich, bo nie postępujemy tak samo jak on. Właśnie to dzieje się w ludzkim umyśle pozbawionym więzi uczuciowych i sumienia. Życie ogranicza się do rywalizacji, a inni ludzie są w tej grze tylko pionkami, które można przestawiać, czymś, czego można używać jako tarczy lub co można wyrzucić.

Oczywiście niewiele osób dorównuje Skipowi poziomem inteligencji i atrakcyjnością fizyczną. Zgodnie z prawami statystyki większość z nas, w tym socjopaci, wypada przeciętnie pod względem intelektu i wyglądu, a machinacje zwykłych socjopatów nie zaliczają się do tej samej elitarnej ligi co prowadzone na globalną skalę rozgrywki Super Skipa. Wielu współczesnych psychologów – włącznie ze mną – po raz pierwszy dowiedziało się o istnieniu psychopatii z filmu edukacyjnego na ten temat. Oglądaliśmy go jako studenci w latach siedemdziesiątych XX wieku. Do prezentowanego w nim mężczyzny przylgnął przydomek Stamp Man (Facet od znaczków), ponieważ poświęcił on całe swoje życie realizacji osobliwego przedsięwzięcia polegającego na wykradaniu znaczków z amerykańskich urzędów pocztowych. Nie interesowało go posiadanie ani sprzedaż łupów. Jego jedyną ambicją było dokonanie włamania pod osłoną nocy, a następnie znalezienie kryjówki w pobliżu niedawno obrabowanego punktu, skąd mógł się przyglądać bezładnej bieganinie pierwszych przybyłych na miejsce urzędników oraz przyjazdowi policji. Chudy, blady, przypominający z wyglądu gryzonia mężczyzna przesłuchiwany na filmie nie wzbudzał w nikim lęku. Był co najwyżej przeciętnie inteligentny, dlatego nawet nie mógł marzyć o uczestnictwie w wielkiej grze Skipa na skalę międzynarodową, wymagającej wykonywania mistrzowskich posunięć przeciwko dysponującym miliardami przeciwnikom. Ale potrafił narzucić innym własne reguły gry, dlatego z psychologicznego punktu widzenia w postępowaniu Stamp Mana i Skipa można dostrzec zaskakujące analogie.

W przeciwieństwie do knowań Skipa plany Stamp Mana nie były ani finezyjne, ani skuteczne, gdyż po każdym włamaniu odnajdywano go i aresztowano. Nieskończenie wiele razy stawał przed sądem, a następnie wędrował do więzienia. Jego życie przebiegało według schematu: kradzież – przyglądanie się – wyrok – więzienie – wyjście z więzienia – ponowna kradzież. Ale nie przejmował się tym, ponieważ ostateczny wynik swoich poczynań uważał za

nieistotny. Z jego perspektywy liczyła się tylko gra oraz niezbity dowód, którym za każdym razem napawał się co najmniej przez godzinę: potrafił sprawić, by ludzie tańczyli tak, jak on, Stamp Man, im zagrał. Właśnie to oznaczało dla niego zwycięstwo. Ten przykład w nie mniejszym stopniu niż przypadek wyjątkowo bogatego Skipa ilustruje pragnienia socjopaty. Kontrolowanie innych – i wygrywanie – fascynuje go bardziej niż cokolwiek innego (lub ktokolwiek inny).

Przypuszczalnie ostateczną postacią dominacji nad inną osobą jest pozbawienie jej życia. Kiedy wyobrażamy sobie zaburzenia socjopatyczne, najpierw przychodzi nam na myśl psychopata oprawca lub bezwzględny seryjny morderca. Oprócz socjopatycznego przywódcy, który zmienia losy całego narodu, popychając go ku niepotrzebnej wojnie lub inicjując ludobójstwo, psychopatyczny zabójca stanowi z pewnością najbardziej przerażający przykład psychiki pozbawionej sumienia – najbardziej przerażający, ale wcale nie najczęściej spotykany. Czyny zbrodniarzy socjopatów zdobywają rozgłos. Czytamy o nich w gazetach, słyszymy o nich w telewizji, oglądamy ich w filmach i jesteśmy wstrząśnięci do głębi, gdy uświadamiamy sobie, że wśród nas krążą socjopatyczne potwory mogące z zimną krwią, bez wyrzutów sumienia zabić każdego z nas. Lecz wbrew powszechnie panującemu przekonaniu większość socjopatów to nie mordercy, przynajmniej nie w sensie skłonności do własnoręcznego pozbawiania życia innych ludzi. Tak mówią dane statystyczne. Mniej więcej jedna na dwadzieścia pięć osób jest socjopatą, ale pominąwszy więzienia, gangi i inne społeczności dręczone biedą i targane wewnętrzną agresją odsetek zabójców w całej populacji jest na szczęście znacznie niższy.

Kiedy socjopatia i żądza krwi spotkają się w jednej osobie, powstaje potwór (skądinąd doskonały materiał na film) – postać rodem z horroru sprawiająca wrażenie wręcz przerysowanej. Ale nie wszyscy socjopaci są wielokrotnymi lub seryjnymi mordercami. Trudno porównywać ich do Pol Pota lub do Teda Bundy'ego[3]. Większość z nich jest zupełnie przeciętnymi, podobnymi do nas ludźmi, których przez długi czas nie potrafimy zidentyfikować. Socjopaci bez sumienia to zazwyczaj osoby takie jak Skip, Stamp Man, matka instrumentalnie traktująca swoje dzieci, terapeutka wyżywająca się na bezbronnym pacjencie, uwodziciel manipulator, partner w interesach, który opróżnia nasz rachunek bankowy i znika, lub wykorzystująca ludzi urocza „przyjaciółka", która uparcie temu wykorzystywaniu zaprzecza. Metody wymyślane przez socjopatów w celu kontrolowania innych – intrygi knute po to, by zapewnić im „wygraną" – są dość różnorodne i rzadko wymagają stosowania przemocy fizycznej. Przemoc rzuca się bowiem w oczy i jeżeli nie jest wymierzona w całkowicie bezsilnych, na przykład w dzieci lub zwierzęta, istnieje duże prawdopodobieństwo schwytania sprawcy.

Jednak brutalne morderstwa – chociaż same w sobie przerażające – nie są najbardziej prawdopodobnym skutkiem braku sumienia. Socjopacie chodzi raczej o *grę*. Wygraną może być wszystko – od władzy nad światem do darmowego lunchu – ale w grze chodzi zawsze o to samo: o kierowanie innymi, o wywoływanie ich strachu, o dominację. Najwyraźniej wygrana to wszystko, co pozostaje z relacji międzyludzkich, gdy zabraknie przywiązania i sumienia. Kiedy wartość tego rodzaju relacji zostaje zredukowana niemal do zera, dominacja czasami wymaga potwierdzenia przez morderstwo. Częściej jednak socjopata dąży do niej, zabijając żaby, zaliczając seksualne podboje, eksploatując miedź w Chile lub kradnąc znaczki pocztowe tylko po to, żeby zobaczyć bezładną bieganinę innych.

CZY SOCJOPACI WIEDZĄ, ŻE SĄ SOCJOPATAMI?

Czy socjopaci wiedzą, kim są? Czy choćby częściowo uświadamiają sobie własną naturę, czy też gdyby przeczytali tę książkę od deski do deski, nie zorientowaliby się, że opowiada ona właśnie o nich? W swojej pracy często muszę odpowiadać na takie pytania. Zadają je zwłaszcza osoby, którym konflikt z socjopatą zniszczył życie i które odpowiednio wcześnie nie zorientowały się, z kim mają do czynienia. Trudno powiedzieć, dlaczego kwestia wglądu we własną naturę ma dla nas tak duże znaczenie. Może dlatego, że naszym zdaniem, jeżeli ktoś idzie przez życie nienękany poczuciem winy, przynajmniej powinien się do tego przyznać. Instynktownie czujemy, że jeżeli ktoś jest zły, powinien dźwigać ciężar świadomości tego stanu rzeczy. Właśnie dlatego doskonałe samopoczucie ludzi uważanych przez nas za niegodziwców odbieramy jako skrajną niesprawiedliwość.

A jednak najprawdopodobniej właśnie tak się dzieje. W większości przypadków osoby, których zachowanie oceniamy negatywnie, nie widzą w nim niczego zdrożnego. Socjopaci słyną z wypierania się odpowiedzialności za podejmowane przez siebie decyzje oraz za rezultaty swoich poczynań. W terminologii Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego kwestionowanie związku własnego nagannego postępowania z jego następstwami nosi nazwę „konsekwentnej nieodpowiedzialności” i stanowi podstawę do rozpoznania osobowości antyspołecznej. Skip dał temu wyraz, gdy stwierdził, że pracownica, której złamał rękę, właściwie sama ją sobie złamała, ponieważ niepotrzebnie się broniła. Ludzie pozbawieni sumienia są autorami niekończących się przykładów szokujących stwierdzeń typu „nic złego nie zrobiłem”. Do najsłynniejszych zalicza się wypowiedź Ala Capone, sadystycznego gangstera z Chicago czasów prohibicji: „Jutro wyjeżdżam do St. Petersburga na Florydę. Niech zacni obywatele Chicago sami troszczą się o trunki. Mam już dość tej roboty, jest niewdzięczna i przyprawia o ból głowy. Spędziłem najlepsze lata swojego życia w służbie dobra publicznego”. Inni socjopaci nie zaprzątają sobie głowy tak pokrętnym rozumowaniem ani nie cieszą się na tyle wpływową pozycją, by udało im się zmusić innych do słuchania ich oburzających wywodów. Zamiast tego, gdy tylko muszą skonfrontować się z negatywnymi następstwami własnych działań, powtarzają po prostu „ja tego nie zrobiłem” i wszystko wskazuje na to, że wierzą w swoje kłamstwa. Właśnie ta cecha socjopatów wyklucza uzyskanie przez nich samoświadomości. Jak już wiemy, socjopata nie wchodzi w żadne prawdziwe relacje z innymi ludźmi, a teraz okazuje się również, że jego relacje z samym sobą mają równie wątłe podstawy.

Ludzie pozbawieni sumienia zazwyczaj uważają swój sposób funkcjonowania w świecie za lepszy od naszego. Niektórzy drwią z naszej naiwności, śmiesznych skrupułów lub dziwią się, dlaczego tak wielu z nas wzdraga się przed manipulacją, nawet gdyby miała nam pomóc spełnić najważniejsze ambicje. Inni uważają wszystkich ludzi za takich samych: ich zdaniem jesteśmy pozbawieni zahamowań tak jak oni, ale postępujemy nieuczciwie, udając, że słuchamy wyimaginowanego głosu jakiegoś „sumienia”. Powyższe stwierdzenie prowadzi tylko do jednego wniosku: jedynymi niezakłamanymi i uczciwymi ludźmi na świecie są sami socjopaci. Tylko oni zachowują „autentyczność” w społeczeństwie pozerów.

Mimo wszystko nie tracę nadziei. Może jednak istnieje w nich cichy, ukryty głęboko przed świadomością, wewnętrzny głos szepczący, że brakuje im czegoś, co mają inni? Wspominam

o tym, ponieważ słyszałam socjopatów przyznających się do odczuwania „wewnętrznej pustki”, a nawet „jałowości”. Mówię o tym, ponieważ to, czego socjopaci nam zazdroszczą i co mogą próbować zniszczyć podczas prowadzonej przez siebie gry, zazwyczaj stanowi jakąś cechę charakteru osoby obdarzonej sumieniem, dlatego często obierają sobie oni za cel silne osobowości. Zwracam uwagę na tę prawidłowość przede wszystkim dlatego, że obiektem ataku są ludzie, a nie ziemia ani świat materialny w różnych postaciach. Socjopaci potrzebują innych ludzi do swoich gier. Nie interesują ich wyzwania rzucane przez przedmioty nieożywione. Terrorystom niszczącym wieże World Trade Center chodziło przede wszystkim o przebywających tam ludzi oraz o tych, którzy mieli zobaczyć katastrofę i usłyszeć o niej. To proste, lecz fundamentalne spostrzeżenie sugeruje, że socjopata do pewnego stopnia identyfikuje się z pozostałymi istotami ludzkimi, odczuwa więź z przedstawicielami tego samego gatunku. Lecz ta wątła wrodzona więź umożliwiająca odczuwanie zazdrości pozostaje jednowymiarowa i jałowa, zwłaszcza w porównaniu z licznymi, wielowymiarowymi, silnymi reakcjami emocjonalnymi okazywanymi przez większość z nas w relacjach z innymi istotami ludzkimi pojmowanymi jako grupa.

Gdybyśmy nie odczuwali wobec innych niczego więcej prócz zimnego pragnienia, by „wygrać”, jak zdołalibyśmy pojąć znaczenie miłości, przyjaźni lub troski? Nie zrozumielibyśmy tych uczuć. Po prostu nadal dominowalibyśmy, zaprzeczalibyśmy i czulibyśmy się lepsi od nich. Być może niekiedy odczuwalibyśmy pustkę, niezadowolenie, ale to wszystko. Jak moglibyśmy zrozumieć, kim jesteśmy, całkowicie negując nasz faktyczny wpływ na innych? Powtórzę jeszcze raz: nie zrozumielibyśmy tego. Lusterko Super Skipa, tak jak sam Super Skip, potrafi tylko kłamać. Lustrzane odbicie nie pokazuje chłodu jego duszy. Ten sam Skip, który jako dziecko podczas wakacji mordował żaby nad skądinąd spokojnym jeziorem w Wirginii, kiedyś umrze, nie rozumiejąc, że jego życie mogło być wypełnione sensem i ciepłem.

---

[1] R. Hare, *Without Conscience. The Disturbing World of the Psychopaths Among Us*, New York 1999, s. 208.

[2] J. Goodall, *Przez dziurkę od klucza. 30 lat obserwacji szympansów nad potokiem Gombe*, tłum. J. Prószyński, Warszawa 1995, s. 237.

[3] Amerykański seryjny morderca kobiet. Przyznał się do trzydziestu zabójstw, lecz dokładna liczba jego zbrodni pozostaje nieznana. Stracony w 1989 roku (przyp. tłum.).

3

KIEDY NORMALNE SUMIENIE ŚPI

Ceną wolności jest nieustanne czuwanie.
THOMAS JEFFERSON

Sumienie nadaje życiu sens. Jako świadomość pewnych ograniczeń zakorzeniona w naszych więziach uczuciowych z innymi ludźmi zapobiega sprowadzeniu życia do długiej i w gruncie rzeczy nudnej gry polegającej na próbach zdominowania naszych bliźnich. Każde narzucone przez nie ograniczenie umożliwia człowiekowi nawiązanie więzi z kimś lub czymś innym, buduje most prowadzący do kogoś lub czegoś znajdującego się poza naszymi intrygami, często pozbawionymi znaczenia. Jeżeli weźmiemy pod uwagę bezduszną alternatywę – podobieństwo do Skipa – sumienie staje się czymś, czego należałoby bardzo pragnąć. Nasuwa się więc pytanie: czy u 96 procent osób niebędących socjopatami sumienie się zmienia? Czy kiedykolwiek się waha, słabnie lub obumiera?

Nawet u przeciętnego człowieka sumienie nie zawsze działa z jednakową intensywnością. Jedną z najprostszych przyczyn tej zmienności jest fakt, że zamieszkuje ono niedoskonałe, targane popędami ludzkie ciało. Kiedy doskwiera nam przemęczenie, gdy jesteśmy chorzy lub ranni, wszystkie funkcje emocjonalne, w tym sumienie, mogą ulec tymczasowemu upośledzeniu.

Aby zilustrować tę kwestię, załóżmy, że Joe – adwokat i właściciel psa Reeboka – jedzie do pracy z wysoką gorączką sięgającą 39 stopni. Najwyraźniej zdrowy rozsądek mężczyzny nie funkcjonuje jak należy, ponieważ mimo choroby usiłuje on dotrzeć na spotkanie. A co z jego zmysłem moralnym? Bezlitosny wirus atakuje organizm prawnika, gdy ten nagle uświadamia sobie, że zostawił ukochanego psa bez jedzenia. Co wtedy zrobi? W tej wersji historii Joemu prawdopodobnie ledwo wystarczy sił na realizację przygotowanego wcześniej planu. Nie będzie mógł szybko myśleć, decydować, co jest ważniejsze – praca czy pies, ani zmienić raz podjętej decyzji, tak jak to robi zdrowy Joe. Jest rozpalony, ma mdłości, a teraz emocjonalna reakcja na niedolę Reeboka bezpośrednio konkuruje z jego własnym trudnym położeniem. Zapewne sumienie mimo wszystko zwycięży. Z drugiej strony niewykluczone, że osłabiony chorobą mężczyzna nie postąpi całkowicie zgodnie z własnymi przekonaniami. Idąc drogą najmniejszego oporu, pewnie pojedzie dalej i spróbuje jakoś przetrwać zaplanowany dzień, a Reebok, chociaż niezupełnie zapomniany, zostanie na jakiś czas zepchnięty na emocjonalny dalszy plan.

Niechętnie dopuszczamy do siebie tę myśl, ale warto się przyjrzeć tej jakże ciekawej, a zarazem bardzo prawdziwej zależności: na nasze szlachetne sumienie, element scalający i nadający sens życiu, niekiedy bardzo istotny wpływ wywierają czynniki tak zupełnie

niezwiązane z pojęciem dobra i zła, tak dalece niekojarzące się z naszą moralną wrażliwością jak grypa, zarwana noc, wypadek samochodowy lub ból zęba. Normalne sumienie nigdy nie zanika, lecz kiedy ciało słabnie, sumienie może popaść w senność i zamroczenie.

Słabość ciała to jedna z dwóch okoliczności – druga to przerażenie – które w naszym mniemaniu wynoszą działające bez przerwy, czujne sumienie na wyżyny heroizmu. Jeżeli ktoś jest poważnie chory, ranny lub przestraszony, a mimo to pozostaje wierny swoim emocjonalnym zobowiązaniom, uważamy go za odważnego. Klasycznym przykładem jest żołnierz na froncie, który mimo odniesionych obrażeń ratuje towarzysza broni spod ostrzału. Uznajemy takie czyny za odważne, co stanowi milczące potwierdzenie, że dotkliwy ból i strach zazwyczaj zagłuszają głos sumienia. I gdyby mimo bardzo wysokiej gorączki Joe nadłożył drogi po to, by zająć się Reebokiem, moglibyśmy uznać jego zachowanie za drobny przejaw bohaterstwa. Zareagowalibyśmy czymś więcej niż tylko sentymentalnym uśmiechem. Zapewne chcielibyśmy nawet przyjaźnie uściskać prawnika.

Co dziwne, nasz organizm wpływa na sumienie także za pośrednictwem hormonów. Omawiając w skrócie tę postać upośledzenia sumienia, odwołam się do danych liczbowych Krajowego Biura Informacji Adopcyjnej, zgodnie z którymi 15–18 procent dzieci urodzonych ostatnio w USA uznaje się za „niechciane przez matkę” w chwili poczęcia. Można przyjąć, że niektóre ciąże były skutkiem niewiedzy lub wypadków, lecz z całą pewnością setki tysięcy nowo narodzonych Amerykanów wiedzie potem niepewne życie niechcianych dzieci tylko dlatego, że popęd przyćmił na kilka minut sumienie ich rodziców. Mówiąc o presji seksualności, przyznajemy, że zmaganie się z biologiczną stroną naszej natury bywa bardzo trudne i dlatego w tym kontekście nadajemy przykładom sprawnie funkcjonującego sumienia wzniosłą rangę „cnoty”. W myśl tej definicji często jesteśmy bardziej „cnotliwi” jako czterdziestolatkowie, niż wówczas, gdy mieliśmy dwadzieścia lat. Tę „cnotę” osiąga się po prostu wraz z wiekiem.

Istnieją również inne biologiczne czynniki zakłócające funkcjonowanie sumienia. Należą do nich różnorakie zaburzenia umysłowe, zwłaszcza z grupy schizofrenii, niekiedy nakazujące chorym postępować na podstawie psychotycznych urojeń. Tłumaczenie osób, których mózg został tak upośledzony – „jakieś głosy kazały mi to zrobić” – wcale nie jest żartem, lecz straszliwą rzeczywistością. Nękana omamami osoba, której psychoza na przemian nasila się i słabnie, zapewne jednak kiedyś „przebudzi się” z obłędu i odkryje, że działała pod wpływem urojeń wbrew własnemu sumieniu i woli.

Na szczęście istnieje dość ograniczona liczba źródeł presji wywieranej przez nasze ciało na sumienie. Pomijając pole walki, sytuacje, kiedy musimy podejmować istotne moralne decyzje po odniesieniu poważnych obrażeń, nie przytrafiają się nam codziennie ani nawet co roku. Większość z nas równie nieczęsto przeżywa seksualne zauroczenie. Przypadki niekontrolowanej schizofrenii paranoidalnej spotyka się dość rzadko. Dlatego nawet rozpatrywane łącznie biologiczne ograniczenia naszego zmysłu moralnego wyjaśniają niewielki odsetek przypadków niezrozumiałego złego zachowania, o których o każdej porze dnia donosi prasa i telewizja. Schizofrenicy raczej nie organizują się w grupy terrorystyczne. Pod wpływem bólu zębów nie popełnia się zbrodni nienawiści. Uprawianie seksu bez zabezpieczeń nie prowadzi do wybuchu wojen.

W takim razie co do nich prowadzi?

WYKLUCZENIE MORALNE

Co roku 4 lipca mieszkańcy małego nadmorskiego miasteczka w Nowej Anglii, w którym mieszkam, rozpalają na plaży wysokie na trzy piętra ognisko. Połączone gwoździami palety z suchego drewna umiejętnie ustawia się jedna na drugiej. Powstała w ten sposób wieża dominuje nad naszym uroczym krajobrazem przez kilka dni przed wyznaczoną datą. Odpowiednio dobrana liczba desek i prześwitów w konstrukcji zapewniających przepływ powietrza gwarantuje szybkie rozniecenie ognia. Wieżę podpala się po zapadnięciu zmroku w obecności ochotniczej straży pożarnej, której drużyna na wszelki wypadek stoi obok z sikawkami gotowymi do użycia. Panuje uroczysta atmosfera. Zespół wykonuje patriotyczne pieśni. Serwuje się hot dogi, chłodzone napoje Slurpee, a na koniec odbywa się pokaz fajerwerków. Kiedy ognisko się wypali, dzieci wracają na plażę, gdzie strażacy usłużnie oblewają je wodą.

Tę tradycję kultywuje się w miasteczku od sześćdziesięciu lat, ale ponieważ nie przepadam za wielkimi ogniskami, uczestniczyłam w tej uroczystości tylko raz, w 2002 roku, za namową przyjaciół. Zdumiała mnie liczba ludzi, którzy w jakiś sposób pomieścili się na naszym maleńkim skrawku atlantyckiego wybrzeża. Niektórzy przyjechali z miejscowości oddalonych o osiemdziesiąt, a nawet więcej kilometrów. Przepychałam się przez tłum, chcąc znaleźć miejsce na tyle blisko, żeby zobaczyć ognisko, lecz jednocześnie na tyle daleko, by nie przypalić sobie brwi (przynajmniej tak mi się wydawało). Ostrzeżono mnie, że kiedy ognisko zapłonie, zrobi się znacznie goręcej, niż potrafię sobie to wyobrazić, chociaż temperatura powietrza przekraczała już 32 stopnie. W blasku zachodzącego słońca rozległy się pokrzykiwania, gwizdy i nawoływania, żeby podpalić wieżę, i gdy w końcu rozniecono ogień, wszyscy jak na komendę zamilkli. Płomienie natychmiast zaczęły pochłaniać drewnianą konstrukcję niczym nieokiełznany żywioł, od piaskowego podłoża ku nocnemu niebu, które nagle rozbłysło przerażającym blaskiem. Wtedy nadeszło uderzenie gorąca. Poczuliśmy, jak napiera na nas fala nieznośnego, przerażającego, rozgrzanego do czerwoności powietrza o konsystencji przypominającej ciało stałe. Zaskoczony tłum odsuwał się od płonącej wieży. Za każdym razem, gdy sądziłam, że jestem już wystarczająco daleko, musiałam się odsunąć o kolejne pięćdziesiąt metrów, a potem jeszcze dalej i dalej. Twarz mi płonęła. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ognisko, nawet wysokie na trzy piętra, potrafi wytworzyć aż tyle ciepła.

Gdy tylko ludzie wycofali się na bezpieczną odległość, wróciło poczucie radosnej fascynacji, a gdy płomienie strawiły wierzchołek wieży, tłum zaczął wiwatować. Ozdobę na szczycie wykonano tak, by przypominała mały domek. Teraz szalało w nim miniaturowe piekło. Ten widok, nieokreślone poczucie zagrożenia oraz gorąco dziwnie mnie poruszyły. Nie bardzo mogłam dzielić z innymi świątecznego nastroju. Zamiast tego nieco przewrotnie pomyślałam o paleniu czarownic na stosach w XVI i XVII wieku, czego nigdy nie potrafiłam pojąć. Chociaż było mi gorąco, zadrżałam. Czytać o stosie na tyle dużym, by spalić na nim istotę ludzką, to jedno, lecz stać naprzeciwko podobnej konstrukcji wśród podekscytowanego, pohukującego tłumu to zupełnie coś innego. Nie mogłam zapomnieć o ponurych historycznych skojarzeniach, które nie pozwalały mi się cieszyć podniosłą chwilą.

Zastanawiałam się, jak doszło do palenia czarownic na stosach. Jak to możliwe, że kiedyś

takie koszmarne widowiska były rzeczywistością? W typowym dla psychologa odruchu rozejrzałam się po zgromadzonych. Z pewnością nie otaczali mnie oszołomieni uchodźcy baskijscy z 1610 roku gorączkowo szukający wyznawców szatana, których mogliby spalić. Znajdowałam się w środku tłumu obywateli nowego milenium, ceniących pokój, dalekich od histerii, nienaznaczonych ubóstwem ani groźnymi zabobonami. Nie wyczuwałam żądzy krwi ani zniewolenia sumień. Śmialiśmy się w poczuciu sąsiedzkiej bliskości. Jedliśmy hot dogi, popijaliśmy slurpee i świętowaliśmy Dzień Niepodległości. Nie byliśmy bezduszną, amoralną tłuszczą i w żadnym wypadku nie zgromadziliśmy się po to, by oglądać morderstwo, nie wspominając o torturach. Gdyby nagle w wyniku jakiegoś dziwacznego zakrzywienia czasoprzestrzeni wśród olbrzymich płomieni zaczęła się wić ludzka postać, zaledwie garstka stojących wśród nas anonimowych socjopatów przyglądałaby się temu beznamiętnie, a może nawet miałaby niezłą rozrywkę. A reszta? Kilku sparaliżowanych niedowierzaniem poczciwców gapiłoby się, garstka szczególnie odważnych usiłowałaby interweniować, a ogarnięta zrozumiałym przerażeniem większość uciekłaby. Wcześniej radosne ognisko zmieniłoby się w traumatyczną wizję, która wryłaby się nam w pamięć do końca życia.

Lecz co by było, gdyby na stosie płonął Osama bin Laden? Jak zareagowałby amerykański tłum w 2002 roku, gdyby nagle miał uczestniczyć w publicznej egzekucji osoby uznanej za najnikczemniejszego złoczyńcę na świecie? Czy ci zazwyczaj postępujący zgodnie z sumieniem, uczęszczający do kościoła, unikający przemocy ludzie staliby z boku i pozwoliliby na to? Czy dałoby się wyczuć entuzjazm, albo przynajmniej przyzwolenie, zamiast mdłości i przerażenia na widok konającej w mękach istoty ludzkiej?

Otoczona tłumem dobrych ludzi nagle doznałam olśnienia: moglibyśmy wcale nie uznać tego widoku za przerażający po prostu dlatego, że nie uważamy Osamy bin Ladena za człowieka. Osama, by zapożyczyć określenie z *Roots of Evil* (Korzeni zła) Ervina Stauba[1], został całkowicie „wykluczony z naszego moralnego wszechświata". W jego przypadku nasze sumienie już nie interweniuje. Nie jest człowiekiem. Jest *przedmiotem*. Niestety ta transformacja człowieka w przedmiot czyni go tym bardziej przerażającym.

Wydaje się, że niektórzy ludzie, na przykład terroryści, zasługują na wykluczenie moralne. Innymi przykładami *przedmiotów* są zbrodniarze wojenni, porywacze dzieci i seryjni mordercy. We wszystkich tych przypadkach potrafimy przedstawić (i przedstawiamy) słuszne lub nie, lecz przemyślane argumenty usprawiedliwiające odmawianie im prawa do współczucia. Lecz przeważnie nasza gotowość do redukowania ludzi do nieistot nie jest ani przemyślana, ani świadoma. Na przestrzeni dziejów nasza skłonność do odczłowieczania zbyt często dotykała w gruncie rzeczy niewinnych osób. Lista wykluczonych grup, przez niektórych zdegradowanych do statusu podludzi, na takim czy innym etapie historii, jest bardzo długa. Jak na ironię obejmuje ona kategorie, do których można by zaliczyć prawie wszystkich spośród nas: czarnych, komunistów, kapitalistów, gejów, rdzennych Amerykanów, Żydów, obcokrajowców, „czarownice", kobiety, muzułmanów, chrześcijan, Palestyńczyków, Izraelczyków, biednych, bogatych, Irlandczyków, Anglików, Amerykanów, Syngalezów, Tamilów, Albańczyków, Chorwatów, Serbów, Hutu, Tutsi i Irakijczyków, by wymienić tylko kilka grup.

A kiedy już w grupie innych pojawiły się *przedmioty*, wolno nam zrobić z nimi wszystko, zwłaszcza jeżeli osoba mająca władzę lub wpływy wyda stosowny rozkaz. Sumienie przestaje być potrzebne, ponieważ ono wiąże nas z innymi istotami, a nie z *przedmiotami*. Ono nadal istnieje, niewykluczone nawet, że wiele od nas wymaga, ale zwraca się wyłącznie ku naszym

rodakom, naszym przyjaciołom i naszym – ale już nie waszym – dzieciom. Jesteście wykluczeni z naszego moralnego wszechświata, dlatego teraz możemy bezkarnie, a może nawet przy aprobacie innych członków naszej grupy wyrzucić was z domu, wystrzelać waszą rodzinę lub spalić was żywcem.

Dodam tylko, że podczas obchodów Dnia Niepodległości w 2002 roku nie stało się nic złego. Z tego, co wiem, makabryczne myśli prześladowały tylko mnie. Płomienie strawiły wyłącznie drewno. Ognisko było widowiskowe, a potem zgodnie z planem się wypaliło. Roześmiane dzieci, bezpieczne w swoim rodzinnym miasteczku, dokazywały na plaży, polewane wodą przez strażaków. Byłoby dobrze, gdyby wszystkie zgromadzenia zawsze przebiegały równie spokojnie.

NOWE SZATY CESARZA

Kiedy sumienie pogrąża się w głębokim transie, gdy trwa w uśpieniu mimo tortur, wojen i ludobójstwa, przywódcy polityczni oraz inne wpływowe jednostki, zamiast się godzić na trwanie tego amoralnego koszmaru, mogą doprowadzić do stopniowego przebudzenia siódmego zmysłu. Historia uczy nas, że płynące z góry postawy oraz plany mające na celu pragmatyczne rozwiązywanie kwestii ubóstwa i poczucia zagrożenia, zamiast wskazywać kozła ofiarnego w postaci jakiejś grupy, mogą pomóc nam bardziej realistycznie postrzegać „innych". Z czasem moralne przywództwo może wiele zmienić. Lecz historia pokazuje również, że pozbawiony siódmego zmysłu przywódca potrafi zahipnotyzować sumienie grupy, doprowadzając do katastrofy. Pragnąc zwiększyć siłę rażenia niszczycielskiej ideologii, odwołuje się do propagandy opartej na strachu. Umie przekonać członków owładniętego przerażeniem społeczeństwa, że postrzegani jako przedmioty „inni" są jedyną przeszkodą uniemożliwiającą nam, a może nawet całej ludzkości, dobre życie, a sam konflikt przedstawia w kategoriach epickiej walki dobra ze złem. Gdy takie poglądy się rozpowszechnią, unicestwianie „innych" bez żalu i wyrzutów sumienia może z mrożącą krew w żyłach łatwością przerodzić się w godną uznania misję.

Ten drugi typ przywódcy z niepokojącą regularnością pojawia się w historii ludzkości, co nasuwa wiele kłopotliwych pytań. Dlaczego pozwalamy historii się powtarzać niczym zdartej płycie, która nie zmusza do myślenia? Dlaczego wciąż pozwalamy przywódcom motywowanym własnym interesem lub wcześniejszymi problemami o podłożu psychicznym przekształcać niezadowolenie i kryzysy polityczne w zbrojne konfrontacje, a nawet wojny? Dlaczego w najgorszych przypadkach pozwalamy ludziom myślącym tak jak Skip rządzić i igrać z ludzkim życiem w walce o dominację? Co się dzieje z naszymi indywidualnymi sumieniami? Dlaczego nie stajemy w obronie tego, co czujemy?

Kto wie czy nie wpadliśmy w stan przypominający trans[2]. To właśnie on pozwala nam wierzyć, że ci, którzy tracą życie, to tylko *przedmioty*. Oczywiście istnieje jeszcze strach, któremu często towarzyszy poczucie bezsilności. Rozglądamy się w tłumie i myślimy: „Zbyt wielu jest przeciwko mnie", „Nie słychać, żeby inni protestowali", lub z jeszcze większą rezygnacją: „Taki po prostu jest świat", „Taka jest polityka". Podobne odczucia i opinie mogą znacząco stępić nasz zmysł moralny, ale tam, gdzie wchodzi w grę zablokowanie sumienia przez autorytet, istnieje coś skuteczniejszego i bardziej fundamentalnego niż uprzedmiotowienie „innych", coś bardziej złowrogiego i przygnębiającego niż poczucie bezsilności, a więc z całą pewnością trudniejszego do przezwyciężenia niż strach. Po prostu jesteśmy zaprogramowani do posłuszeństwa wobec autorytetu *nawet wbrew głosowi własnego sumienia*.

W latach 1961–1962 w New Haven w Connecticut profesor Stanley Milgram z Uniwersytetu Yale zaplanował i sfilmował jeden z najbardziej zdumiewających eksperymentów psychologicznych[3]. Badacz postanowił zderzyć skłonność człowieka do możliwie najpełniejszej uległości wobec autorytetu z indywidualnym głosem sumienia. Opisując swoją metodę badawczą, stwierdził: „Spośród wszystkich norm moralnych najbliższa powszechnej akceptacji zasada brzmi: nie wolno zadawać cierpienia osobie bezbronnej, która nie wyrządza nam szkody ani nam nie zagraża. Zasada ta będzie stanowić naszą przeciwwagę dla

posłuszeństwa”.

Eksperyment Milgrama był wyjątkowo prosty, a jego sfilmowana wersja od czterdziestu lat wzbudza oburzenie humanistów i niczego niepodejrzewających studentów. Do laboratorium psychologicznego przybywa dwóch nieznających się wcześniej mężczyzn, by wziąć udział w badaniu nad funkcjonowaniem pamięci i procesem opanowywania nowych umiejętności. (Ochotnicy otrzymywali 4 dolary za udział i 50 centów na pokrycie kosztów dojazdu). W laboratorium eksperymentator (w wersji filmowej sam Stanley Milgram) wyjaśnia obu mężczyznom, że badanie dotyczy „wpływu kar na proces uczenia się”. Jeden z mężczyzn odgrywa rolę ucznia, zostaje wyprowadzony do drugiego pomieszczenia i posadzony na krześle. Wszyscy widzą, jak pomocnik naukowca bezceremonialnie przypina mu ręce pasami do fotela, „by się niepotrzebnie nie wiercił”, a do jego nadgarstków przytwierdza elektrody. „Uczeń” ma za zadanie zapamiętywać pary wyrazów z uprzednio przygotowanej listy (niebieskie pudełko, ładny dzień, dzika kaczka itd.). Za każdym razem, kiedy się pomyli, zostanie porażony prądem elektrycznym, przy czym każdy kolejny błąd jest karany silniejszym wstrząsem.

Druga osoba odgrywa rolę nauczyciela. „Nauczyciel” widzi, jak pomocnik eksperymentatora przypina „ucznia” pasami do krzesła i podłącza elektrody, a następnie sam trafia do innego pomieszczenia i zostaje poproszony o zajęcie miejsca za dużą, złowrogo wyglądającą konsolą zwaną generatorem wstrząsów. Na konsoli znajduje się trzydzieści ułożonych poziomo przycisków odpowiadających poziomom napięcia – od 15 do 450 V w odstępach co 15 V. Oprócz cyfr pod przyciskami umieszczono także opisy, począwszy od informacji: LEKKI WSTRZĄS do groźnie brzmiącego: NIEBEZPIECZEŃSTWO – BARDZO SILNY WSTRZĄS. „Nauczyciel” otrzymuje listę z parami wyrazów. Jego zadanie polega na przetestowaniu znajdującego się w drugim pomieszczeniu „ucznia”. Jeżeli ten udzieli właściwej odpowiedzi – na przykład nauczyciel powie „niebieskie”, a uczeń odpowie „pudełko” – mogą przejść do kolejnej pozycji na liście. Jeżeli jednak uczeń się pomyli, nauczyciel ma obowiązek nacisnąć przycisk i wymierzyć uczniowi karę w postaci wstrząsu elektrycznego. Eksperymentator instruuje nauczyciela, by zaczął od najsłabszego wstrząsu i z każdą błędną odpowiedzią zwiększał jego siłę o jeden poziom.

W rzeczywistości „uczeń” znajdujący się w drugim pomieszczeniu jest przeszkolonym współpracownikiem eksperymentatora – aktorem, który nie zostanie poddany żadnym wstrząsom. „Nauczyciel” o tym nie wie, gdyż to właśnie on jest faktycznym obiektem badania.

Po odczytaniu kilku pierwszych par słów z testu głos ucznia – niewidocznego pomocnika Milgrama znajdującego się w innym pomieszczeniu – zaczyna brzmieć żałośnie. Ukarany wstrząsem o napięciu 75 V uczeń cicho jęczy. Po wstrząsie o napięciu 120 V głośno skarży się eksperymentatorowi na odczuwany ból, a przy napięciu 150 V domaga się przerwania eksperymentu. W miarę jak wstrząsy przybierają na sile, protesty ucznia stają się coraz bardziej rozpaczliwe, a przy 285 V słychać rozdzierający krzyk. Eksperymentator – profesor z Yale w białym fartuchu laboratoryjnym – staje za „nauczycielem” siedzącym za konsolą generatora i beznamiętnym głosem poleca: „Proszę kontynuować”, „Procedura wymaga, żeby pan kontynuował” lub „Czy się to uczniowi podoba, czy nie, musi pan robić swoje, dopóki nie nauczy się poprawnie wszystkich par wyrazów. Proszę więc nie przerywać”.

Milgram powtórzył to samo doświadczenie czterdzieści razy z czterdziestoma różnymi osobami – ludźmi, którzy „w życiu codziennym zachowywali się odpowiedzialnie i przyzwoicie”, takimi jak nauczyciele szkół średnich, urzędnicy pocztowi, przedstawiciele

handlowi, pracownicy fizyczni i inżynierowie. Badani reprezentowali zróżnicowany poziom wykształcenia: jedna osoba nie ukończyła szkoły średniej, natomiast kilka legitymowało się tytułami doktorskimi lub innymi stopniami potwierdzającymi ich kwalifikacje. Eksperyment miał na celu stwierdzenie, jak wiele czasu minie, zanim badani („nauczyciele") zakwestionują autorytet Milgrama, poddając się jednoznacznemu imperatywowi moralnemu. Jak silne elektrowstrząsy zaaplikują krzyczącemu z bólu nieznajomemu tylko dlatego, że tak polecił im autorytet?

Przed pokazaniem filmu Milgrama moim studentom proszę ich, by odgadli odpowiedzi na powyższe pytania. Młodzi adepci psychologii zawsze opowiadają się za zwycięstwem sumienia. Wielu z nich przewiduje nawet, że liczna grupa badanych odstąpi od eksperymentu, gdy tylko dowie się o stosowaniu elektrowstrząsów. Zdaniem studentów spośród reszty badanych wszyscy (z nielicznymi wyjątkami) sprzeciwią się eksperymentatorowi, posyłając go do diabła najpóźniej wtedy, gdy mężczyzna w drugim pokoju zażąda, by go uwolnić (po wstrząsie o napięciu 150 V). Zaledwie garstka bardzo chorych osób ze skłonnościami sadystycznymi nie zawaha się przed zaaplikowaniem „uczniowi" silnych wstrząsów o napięciu nawet 450 V oznaczonych na generatorze napisem ostrzegawczym: NIEBEZPIECZEŃSTWO – BARDZO SILNY WSTRZĄS.

A oto rzeczywiste wyniki eksperymentu: trzydzieści cztery osoby z grupy czterdziestu badanych poddaje przypiętego pasami do fotela mężczyznę elektrowstrząsom nawet wtedy, gdy błaga on o przerwanie badania. Dwadzieścia pięć osób, czyli 62,5 procent całej grupy, w ogóle nie sprzeciwia się eksperymentatorowi i wykorzystuje wszystkie przyciski na skali (aż do 450 V) mimo błagań i krzyków mężczyzny przebywającego w drugim pomieszczeniu. Spoceni „nauczyciele" narzekają, są przygnębieni, lecz nie przerywają doświadczenia. Gdy film się kończy, zerkam na zegarek. Na sali wykładowej pełnej studentów, którzy przed chwilą po raz pierwszy obejrzeli eksperyment, zawsze zapada cisza trwająca przynajmniej pełną minutę.

Milgram wprowadził kilka modyfikacji do wyżej opisanego doświadczenia. W jednej z jego wersji badani nie obsługiwali konsoli z przyciskami aplikującymi uczniom elektrowstrząsy, lecz tylko wypowiadali pary wyrazów. Przyciski generatora wciskała inna osoba. W tej wersji eksperymentu trzydzieści siedem spośród czterdziestu osób (92,5 procent) nie przerwało testu aż do najsilniejszego poziomu elektrowstrząsów wytwarzanych przez „generator". We wcześniejszych badaniach w rolę nauczycieli wcielali się wyłącznie mężczyźni, więc do kolejnej Milgram zaprosił kobiety, zakładając, że okażą więcej empatii. Uzyskały one niemal identyczne wyniki z jednym zastrzeżeniem: posłuszne kobiety uskarżały się na wyższy poziom stresu niż posłuszni mężczyźni. Badania według scenariusza Milgrama powtórzono na kilku innych uniwersytetach. Wkrótce poddano im ponad tysiąc osób obojga płci pochodzących z różnorodnych środowisk. Rezultaty nie uległy zasadniczej zmianie.

Powtarzalne wyniki badań nad posłuszeństwem zainspirowały Milgrama do wygłoszenia słynnego stwierdzenia, które nie tylko prześladuje, lecz także motywuje osoby zgłębiające naturę człowieka: „Znaczny odsetek ludzi zrobi to, co się im każe, bez względu na istotę czynu i bez ograniczeń narzucanych im przez sumienie, jeżeli uważają, że polecenie wydał im uprawniony autorytet". Zdaniem naukowca autorytet może uśpić sumienie przede wszystkim dlatego, że osoba okazująca posłuszeństwo dokonuje „modyfikacji swojego sposobu myślenia", to znaczy: *przestaje postrzegać siebie jako osobę odpowiedzialną za własne czyny*. We własnym mniemaniu nie musi brać na siebie odpowiedzialności moralnej, lecz staje się narzędziem w rękach zewnętrznego autorytetu, na którego zrzuca całą odpowiedzialność i któremu

przypisuje całą inicjatywę. Dzięki tej „modyfikacji sposobu myślenia” dobroczynna władza może znacznie łatwiej zaprowadzić ład i porządek, lecz ten sam mechanizm psychologiczny bardzo często przyczynia się do akceptacji wyrachowanej, złej i socjopatycznej „władzy”.

GDZIE SUMIENIE WYZNACZA GRANICE?

Wpływ autorytetu na głos naszego sumienia zależy od tego, jak postrzegamy jego prawomocność. Jeżeli uznamy osobę wydającą nam polecenia za niższą lub nawet równą nam rangą, wyżej opisana „modyfikacja sposobu myślenia" może nigdy nie wystąpić. W pierwszym badaniu Milgrama jedną z nielicznych osób, które odmówiły kontynuowania eksperymentu, był trzydziestodwuletni inżynier, gdyż najwyraźniej uznał naukowca w laboratoryjnym fartuchu co najwyżej za równego sobie pod względem intelektualnym. Badany odsunął krzesło od konsoli generatora wstrząsów i wzburzony oświadczył Milgramowi: „Jestem inżynierem elektrykiem i wiem, co to znaczy rażenie prądem (…) Prawdopodobnie już posunąłem się za daleko". W późniejszej rozmowie, kiedy Milgram zapytał go, kto ponosi winę za aplikowanie wstrząsów mężczyźnie przebywającemu w drugim pomieszczeniu, inżynier nie obciążył eksperymentatora żadną odpowiedzialnością. Stwierdził natomiast: „Przypisałbym winę wyłącznie sobie". Był wykwalifikowaną, wykształconą osobą i właśnie wykształcenie należy uznać za jeden z czynników decydujących o tym, czy sumienie zachowuje czujność. Lecz stwierdzenie, że stopień naukowy bezpośrednio przekłada się na większy wpływ sumienia na psychikę człowieka, byłoby poważnym nadużyciem. Z drugiej strony posiadana wiedza może niekiedy wpłynąć na postrzeganie prawomocności autorytetu i tym samym ograniczyć ślepe posłuszeństwo. Wykształcenie i kompetencje sprzyjają postrzeganiu samego siebie jako prawomocny autorytet.

W kolejnej ze zmodyfikowanych wersji eksperymentu Milgrama osobą wydającą polecenia „nauczycielom" nie był naukowiec, lecz „zwykły człowiek". Kiedy przebieg badania nadzorował „zwykły człowiek" zamiast mężczyzny w białym kitlu, poziom posłuszeństwa wśród badanych spadał z 62,5 do 20 procent. Opakowanie i wizerunek to nie wszystko, lecz najwyraźniej w znacznym stopniu wpływają na nasze decyzje. Niektórzy z nas sprzeciwią się osobie *przypominającej z wyglądu* nas samych, lecz większość posłucha kogoś, kto *wygląda* jak autorytet. Ta konkluzja musi niepokoić zwłaszcza dziś, gdy przywódcy i eksperci docierają do nas dzięki magii telewizji. Na ekranie prawie każdy może sprawiać wrażenie szlachetnej i wyrastającej ponad przeciętność jednostki.

Postaci występujące w telewizji nie tylko prezentują się w korzystnym świetle, lecz także stają się nam bliskie i swojskie – wszak goszczą w naszych salonach. Kolejny czynnik wpływający na zdolność autorytetu do tłumienia głosu naszego sumienia stanowi właśnie bliskość osoby wydającej nam polecenia. W kolejnej wersji doświadczenia Milgrama osoba mająca autorytet wychodziła z pomieszczenia, co skutkowało spadkiem posłuszeństwa o dwie trzecie, mniej więcej do poziomu zanotowanego wtedy, gdy przebieg eksperymentu nadzorował „zwykły człowiek". A gdy w pobliżu nie było autorytetu, badani „oszukiwali", stosując najsłabsze elektrowstrząsy.

Bliskość autorytetu nabiera szczególnej wagi, gdy zachodzi konieczność wyegzekwowania autentycznego posłuszeństwa w czasie walki. Okazuje się, że sumienie wyznacza zaskakująco sztywną granicę w przypadku zabijania – zaskakującą dla wszystkich uważających istoty ludzkie za agresywne z natury. Nakaz sumienia budzi u normalnych ludzi bardzo silny opór przed zabijaniem, dlatego psycholodzy wojskowi muszą szukać sposobów przezwyciężenia go. Eksperci od spraw militarnych wiedzą już, co robić, by skłonić żołnierzy do zabijania z choćby

minimalną skutecznością: rozkazy muszą pochodzić od obecnych na polu walki osób mających autorytet. W przeciwnym razie walczący będą „oszukiwać", umyślnie źle celować lub w ogóle nie oddadzą strzału, by uniknąć naruszenia najwyższego nakazu sumienia.

Podczas drugiej wojny światowej generał brygady S.L.A. Marshall[4] najpierw dokumentował działania wojenne na Pacyfiku, a następnie został mianowany oficjalnym historykiem europejskiego teatru działań wojennych. W swoich pracach wspomina on o intrygującej zależności: prawie wszyscy żołnierze podporządkowywali się rozkazom dowódców, u których boku walczyli, i prowadzili ogień, lecz gdy tylko dowódcy się oddalali, intensywność ostrzału natychmiast spadała do poziomu 15–20 procent. Marshall uznał, że ogromna ulga dostrzegalna u żołnierzy z oddziałów, które nie otrzymały bezpośredniego rozkazu otwarcia ognia, „była spowodowana nie tyle świadomością, że znajdują się na bezpieczniejszym odcinku frontu, ile błogosławioną wiedzą, że przez pewien czas *nie zmuszano ich do odbierania nikomu życia*".

Były żołnierz rangersów (elitarnej formacji piechoty amerykańskiej) i spadochroniarz, podpułkownik Dave Grossman analizuje w swojej książce *Men against Fire* (O zabijaniu)[5] spostrzeżenia Marshalla, badania FBI dotyczące statystyki nieużywania broni przez funkcjonariuszy organów ścigania w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, a także dane na temat odmowy użycia broni podczas wielu wojen, między innymi amerykańskiej wojny secesyjnej, pierwszej i drugiej wojny światowej, wojny wietnamskiej oraz wojny falklandzkiej. Zauważa on, że „na przestrzeni dziejów zdecydowana większość walczących w godzinie próby, gdy mogli i powinni zabić wroga, okazywała się »obdżektorami«". Po zapoznaniu się z obszernymi historycznymi materiałami dowodowymi świadczącymi o tym, że żołnierze piechoty często unikają okazji do zabijania i potajemnie je sabotują, Grossman dochodzi do „odkrywczej i pokrzepiającej konkluzji: mimo nieprzerwanej tradycji przemocy i wojen człowiek ze swej natury nie jest zabójcą". Przezwyciężenie najbardziej podstawowego nakazu sumienia, sprawienie, by zwykły człowiek zabił innego obcego człowieka, zadając mu cios bagnetem lub pociągając za spust, wymaga gruntownego przeszkolenia i psychologicznego warunkowania, a także obecności dowódcy na polu walki.

Przydaje się również moralne wykluczenie mające przypominać żołnierzom, że oddziały wroga to tylko *przedmioty*: szwaby, skośnoocy lub żółtki. Peter Watson, autor książki *War on the Mind…* (Wypowiadając wojnę umysłowi…)[6] podkreśla rolę „wyśmiewania głupich miejscowych zwyczajów" i przedstawiania „lokalnych bohaterów jako nikczemnych półbogów".

Należy uzmysłowić żołnierzom na polu bitwy i zwykłym, pozostającym w domach obywatelom, że tocząca się walka stanowi ważną część świętej wojny dobra ze złem. Właśnie takie przesłanie starali się wpoić poddanym rządzący po wszystkich stronach konfliktu podczas każdej większej wojny w dziejach ludzkości. Na przykład dziś pamiętamy raczej wyłącznie eksplozję moralnego oburzenia pod koniec wojny w Wietnamie, lecz na początku konfliktu wielokrotnie zapewniano Amerykanów, że oni i tylko oni są w stanie ocalić Wietnamczyków przed zniewoleniem i torturami. W mowach wygłaszanych podczas wojny, transmitowanych i trafiających wprost do naszych salonów, przywódcy naszego kraju zawsze eksponowali bezwzględną konieczność zrealizowania zaplanowanej misji, odwołując się do wyższych pobudek usprawiedliwiających zabijanie. Paradoksalnie autorytet może łatwiej narzucić innym własną interpretację rzeczywistości z tej prostej przyczyny, że sumienie hołubi wyższe pobudki i poczucie przynależności do prawomyślnej grupy. Innymi słowy, głos wewnętrzny można

oszukać, a gdy w grę wchodzi zabijanie obcych, tego rodzaju oszustwo zazwyczaj bywa konieczne.

Przygnębienie budzą dwa fakty: po pierwsze, psychologia może dostarczyć wojsku technik pozwalających na przemianę ludzi stroniących od zabijania w morderców; po drugie, wojsko nie waha się korzystać z tych technik. Za złymi wieściami kryje się jednak promyk nadziei, lśniący niczym diament w otchłani mroku. Nie zostaliśmy stworzeni jako maszyny do zabijania, choć czasami tak się nam wydawało. Nawet w rozpaczliwej sytuacji pod wpływem stresu na polu walki niejednokrotnie umyślnie powstrzymywaliśmy się od prowadzenia ognia lub strzelaliśmy niecelnie. Kiedy głosu naszego sumienia nie tłumił krzyk autorytetu, zawsze dawało znać o sobie poczucie więzi międzyludzkich przypominające nam, że nie wolno zabijać.

Istota wojny sprowadza się do zabijania, dlatego podczas konfliktów zbrojnych toczy się rozstrzygające starcie między sumieniem a autorytetem. Siódmy zmysł zabrania nam odbierać życie, więc kiedy autorytetowi udaje się zdominować sumienie – zmusić żołnierza do zabijania – bezpośrednio po wypełnieniu rozkazu i przez resztę życia podkomendnemu najprawdopodobniej będą dokuczały zespół stresu pourazowego, zwiększona podatność na depresję, nałogi, chorobę wrzodową i choroby serca towarzyszące traumatycznym wspomnieniom, nie wspominając o groźbie rozwodu. Badania przeprowadzone z udziałem weteranów wojny w Wietnamie[7] dowiodły, że u żołnierzy niezmuszanych do zabijania objawy zespołu stresu pourazowego występowały z porównywalną częstością jak u poborowych niepowołanych do aktywnej służby.

Paraliżująca rywalizacja między naszym zmysłem moralnym a uznawanymi przez nas autorytetami toczy się niemal nieprzerwanie, odkąd istoty ludzkie zaczęły żyć w społeczeństwach hierarchicznych. Przez ostatnich pięć tysięcy lat królowie, żądni ziemi arystokraci, głowy państw lub narodów nakazywali słabszym przyłączać się do walki i zabijać. Wszystko wskazuje na to, że tego konfliktu nie uda się rozstrzygnąć za życia naszych dzieci ani wnuków.

POSŁUSZEŃSTWO – SUMIENIE 6 : 4

Stanley Milgram, który udowodnił, że przynajmniej sześć na dziesięć osób ma skłonność do podporządkowania się odpowiednio wyglądającej, stojącej za ich plecami osobie do samego końca, zwrócił też uwagę na negatywne psychologiczne następstwa sprzeciwu wobec autorytetu. Osoba okazująca nieposłuszeństwo odnosi wrażenie, że sprzeciwia się porządkowi społecznemu, niekiedy może mieć również trudności z pozbyciem się przeświadczenia o złamaniu przyrzeczenia lojalności. Posłuszeństwo jest wyrazem bierności, więc tylko nieposłuszni muszą – cytując słowa Milgrama – nieść „brzemię swoich czynów". Jeżeli odwaga oznacza postępowanie zgodne z głosem sumienia mimo bólu lub strachu, wówczas hart ducha wypadałoby zdefiniować jako umiejętność utrzymywania czujności i wrażliwości sumienia pomimo sprzecznych z jego nakazami żądań autorytetu.

Hart ducha odgrywa w tym kontekście istotną rolę, ponieważ stosując się do rozmaitych nakazów sumienia, musimy stawiać czoło licznym przeciwnościom.

Dla zilustrowania opisywanej prawidłowości wyobraźmy sobie całkowicie reprezentatywne statystycznie społeczeństwo liczące stu obywateli. Oznacza to, że w mojej hipotetycznej społeczności cztery osoby to pozbawieni sumienia socjopaci. Spośród pozostałych dziewięćdziesięciu sześciu przyzwoitych, obdarzonych sumieniem osób, 62,5 procent w takim czy w innym stopniu podporządkuje się autorytetowi – niewykluczone, że tym autorytetem będzie jeden z bardziej agresywnych i żądnych władzy socjopatów. Pozostaje więc trzydzieści sześć osób mających sumienie oraz hart ducha umożliwiające im dźwiganie brzemienia własnych czynów, co stanowi nieco ponad jedną trzecią grupy. Nie stoją oni na z góry przegranej pozycji, lecz wcale nie będzie im łatwo.

Osoby związane nakazami sumienia stoją w obliczu jeszcze jednego wyzwania. Chociaż brzmi to dość dziwnie, większość socjopatów pozostaje niewidzialna. Przeanalizujmy teraz to zagadnienie na niezwykłym przykładzie Doreen Littlefield.

---

[1] E. Staub, *The Roots of Evil. The Origins of Genocide and Other Group Violence*, Cambridge 1989. Zob. też tenże, *Ethnopolitical and Other Group Violence. Origins and Prevention*, w: *Ethnopolitical Warfare. Causes, Consequences, and Possible Solutions*, red. D. Chirot, M. Seligman, Washington 2001; N. Smith, *The Psycho-Cultural Roots of Genocide*, „American Psychologist" 53 (1998), s. 743–753.

[2] Opisy i przykłady zaburzeń dysocjacyjnych można znaleźć w: M. Stout, *The Myth of Sanity*. Omówienie wpływu zjawisk dysocjacyjnych na całe populacje proponuje L. deMause, *The Emotional Life of Nations*, New York 2002.

[3] S. Milgram, *Behavioral Study of Obedience*, „Journal of Abnormal and Social Psychology" 67 (1963), s. 371–378. Zob. też S. Milgram, *Obedience to Authority. An Experimental View*, New York 1983; *Obedience to Authority. Current Perspectives on the Milgram Paradigm*, red. T. Blass, Mahwah 2000.

[4] S. Marshall, *Men against Fire. The Problem of Battle Command in Future War*, Gloucester 1978, s. 30.

[5] D. Grossman, *O zabijaniu. Psychologiczny koszt kształtowania gotowości do zabijania w czasach wojny i pokoju*, tłum. D. Konowrocka, Warszawa 2010, s. 17.

[6] P. Watson, *War on the Mind. The Military Uses and Abuses of Psychology*, New York 1978, s. 250.

[7] J. Stellman, S. Stellman, *Post Traumatic Stress Disorders among American Legionnaires in Relation to Combat Experience. Associated and Contributing Factors*, „Environmental Research” 47 (1988), s. 175–210. Badanie, w którym wzięło udział 6810 losowo wybranych żołnierzy uczestniczących wcześniej w walkach, miało na celu przeanalizowanie związków między objawami zespołu stresu pourazowego a udziałem w procesie zabijania. Autorzy jako pierwsi zwrócili uwagę na poziom zaangażowania w walkę i podjęli próbę dokonania jego ilościowej oceny.

4

NAJSYMPATYCZNIEJSZA OSOBA NA ŚWIECIE

Widziałem wilkołaka sączącego piña coladę w Trader Vic
Z idealnie ułożonymi włosami[1]
WARREN ZEVON

Doreen zerka w lusterko wsteczne i po raz nie wiadomo który żałuje, że natura poskąpiła jej urody. Życie byłoby znacznie łatwiejsze. Kiedy tego ranka, wypoczęta i z nałożonym makijażem, patrzy na swoje odbicie, wydaje się sobie śliczna, ale wie jedno: gdyby tak dobrze nie dobierała kosmetyków lub gdyby była zmęczona, wyglądałaby zupełnie zwyczajnie, jak prosta dziewczyna z głębokiej prowincji, skąd zresztą pochodziła, która powinna raczej doić krowy, niż siedzieć za kierownicą czarnego bmw. Ma dopiero trzydzieści cztery lata i wciąż dobrą cerę, bez zmarszczek, chociaż może jest trochę zbyt blada. Lecz trudno nie zauważyć jej zadartego nosa i włosów koloru słomy – suchych i poskręcanych bez względu na to, jak wiele wysiłku wkłada w ich ułożenie. Na szczęście ma wspaniałe ciało. Przenosi wzrok z lusterka na jasnopopielaty, jedwabny kostium, skromny, lecz eksponujący jej zalety. Doreen ma dobrą figurę i potrafi się poruszać. Jak na kobietę o pospolitej twarzy jest niezwykle ponętna. Kiedy przemierza biuro, przykuwa uwagę wszystkich mężczyzn. Na to wspomnienie uśmiecha się i przekręca kluczyk w stacyjce.

Po pokonaniu dwóch kilometrów orientuje się, że zapomniała nakarmić przeklętego maltańczyka. Trudno. Głupi kudłacz wytrzyma do wieczora, do jej powrotu z pracy. Dziś, miesiąc po zakupie dokonanym pod wpływem chwilowego impulsu, nie może uwierzyć w to, co zrobiła. Myślała wtedy, jak elegancko będzie wyglądała, wychodząc z nim na spacer, ale wyprowadzanie psa okazało się bardzo uciążliwe. Kiedy znajdzie czas, będzie musiała go uśpić. Może jednak zdoła go komuś odsprzedać? W końcu niemało kosztował.

Na parkingu znajdującym się na rozległym terenie zajmowanym przez szpital psychiatryczny Doreen stara się zaparkować swój samochód obok pordzewiałego escorta należącego do Jenny. Ten sprytny wizualny zabieg ma podkreślić różnicę statusu obydwu kobiet. Jeszcze jeden rzut oka w lusterko. Doreen chwyta wypchaną po brzegi teczkę, mającą pokazywać innym, że jej właścicielka ciężko pracuje, i wspina się po schodach do gabinetów mieszczących się nad oddziałem. Przechodząc przez poczekalnię, kieruje uśmiech mówiący „Jesteśmy dobrymi kumpelkami” w stronę Ivy, ubranej bez gustu oddziałowej sekretarki i recepcjonistki. Ivy natychmiast się rozpromienia.

– Dzień dobry, pani doktor. O Boże, jaki piękny kostium! Po prostu cudowny!

– Dziękuję ci, Ivy. Ty zawsze potrafisz wprawić mnie w dobry humor – odpowiada Doreen z kolejnym szerokim uśmiechem. – Daj mi znać, kiedy przyjdzie mój pacjent, dobrze?

Doreen znika w swoim gabinecie, a Ivy potrząsa głową i głośno mówi do pustej poczekalni:

– To chyba najsympatyczniejsza osoba na świecie.

Dopiero dochodzi ósma. Doreen staje przy oknie w swoim gabinecie, by popatrzeć na przyjeżdżających kolegów. Długonoga Jackie Rubenstein z wdziękiem kroczy w stronę budynku. Jackie pochodzi z Los Angeles, jest spokojna i wesoła, a dzięki pięknej, oliwkowej cerze zawsze wygląda, jakby przed chwilą wróciła z wakacji marzeń. Jest też błyskotliwa, znacznie bystrzejsza od Doreen i właśnie z tego powodu – bardziej niż z jakiegokolwiek innego – Doreen skrycie nią gardzi. Więcej, nienawidzi jej tak bardzo, że zabiłaby ją, gdyby miała pewność, że ujdzie jej to na sucho. Obawia się jednak nieuchronnego schwytania. Kiedy osiem lat temu Doreen i Jackie odbywały razem w szpitalu staż podoktorancki, zaprzyjaźniły się – przynajmniej w mniemaniu Jackie – a teraz do Doreen dotarły plotki, że Jackie może otrzymać tytuł Mentora Roku. Są w tym samym wieku. Jakim cudem Jackie zasłużyła sobie na tak prestiżowe wyróżnienie w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat?

Przemierzając trawnik, Jackie Rubenstein zerka w górę i zauważa Doreen w oknie gabinetu. Macha do niej ręką. Doreen uśmiecha się dziewczęco i odwzajemnia gest.

W tej samej chwili Ivy anonsuje przybycie pierwszego pacjenta tego dnia – oszałamiająco przystojnego, barczystego, lecz sprawiającego wrażenie bardzo przestraszonego młodego mężczyzny imieniem Dennis. W szpitalnym slangu Dennis, jako bratanek znanego w całym kraju polityka, jest VIP-em (bardzo ważnym pacjentem). Doreen pracuje w dużym szpitalu klinicznym, w którym przebywa wielu podobnych VIP-ów – celebrytów, milionerów lub członków rodzin osób noszących powszechnie znane nazwiska. Dennis nie jest pacjentem Doreen. Doreen spotyka się z nim dwa razy w tygodniu, nadzoruje postępy w leczeniu, pilnuje papierkowej roboty, a kiedy nadejdzie stosowna pora, wyrazi zgodę na jego wypis ze szpitala. Słyszała już od pracowników, że dziś Dennis będzie chciał z nią omówić tę ostatnią kwestię. Zdaniem mężczyzny jego stan zdrowia pozwala mu już na powrót do domu.

W szpitalu obowiązuje zasada rozdziału obowiązków administracyjnych od terapeutycznych. Każdy pacjent ma zarówno administratora, jak i terapeutę. Terapeutką Dennisa jest uwielbiana przez niego, utalentowana doktor Jackie Rubenstein. Wczoraj Jackie poinformowała Doreen, że jej pacjent Dennis zrobił znaczne postępy, więc po wypisaniu go ze szpitala planuje leczyć go ambulatoryjnie.

Dennis siedzi teraz na jednym z niskich foteli w gabinecie Doreen Littlefield i stara się nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Powinien tak postępować, jeżeli chce zostać wypisany, i dobrze o tym wie. Ale ma z tym kłopot. Ciągle odwraca oczy. W popielatym kostiumie i w oczach kobiety jest coś, co wzbudza w nim lęk. Wydaje mu się jednak, że ją lubi. Zawsze zachowywała się wobec niego bardzo uprzejmie, a inni ludzie powiedzieli mu, że spośród wszystkich lekarzy to właśnie doktor Littlefield najbardziej interesuje się pacjentami. Poza tym to ona jest specjalistką.

Siedząca za biurkiem Doreen przygląda się Dennisowi, zachwycając się regularnymi rysami twarzy i muskularnym ciałem dwudziestosześciolatka. Zastanawia się, jaką fortunę kiedyś odziedziczy. W tej samej chwili przypomina sobie o swojej misji i z macierzyńskim uśmiechem próbuje nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Słyszałam, że w tym tygodniu czujesz się znacznie lepiej.

– To prawda, pani doktor. W tym tygodniu czuję się znacznie lepiej. Naprawdę, zdecydowanie lepiej. Wizje też już powoli ustępują. Nie prześladują mnie już bezustannie, jak wtedy, kiedy tu trafiłem.

– Jak ci się wydaje, Dennisie, dlaczego tak jest? Dlaczego uważasz, że już cię nie prześladują?

– No cóż, wie pani, naprawdę bardzo się starałem opanować techniki terapii kognitywnej, których uczyła mnie doktor Rubenstein. Są w porządku. To znaczy, pomagają mi. I… no, chodzi o to, że jestem już gotów wrócić do domu. W każdym razie niedługo. Doktor Rubenstein powiedziała, że może mnie leczyć ambulatoryjnie.

„Wizje", o których wspominał młody mężczyzna, to paranoidalne urojenia co jakiś czas całkowicie odbierające mu kontrolę nad swoim postępowaniem. Dennis, niegdyś tryskający energią nastolatek, wzorowy uczeń, mistrz szkolnej drużyny lacrosse, na pierwszym roku studiów przeżył załamanie nerwowe i trafił do szpitala. Siedem ostatnich lat spędził na przemian w domu i w szpitalach psychiatrycznych, zależnie od stopnia nasilenia urojeń. Tak naprawdę jednak nigdy nie pozbył się ich na dobre. Kiedy opanowują go straszliwe „wizje", uważa, że wszyscy wokół żywią wobec niego złe zamiary, chcą go zabić, że lampy uliczne monitorują jego myśli na zlecenie CIA, a w każdym przejeżdżającym samochodzie siedzi agent wysłany po to, by go porwać i przesłuchać za zbrodnie, których popełnienia nie pamięta. Traci kontakt z rzeczywistością, a podejrzliwość nieopuszczająca go nawet wtedy, gdy urojenia są w remisji, powoduje, że coraz trudniej przebywać mu w towarzystwie innych ludzi, nawet lekarzy. Jackie Rubenstein dokonała niemal cudu, nawiązując relację terapeutyczną z tak samotnym, nieufnym młodym człowiekiem.

– A więc mówisz, że zdaniem doktor Rubenstein można cię wypisać i będziesz jej pacjentem ambulatoryjnym?

– Tak, właśnie coś takiego zasugerowała. To znaczy stwierdziła, że jestem prawie gotów wrócić do domu.

– Naprawdę? – Doreen patrzy na Dennisa z wyrazem zaskoczenia malującym się na twarzy, jakby spodziewając się dalszych wyjaśnień. – Mnie powiedziała coś innego.

Zapadła długa cisza, w czasie której Dennis wyraźnie drży. W końcu pyta:

– Nie bardzo rozumiem…

Doreen teatralnie wzdycha, udając współczucie. Wychodzi zza biurka i przysiada na fotelu stojącym obok fotela Dennisa. Próbuje położyć mu dłoń na ramieniu, lecz chłopak odsuwa się od niej, jakby chciał uniknąć ciosu, i wbijając wzrok w jak najdalszy punkt za oknem, powtarza pytanie:

– Co to znaczy, że pani powiedziała coś innego?

Doreen zna typowe zachowania osób cierpiących na schizofrenię paranoidalną. Doskonale wie, że zasiała w umyśle Dennisa podejrzenie co do prawdomówności doktor Rubenstein, osoby, którą mężczyzna uważa za jedynego prawdziwego przyjaciela na świecie.

– Zdaniem doktor Rubenstein twój obecny stan jest znacznie poważniejszy niż wtedy, kiedy tu przyszedłeś. A co do leczenia ambulatoryjnego, wyraziła się bardzo jasno: nigdy nie zgodzi się przyjmować cię poza szpitalem. Stwierdziła, że jesteś zdecydowanie zbyt niebezpieczny.

Nawet Doreen zauważa, że z serca Dennisa ulatuje nadzieja i szybko do niego nie wróci.

– Dennisie? – mówi. – Dennisie, dobrze się czujesz?

Chłopak nie rusza się i milczy.

Doreen próbuje ponownie:

– Tak mi przykro, że musiałeś to usłyszeć ode mnie. Dennisie? Jestem pewna, że to jakieś nieporozumienie. Wiesz, że doktor Rubenstein nigdy by cię nie okłamała.

Dennis milczy. Nieustannie musi radzić sobie z lękiem przed zdradą, lecz nie spodziewał się czegoś takiego po doktor Rubenstein. Słowa uwielbianej przez niego terapeutki spadły na niego jak grom z jasnego nieba. Zapadł w odrętwienie.

Kiedy Doreen orientuje się, że Dennis nic nie odpowie, podchodzi do telefonu i wzywa pomoc. W jednej chwili w drzwiach gabinetu stają dwaj pielęgniarze. Są wysocy i silni, lecz to ona jest tu autorytetem, więc podporządkowują się jej poleceniom bez wahania. Na samą myśl o tym odczuwa dreszcz przyjemności, ale przybiera poważny wyraz twarzy i podpisuje zlecenie przeniesienia pacjenta na kwaterę. „Kwatera” – eufemizm sugerujący przeprowadzkę do hostelu – oznacza, że pacjent zostaje przeniesiony z oddziału otwartego, na jakim dotąd przebywał Dennis, na oddział zamknięty o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa. Dzieje się tak, gdy pacjent staje się agresywny, lub jeżeli, tak jak u Dennisa, jego stan gwałtownie się pogarsza. W razie konieczności krępuje się go i wznawia leczenie farmakologiczne.

Doreen ma całkowitą pewność, że Dennis nie piśnie nikomu ani słowa o tym, co powiedziała mu przed chwilą. Mężczyzna nie zdradza swoich sekretów. Cierpi na zbyt poważne zaburzenia. A nawet gdyby otworzył się przed kimś, nikt mu nie uwierzy. Nikt nigdy nie przedkłada słów pacjenta nad słowa lekarza. Ponadto sądząc po tym, co właśnie zobaczyła, nie będzie z nim kontaktu przez dłuższy czas i pewnie w ogóle nie będzie chciał o niczym rozmawiać. Z rosnącą satysfakcją Doreen uświadamia sobie, do czego doprowadziła: Jackie Rubenstein właśnie straciła naprawdę uroczego pacjenta z grupy VIP-ów. Odtąd Dennis będzie się panicznie bał swojej terapeutki, a ta zacznie obwiniać samą siebie, pomyśli, że przeoczyła jakiś istotny aspekt terapii lub powiedziała coś, co zraniło mężczyznę. Jeżeli chodzi o te sprawy, Jackie jest prawdziwą ofiarą losu. Weźmie na siebie całą odpowiedzialność, a potem przekaże pacjenta innemu terapeucie. I wreszcie skończy się to całe gadanie o doktor Rubenstein, która potrafi zdziałać cuda.

SIWY DYM I LUSTRA

Teoretyk osobowości Theodore Millon[2] nazwałby Doreen Littlefield „zaborczą psychopatką”. Termin „psychopatka” odnosi się do socjopatii lub braku sumienia, a „zaborcza” ma swoje zwykłe znaczenie: nieopanowane pragnienie posiadania tego, co mają inni. Socjopaci nie zawsze są zaborczy – niektórych motywuje coś innego – lecz kiedy brak sumienia i zaborczość spotykają się w jednej osobie, pojawia się fascynujący i przerażający obraz. Jeżeli nie można tak po prostu ukraść ani przywłaszczyć sobie najcenniejszych cech posiadanych przez inne osoby – urody, inteligencji, sukcesu, silnego charakteru – zaborczy socjopata oczernia innych lub niszczy ich godne pozazdroszczenia cechy, pragnąc pozbawić ich tych cech lub uniemożliwić im czerpanie z nich radości. Jak mówi Millon, „w tym przypadku przyjemność polega na pozbawianiu, a nie na posiadaniu”.

Zaborcza socjopatka uważa, że życie w pewnym sensie ją oszukało, dając jej mniej niż innym, a więc musi ona wyrównać egzystencjalne porachunki, okradając ich i ukradkiem niszcząc ich życie. Jej zdaniem spotkał ją afront ze strony natury, okoliczności i przeznaczenia, więc napawa się władzą, poniżając innych. Kara, zwykle wymierzana ludziom niemającym pojęcia, że zostali obrani za cel, staje się bezwzględnym priorytetem, najważniejszą czynnością w życiu zaborczej socjopatki.

Dla Doreen liczy się tylko prowadzona w sekrecie gra o wpływy, podejmuje więc ryzyko i podporządkowuje grze wszelkie nieuczciwe zachowania. Na potrzeby rozgrywki knuje intrygi oraz dopuszcza się czynów przez większość z nas uznawanych za oburzające, potencjalnie autodestrukcyjne i okrutne. A jednak gdy taka osoba znajdzie się w naszym otoczeniu, często nie zwracamy uwagi na jej poczynania, nawet mając z nią codzienny kontakt. Nie podejrzewamy jej o gotowość do wszczęcia niebezpiecznej, brutalnej wendetty skierowanej przeciwko komuś innemu, kto najczęściej nie zrobił nic, co mogłoby ją zranić lub obrazić. Nie spodziewamy się takiego zachowania, więc również nie dostrzegamy go nawet wtedy, gdy jego ofiarą pada ktoś znajomy lub my sami. Często działania podejmowane przez zachłanną socjopatkę są tak dziwaczne i tak bezsensownie małostkowe, że nie możemy uwierzyć w ich celowość ani w to, że w ogóle miały miejsce. W ten sposób prawdziwa natura socjopatki pozostaje zwykle niewidoczna dla grupy. Socjopatka może się z łatwością zakamuflować, jednocześnie pozostając na eksponowanym stanowisku, tak jak Doreen przez blisko dziesięć lat ukrywająca się wśród naprawdę inteligentnych pracowników szpitala.

Zachłanna socjopatka to szczytowe wcielenie wilka w owczej skórze. U Doreen kamuflaż okazuje się szczególnie wyszukany. Jest psycholożką, a przynajmniej tak uważają wszyscy w szpitalu, co z punktu widzenia Doreen Littlefield oznacza dokładnie to samo. Prawda, gdyby kiedykolwiek miała wyjść na jaw, przedstawia się następująco: kobieta nie jest licencjonowanym psychologiem ani nie ma stopnia doktora. Co prawda w wieku dwudziestu dwóch lat uzyskała licencjat z psychologii na uniwersytecie stanowym, ale nic ponadto. Reszta to grubymi nićmi szyte oszustwo. Gdy składała podanie o przyjęcie na staż podoktorancki w szpitalu, skontaktowano się z osobami, które zgodziły się ją zarekomendować – byli to dwaj znani, choć nieostrożni mężczyźni, którzy kiedyś wdali się z nią w krępujące romanse. Komisja oceniająca nie sprawdziła przedstawionych referencji. Doreen miała poparcie szanowanych osób, dlatego po

prostu przyjęto, że ma tytuł doktora. W końcu kto kłamałby na taki temat? A jeżeli chodzi o wiarygodność w oczach prawdziwych psychologów i pacjentów, Doreen zawsze uważała – i najwidoczniej jej opinia się potwierdza – że z książek naprawdę można się wiele nauczyć.

Doreen właśnie zakończyła spotkanie ze zdrowiejącym pacjentem z godziny ósmej. Chcąc ukarać Bogu ducha winną koleżankę, wpędziła go w stan ostrej paranoi, zleciła podanie leków i uwięzienie na oddziale zamkniętym. Co robi przez resztę dnia? Gdybyśmy mieli towarzyszyć jej w gabinecie, zobaczylibyśmy, że spokojnie odbywa spotkania z kolejnymi umówionymi pacjentami, rozmawia przez telefon, wypełnia dokumenty i wychodzi na zebranie personelu. Prawdopodobnie nie dostrzeglibyśmy w jej zachowaniu niczego nadzwyczajnego. Przez większość czasu wyglądałoby na normalne lub prawie normalne. Kobieta zapewne niespecjalnie pomaga swoim pacjentom, ale też nie wyrządza im żadnej niewątpliwej krzywdy, jeżeli nie liczyć Denisa, gdyż manipulowanie nim ma doprowadzić do zniszczenia reputacji nielubianej koleżanki.

Dlaczego kieruje swoje umiejętności przeciwko pacjentom przebywającym na oddziale? Nie mają nic, czego mogłaby pragnąć. Świat pozbawił ich praw obywatelskich, więc Doreen może sprawować nad nimi władzę, po prostu siedząc z nimi w jednym pomieszczeniu. Wyjątek mogłaby stanowić odrobinę bardziej atrakcyjna, lub co gorsza, nieco bystrzejsza pacjentka. Wówczas Doreen musiałaby utrzeć jej nosa, pobudzić do rozwoju istniejące już w niej zalążki nienawiści do samej siebie. Nie sprawia jej to najmniejszego problemu, ponieważ wciela się w rolę psychoterapeutki. Sesja odbywa się zawsze w cztery oczy, więc pacjent niezbyt dobrze orientuje się, skąd nadszedł cios, a przynajmniej nie na tyle, żeby się poskarżyć komukolwiek z zewnątrz.

Doreen nie obiera sobie jednak za cel ludzi niebudzących w niej pragnienia posiadania czegoś, co mają lub czym są. Wprost przeciwnie, potrafi być wyjątkowo czarująca i uprzejma, kiedy uzna, że jej podwładni – jak o nich myśli – są przydatni do podtrzymania kamuflażu: wizerunku wyjątkowo sympatycznej, troskliwej, odpowiedzialnej i bardzo przepracowanej kobiety. Na przykład wychodząc z pracy wieczorem tego samego dnia, w którym dopuściła się aktu sabotażu wymierzonego w Jackie Rubenstein i Dennisa, zatrzymuje się przy biurku Ivy na chwilę pogawędki. Stara się tak robić co wieczór. Ivy jest sekretarką i recepcjonistką na oddziale i nigdy nie wiadomo, kiedy osoba zajmująca tak strategiczne stanowisko może się przydać.

Doreen wychodzi z gabinetu, opada na jedno z krzeseł w recepcji i wzdycha:

– Och, Ivy! Jak dobrze, że ten dzień się wreszcie skończył!

Ivy jest o dwadzieścia lat starsza od Doreen. Ma nadwagę i nosi wielkie plastikowe kolczyki. Doreen uważa jej gust za beznadziejny.

Ivy odpowiada ciepło:

– Wiem, moje biedactwo. I jeszcze ten nieszczęsny Dennis! Nie jestem lekarzem, ale wie pani, spotykam tu pacjentów, no i miałam nadzieję, że… Ale pewnie się pomyliłam.

– Ależ skąd! Jesteś bardzo spostrzegawcza. Naprawdę przez jakiś czas wyglądało na to, że mu się poprawiło. Ta praca czasem łamie mi serce.

Tego ranka dwaj muskularni pielęgniarze przedefilowali tuż przed stojącą z szeroko otwartymi oczami Ivy, wlokąc Dennisa na oddział zamknięty. Teraz sekretarka spogląda na Doreen z troską.

– Wie pani co, pani doktor? Martwię się o panią.

Mówiąc to, Ivy dostrzega, że oczy Doreen zachodzą łzami, więc ciągnie przyciszonym

głosem:

– Miała pani okropny dzień, prawda? Mam nadzieję, że pani nie pomyśli, że się za bardzo wtrącam, ale jest pani za wrażliwa na taką pracę.

– Nie, nie, Ivy. Jestem po prostu zmęczona, no i oczywiście smutno mi z powodu Dennisa. Nie mów nikomu, bo powinnam traktować wszystkich tak samo, ale chłopak jest dla mnie kimś szczególnym. Marzę tylko o tym, żeby wrócić do domu i po prostu dobrze się wyspać!

– Właśnie to powinna pani zrobić, moja droga.

– Chciałabym, ale z tym zamieszaniem i całą resztą nie skończyłam papierkowej roboty. Pewnie będę nad tym siedziała pół nocy.

Ivy zerka na wypchaną teczkę Doreen i mówi:

– Współczuję pani. Może pomówmy o czymś miłym, żeby pani przestała myśleć o tym… no, o tym, co się dziś stało. Jak tam pani nowy psiaczek?

Doreen ociera oczy grzbietem dłoni i uśmiecha się.

– Och, jest niesamowity. Czasami jest tak słodki, że mogłabym go zjeść.

Ivy chichocze.

– Założę się, że na panią czeka. Niech pani leci do domu i mocno go wyściska.

– Lepiej nie za mocno, bo go uduszę. Jest tyciuteńki.

Obie kobiety wybuchają śmiechem, a potem Doreen mówi:

– Wiesz co, Ivy? Tak sobie myślę, że powinnaś być psychologiem. Zawsze wiesz, jak mi poprawić humor. A więc widzimy się jutro z samego rana, świeże i wypoczęte. I dalej będziemy robić to, co do nas należy, prawda?

– Będę na posterunku – potwierdza Ivy. Rozpływa się w uśmiechu, gdy Doreen bierze teczkę i odchodzi, pochylając się na bok pod jej ciężarem.

Na parkingu spotyka Jennę, właścicielkę podniszczonego escorta, obok którego dziś rano zaparkowała. Jennę niedawno przyjęto jako stażystkę na oddział. W przeciwieństwie do recepcjonistki jest młoda, bystra i śliczna. Ma piękne długie, proste kasztanowe włosy, więc Doreen obrała ją sobie na kolejną ofiarę.

– Cześć, Jenno. Wybierasz się do domu?

Jenna mruga, słysząc pytanie, które odbiera jako krytykę, ponieważ od stażystów wymaga się niewolniczej pracy od rana do wieczora. Ale nie pozostaje dłużna.

– Tak, owszem. Wracam do domu. Pani też?

Doreen wygląda na zmartwioną.

– A co z pilną naradą w Chatwin Hall?

W Chatwin Hall mieści się oddział kierowany przez surowego i budzącego postrach doktora Thomasa Larsona. Doreen wie, że jest on głównym przełożonym Jenny. Oczywiście nie ma tam teraz żadnej narady. Doreen wymyśliła ją na poczekaniu.

Twarz Jenny natychmiast szarzeje.

– Zwołali pilną naradę? Nikt mi nie powiedział. Kiedy? Dlaczego? Wie pani coś?

Przybierając pozę belferki, Doreen zerka na zegarek i mówi:

– Myślę, że jakieś dziesięć minut temu. Nie odbierałaś telefonów?

– Oczywiście, że odbierałam, ale nikt nic nie mówił o naradzie. W gabinecie doktora Larsona?

– Chyba tak.

– Och nie! O mój Boże! Muszę… powinnam… W takim razie muszę się tam jak najprędzej dostać.

– Dobry pomysł.

Jenna jest zbyt spanikowana, żeby się zastanowić, skąd doktor Littlefield wie o zwołanej w ostatniej chwili naradzie, która jej nie dotyczy. Młoda stażystka opuszcza parking i w skórzanych czółenkach puszcza się biegiem po rozległym, nasiąkniętym deszczem trawniku. Doreen stoi koło samochodu, patrząc na oddalającą się sylwetkę dziewczyny. Po chwili Jenna skręca za dłuższym bokiem budynku i znika z pola widzenia. Chatwin Hall mieści się po drugiej stronie zabudowań szpitalnych, o czym Doreen doskonale wie. Wsiada do bmw, sprawdza makijaż w lusterku wstecznym i rusza do domu. Jutro albo pojutrze znów natknie się na Jennę. Dziewczyna zapewne spyta ją o naradę, która się nie odbyła. Wtedy Doreen tylko wzruszy ramionami i twardo spojrzy w łagodne oczy stażystki. Jenna da za wygraną.

SOCJOPATIA KONTRA PRZESTĘPCZOŚĆ

Doreen Littlefield nigdy nie będzie ścigana sądownie za swoje czyny, nawet za praktykowanie psychologii bez uprawnień. Wpływowy wujek Dennisa nigdy się nie dowie, kim naprawdę jest kobieta, której pieczy powierzył bratanka, podobnie jak nie dowie się tego większość jej pacjentów ani ich rodzin. Pracujący w szpitalu lekarze nigdy oficjalnie nie oskarżą jej o oszustwo, jakiego się dopuściła wobec nich. Kobieta nigdy nie poniesie odpowiedniej kary za niezliczone przypadki maltretowania psychicznego. W ostatecznym rozrachunku przypadek Doreen doskonale ilustruje różnicę między socjopatą i przestępcą, która, o dziwo, odpowiada różnicy między niegrzeczną trzylatką powszechnie uważaną za dobrze wychowaną i dziewczynką dostającą burę za samowolne zabranie cukierka z torebki mamy: chodzi o to, czy ktoś ją nakryje, czy nie.

Osoby dorosłe bardzo rzadko ponoszą odpowiedzialność za swoje działania świadczące o braku sumienia. Socjopaci stanowią 4 procent całej populacji, w więzieniach powinni więc mieć znaczną przewagę liczebną nad ludźmi o innej konstrukcji psychicznej. Jest jednak inaczej. Według Roberta Hare'a i innych naukowców prowadzących badania z udziałem skazańców w USA socjopaci stanowią przeciętnie zaledwie około 20 procent więźniów[3]. Hare i inni skrupulatnie odnotowują, że ten odsetek populacji więziennej odpowiada za popełnienie ponad połowy „najpoważniejszych zbrodni" (wymuszenia, rozboje z bronią w ręku, porwania, zabójstwa) oraz przestępstw przeciwko państwu (zdrada, szpiegostwo, terroryzm), ale w rzeczywistości liczba socjopatów w więzieniach dla mężczyzn i kobiet wynosi zaledwie około dwóch na dziesięciu skazanych.

Innymi słowy, większość zidentyfikowanych kryminalistów nie ma socjopatycznych cech osobowości. Są to raczej normalni ludzie, lecz ich zachowanie ukształtowały negatywne siły społeczne, takie jak narkomania, maltretowanie w dzieciństwie, przemoc domowa i ubóstwo dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Przytaczane dane statystyczne potwierdzają również fakt, że niewiele zbrodni o podłożu socjopatycznym zwraca uwagę naszych organów ścigania – z prawnego punktu widzenia nielicznych socjopatów można uznać za przestępców. Socjopaci tacy jak Doreen najczęściej oszukują i doskonale się przy tym kamuflują. W miarę inteligentny socjopata miałby więc kłopoty jedynie z ukryciem najpoważniejszych zbrodni (np. porwania, zabójstwa). Niektórzy – chociaż nie wszyscy – uzbrojeni bandyci i porywacze o skłonnościach socjopatycznych zostają schwytani. Taki los rzadko staje się jednak udziałem osób pokroju psycholożki z naszego przykładu, a nawet jeśli ktoś złapie je na gorącym uczynku, czyli zdemaskuje, rzadko bywają one ścigane sądownie. W rezultacie większość socjopatów nie trafia do więzienia. Żyją sobie na świecie wśród nas.

W następnym rozdziale zastanowimy się, dlaczego normalnym osobom tak trudno dostrzec jednostki pozbawione sumienia i skutecznie sobie z nimi radzić. Wśród licznych przyczyn takiego stanu rzeczy znajdują się między innymi stosowana przez socjopatów taktyka wzbudzania strachu w innych oraz nasze nieuzasadnione poczucie winy. Najpierw jednak wróćmy na chwilę do szpitala, tym razem po to, by zobaczyć cud, a właściwie dwa, jakich dokonała doktor Jackie Rubenstein.

Jest sobota. Od przeniesienia Dennisa na oddział zamknięty upłynęły cztery dni. Wśród

zabudowań szpitalnych nie widać nikogo. Po chwili na wąskim podjeździe prowadzącym do budynku, w którym zamknięto młodego mężczyznę, pojawia się mały samochód i zatrzymuje przed frontowymi drzwiami. Wysiada z niego doktor Rubenstein. Wyjmuje z kieszeni płaszcza olbrzymi, niemal średniowieczny klucz uniwersalny, który pozwala jej wchodzić do trzykondygnacyjnego kamiennego budynku i wychodzić z niego, kiedy chce. Nawet teraz, po ośmiu latach pracy w szpitalu, gdy po przekroczeniu progu oddziału słyszy odgłos zatrzaskujących się za nią drzwi, ściska ciężki klucz w dłoni, zamiast włożyć go z powrotem do kieszeni. Przyjechała, aby jeszcze raz spróbować nakłonić przerażonego Dennisa do rozmowy. Po wejściu na oddział – i po zamknięciu kolejnych metalowych drzwi – widzi mężczyznę siedzącego na zielonej, pokrytej winylowym włóknem sofie i wpatrzonego w martwy ekran telewizora. Kiedy podnosi wzrok, ich spojrzenia krzyżują się na chwilę. Z zaskoczeniem, lecz przede wszystkim z ulgą doktor Rubenstein dostrzega, że Dennis przywołuje ją skinieniem dłoni.

Właśnie wtedy wydarza się pierwszy cud: Dennis zaczyna mówić. Mówi i mówi, przekazując Jackie słowa Doreen. Drugi cud: Jackie wierzy swojemu pacjentowi.

Wieczorem tego samego dnia Jackie telefonuje z domu do Doreen i przedstawia jej wersję wydarzeń pacjenta. Doreen wszystkiemu zaprzecza i z pogardą zarzuca koleżance, że udziela się jej paranoja Dennisa. Kiedy Jackie nie ustępuje, Doreen ostrzega ją, że jeżeli zwróci się z taką wydumaną historią do kogokolwiek w szpitalu, złamie sobie karierę. Po zakończonej rozmowie Jackie telefonuje do zaprzyjaźnionego terapeuty do Los Angeles z prośbą o pomoc.

– Chyba zwariuję – wyznaje mu, nie do końca żartując.

Doreen jest oszustką. Jackie nie wie o tym, sądzi więc, że obydwie mają w szpitalu taki sam status. Właśnie z tego powodu trudno będzie jej udowodnić swoje racje przed wyższym rangą personelem. Pozostali terapeuci najprawdopodobniej uznają wszystko za nieporozumienie. W najgorszym razie tak jak Doreen zaczną podejrzewać, że ich koleżanka zbytnio się przejmuje problemami pacjentów. Niemniej następnego dnia rano Jackie udaje się do gabinetu dyrektora oddziału i opowiada mu, co zaszło. Na jego okolonej szpakowatą brodą twarzy pojawiają się rumieńce. Jackie nie wierzy własnym oczom, ponieważ dyrektor nie wygląda na zirytowanego na nią ani na Doreen. Jackie zastanawia się, zresztą nie po raz pierwszy, czy dyrektor i Doreen przypadkiem nie romansowali kiedyś ze sobą.

Wysłuchawszy Jackie, dyrektor nie traktuje jej tak lekceważąco jak Doreen podczas rozmowy telefonicznej. Uprzejmie przypomina, jak łatwo można się doszukać wiarygodności w urojeniach inteligentnych paranoików. Powątpiewa w prawdziwość słów Dennisa i wyraża nadzieję, że Jackie i Doreen nie będą bez końca ciągnąć tego sporu, gdyż konflikt między terapeutkami niekorzystnie wpłynąłby na cały oddział. Biorąc pod uwagę najistotniejszy aspekt sprawy, Doreen znów wszystko uchodzi na sucho. Są jednak i dobre wieści – Jackie może wznowić terapię Dennisa i wkrótce mężczyzna zostaje wypisany ze szpitala.

Jak to często bywa z zaborczymi socjopatami, Doreen Littlefield zostaje ostatecznie zdemaskowana nie z hukiem, lecz po cichu przez osobę spoza systemu. Nemezis socjopatki okazuje się dziennikarz miejscowej telewizji prowadzący dwa razy w miesiącu demaskatorski program zatytułowany *Strzeż się, kliencie*. Sześć lat po psychologicznym ataku Doreen na Dennisa żona tego miejscowego celebryty trafia do szpitala z objawami depresji. Zrządzeniem losu zostaje przydzielona fałszywej terapeutce. Rozgoryczony celebryta uważa, że pobyt żony w szpitalu źle wpływa na ich małżeństwo, wykorzystuje więc swoje możliwości, by prześwietlić doktor Littlefield, i bez trudu odkrywa, kim jest, a raczej kim nie jest Doreen. Natychmiast

zgłasza się do dyrektora administracyjnego szpitala i grozi zdemaskowaniem oszustki oraz całego szpitala w swoim programie, jeżeli dyrektor natychmiast nie wyrzuci kobiety z pracy, nie znajdzie dla jego żony nowego terapeuty i nie umorzy całej należności za terapię. Całkiem rozsądnie argumentuje, że anulowanie jednego rachunku wiąże się ze znacznie niższymi kosztami niż konieczność zwrotu pieniędzy setkom pacjentów, lub co gorsza – wypłata odszkodowań poszkodowanym, którzy zdecydują się wystąpić przeciwko szpitalowi na drogę sądową, jeżeli referencje Doreen (a raczej ich brak) zostaną podane do publicznej wiadomości.

Dyrektor zapoznaje się z udostępnionymi materiałami i natychmiast uświadamia sobie powagę sytuacji. W dniu swoich czterdziestych urodzin Doreen niespodziewanie zostaje wezwana do budynku administracyjnego. Musi odłożyć talerzyk z ciastem i wyjść z przygotowanego przez Ivy małego przyjęcia w biurze. W gabinecie dyrektora on sam, ordynator oddziału oraz przełożona pielęgniarek (chciała być przy tym obecna, ponieważ z całego serca nie cierpi psycholożki) informują Doreen o tym, co się za chwilę stanie: ochrona odprowadzi ją do samochodu, a następnie dopilnuje, by opuściła teren szpitala. Fałszywa terapeutka nie daje za wygraną. Ostrzega przełożonych, że popełniają duży błąd, że poda ich do sądu oraz że dziennikarz kłamie, ponieważ się do niej uprzedził.

Odjeżdża i chociaż spędziła w szpitalu czternaście lat, już nigdy nie kontaktuje się z żadnym jego pracownikiem. Z oczywistych względów, z obawy przed publiczną kompromitacją i odpowiedzialnością za błąd w sztuce administracja szpitala nie oddaje sprawy do sądu. Kiedy Doreen znika, cały szpital oddycha z ulgą. W prywatnych rozmowach na jej temat szefowa pielęgniarek i Jackie Rubenstein przypuszczają, że fałszywa terapeutka gdzieś się przeniosła i w innym stanie nadal praktykuje psychologię.

Większość pracowników szpitala to ludzie o wrażliwych sumieniach, dlaczego więc, gdy wreszcie dowiadują się prawdy o Doreen, pozwalają jej spokojnie odejść? Dlaczego godzą się na to, by oszustka najprawdopodobniej znów uderzyła w innym miejscu? I dlaczego tak trudno było ją zdemaskować w szpitalu psychiatrycznym? Jak to się dzieje, że wszyscy mamy do czynienia z niebezpiecznymi oszustami i kłamcami, a jednak nie potrafimy ich dostrzec, nie wspominając o postawieniu im jakichkolwiek zarzutów? Przekonamy się wkrótce, że istnieją odpowiedzi na te ważne pytania oraz sposoby pozwalające nam inaczej reagować na podstępne zjawisko socjopatii.

---

[1] Cyt. za: www.tekstowo.pl (przyp. tłum.).

[2] Wielu badaczy próbowało dokonać typologii socjopatów. Jedną z najbardziej interesujących propozycji przedstawił Theodore Millon. Wyróżnił on dziesięć podtypów psychopatów: zaborczy, bez skrupułów, nieszczery, podejmujący ryzyko, tchórzliwy, wybuchowy, zgryźliwy, złowrogi, tyranizujący oraz złośliwy. Zauważa, że „liczba 10 w żadnym razie nie jest niczym szczególnym (…) Taksonomie można formułować na bardziej ogólnych lub bardziej szczegółowych poziomach". Millon szczegółowo opisał swoją koncepcję w napisanej wraz z R. Davisem pracy *Ten Subtypes of Psychopathy*, w: *Psychopathy. Antisocial, Criminal, and Violent Behavior*, red. T. Millon i in., New York 2003.

[3] R. Hare, K. Strachan, A. Forth, *Psychopathy and Crime. A Review*, w: *Clinical Approaches to Mentally Disordered Offenders*, red. K. Howells, C. Hollin, New York 1993; S. Hart, R. Hare, *Psychopathy. Assessment and Association with Criminal Conduct*, w: *Handbook of Antisocial Behavior*, red. D. Stoff, J. Breiling, J. Maser, New York 1997.

5

DLACZEGO SUMIENIE JEST CZĘŚCIOWO ŚLEPE

Łatwo – bardzo łatwo – zachwiać wiarą człowieka w samego siebie. Wykorzystywanie tego do złamania czyjegoś ducha to dzieło szatana.
GEORGE BERNARD SHAW

Gdyby Doreen Littlefield sądziła, że ujdzie to jej na sucho, przejechałaby Jackie Rubenstein swoim bmw, zamiast ograniczać się do sabotowania jej pracy. I – co jeszcze bardziej niewiarygodne – gdyby Doreen potrąciła lub zabiła Jackie albo kogoś innego, nie dręczyłoby jej poczucie winy ani wyrzuty sumienia, nie wspominając o przerażeniu, jakie ogarnęłoby większość z nas, gdybyśmy odebrali komuś życie. Jej ciśnienie krwi nie wzrosłoby ani trochę, przynajmniej nie ze względu na negatywne emocje związane z ofiarą. Doreen nie ma siódmego zmysłu, który uświadomiłby jej istnienie ścisłych powiązań między wszystkimi ludźmi lub robił wyrzuty z powodu konsekwencji jej czynów. U większości z nas zabicie człowieka wywołałoby wstrząs i cierpienie, chęć zmiany czegoś w naszym życiu, nawet gdybyśmy nie darzyli naszej ofiary sympatią. Doreen uznałaby taki czyn za wygraną, pod warunkiem że nie zostałaby schwytana. Różnica między prawidłowo funkcjonującymi emocjami a socjopatią jest ogromna, wręcz niemożliwa do pojęcia dla tych z nas, którzy kierują się głosem sumienia. Najczęściej nie chcemy uwierzyć w istnienie osób do tego stopnia wyzutych z emocji. Niestety nasze niedowierzanie uniemożliwia nam uznanie wagi tej różnicy, co stawia nas na przegranej pozycji.

Mimo że Doreen nie zabija nikogo własnoręcznie ani za pomocą samochodu, wyrządza nieopisane szkody osobom ze swojego otoczenia. Za główny cel swojego postępowania obrała sobie poniżanie i gnębienie innych. Wykorzystując autorytet należny psychoterapeutce pracującej w szpitalu, pewnego dnia – jeśli jeszcze tego nie zrobiła – może popchnąć jakiegoś pacjenta do samobójstwa i będzie to efekt uboczny prowadzonych przez nią kampanii odwetowych. A jednak przez czternaście lat personel całego szpitala psychiatrycznego – liczna grupa porządnych ludzi, którzy poświęciliby wszystkie siły, by powstrzymać pacjenta przed samobójstwem – pozostaje ślepy i głuchy na to, kim jest Doreen, a po ujawnieniu mistyfikacji nie próbuje jej powstrzymać, lecz spokojnie przygląda się jej odjazdowi.

Dlaczego osoby związane głosem sumienia są tak ślepe? I dlaczego tak długo się wahają, zanim zaczną bronić siebie, swoich ideałów oraz bliskich sobie ludzi przed pozbawioną sumienia mniejszością? W znacznym stopniu odpowiadają za to emocje i zachodzące w naszych umysłach procesy myślowe w chwili zetknięcia się z przejawem socjopatii. Boimy się i cierpi nasze poczucie rzeczywistości. Podejrzewamy, że wyobrażamy sobie jakieś niestworzone rzeczy, że

przesadzamy albo że w jakiś sposób sami sprowokowaliśmy zachowanie socjopaty. Zanim jednak szczegółowo omówię nasze psychologiczne reakcje na brak wstydu, przedstawię je w kontekście, by precyzyjniej zobrazować, z czym mamy do czynienia. Przyjrzyjmy się najpierw metodom stosowanym przez osoby pozbawione zmysłu moralnego, żeby nas onieśmielać i utrzymywać w ryzach.

NARZĘDZIA PRACY

Pierwszą metodą jest urok osobisty. Nie należy go lekceważyć, gdyż ma on dużą społeczną siłę oddziaływania.

Doreen potrafiła być uprzedzająco grzeczna, kiedy służyło to jej celom. Dzięki urokowi osobistemu nasz dobry znajomy Skip skutecznie wpływał na współpracowników, pomagając swojej firmie uzyskać dominującą pozycję na rynku. To właśnie urok osobisty stanowi zasadniczą cechę socjopaty, chociaż na pierwszy rzut oka takie stwierdzenie może się wydawać sprzeczne z intuicją. O nieodpartym wdzięku ludzi pozbawionych sumienia, o ich niewytłumaczalnej charyzmie wspominają niezliczone ofiary, a także naukowcy podejmujący próby skatalogowania diagnostycznych objawów socjopatii. Ta cecha bardzo silnie oddziałuje na innych ludzi. Większość ofiar, z którymi zetknęłam się w mojej praktyce, przyznaje, że nawiązała bliższe kontakty z socjopatycznym partnerem i kontynuowała je mimo późniejszych bolesnych doświadczeń właśnie ze względu na roztaczany przez niego *urok*. Ileż to razy widziałam ludzi kręcących głowami z niedowierzaniem, kiedy oświadczali: „Był najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam", „Miałem wrażenie, że znałem ją od zawsze" lub „Nikt inny nie emanował taką energią jak on".

Porównuję czar socjopatów do zwierzęcej charyzmy innych ssaków drapieżnych. Posłużmy się przykładem wielkich kotów: podziwiamy je, fascynują nas ich zwinne ruchy, niezależność i siła. Lecz gdy ktoś z nas znajdzie się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, przekona się, jak przenikliwy i paraliżujący może być wzrok lamparta, a hipnotyzujący urok drapieżnika często bywa ostatnią rzeczą, jakiej ofiara doświadcza w swoim życiu (mówię o szlachetnych lampartach, ale słyszałam, jak wykorzystane, wściekłe ofiary używają metafor jednoznacznie nawiązujących do świata gadów).

Nasza skłonność do podejmowania ograniczonego ryzyka potęguje zwierzęcą charyzmę ludzi bez sumienia. Zgodnie z obiegowym poglądem ludzie niebezpieczni są atrakcyjni, a my potwierdzamy ten truizm, ulegając socjopatom. Są groźni na wiele sposobów: jednym z najbardziej rzucających się w oczy jest upodobanie do ryzykownych sytuacji i wyborów oraz umiejętność przekonywania innych do podejmowania ryzyka wraz z nimi. Od czasu do czasu – ale nie częściej – normalni ludzie czerpią radość z niewielkiego ryzyka lub z emocjonujących przeżyć. Wyjmujemy portfele i płacimy za przejażdżkę gigantyczną kolejką górską, choć nie mamy pojęcia, jak zdołamy ją przetrwać, lub za bilet na krwawy thriller, po którego obejrzeniu – jesteśmy tego pewni – będą nas dręczyć koszmary. Nasza normalna skłonność do okazjonalnych emocjonujących przeżyć może początkowo spotęgować atrakcyjność socjopaty podejmującego ryzyko. Uczestnictwo w karkołomnym przedsięwzięciu, obcowanie z osobą, której decyzje wykraczają poza nasze zwyczajowe ograniczenia, mogą się wydawać ekscytujące.

Weźmy twoją kartę kredytową i lećmy dziś wieczorem do Paryża. Wypłaćmy twoje oszczędności i załóżmy jakiś idiotyczny biznes. Mamy głowy nie od parady, dlaczego miałoby się nie udać? Chodźmy na plażę i popatrzmy na huragan. Pobierzmy się teraz, zaraz. Zostawmy tych nudziarzy i chodźmy gdzieś sami. Kochajmy się w windzie. Zainwestujmy twoje pieniądze w pewniaka, właśnie dostałem cynk. Gwiżdżmy na zasady. Wejdźmy do tej restauracji w T-shirtach i w dżinsach. Sprawdźmy, jak szybko pojedzie twój samochód. Zaszalejmy.

Tak smakują „spontaniczność”, podejmowanie ryzyka oraz „urok” socjopaty. Uśmiechamy się z niedowierzaniem, gdy o nich czytamy, ale nierzadko takie podejście umożliwia socjopacie osiągnięcie założonego celu. Osoba nieskrępowana sumieniem może z łatwością przekonać nas, że nasze życie jest bezbarwne i nieznośnie ograniczone regułami oraz że powinniśmy do niej dołączyć i zdecydować się na – jej zdaniem – sensowniejszą lub bardziej porywającą formę egzystencji. Począwszy od Ewy i węża, książki historyczne i literatura piękna obfitują w opowieści o ludziach, którzy dali się nabrać, a niekiedy nawet zniszczyć, ponieważ ulegli gładkim słówkom oraz urokowi ryzykantów i złoczyńców. Oto kilka przykładów par ofiara – socjopata: Dickie Greenleaf i utalentowany pan Ripley, Samson i Dalila, River City i Harold Hill, Trilby i Svengali, Norman Mailer i Jack Henry Abbott, caryca Aleksandra i rzekomo nieśmiertelny Rasputin. My również zetknęliśmy się w życiu z osobami przyprawiającymi nas o gęsią skórkę. Jeżeli dopisało nam szczęście, nasz kontakt z nimi ograniczył się do przelotnych spotkań. Pechowcy muszą żyć z niezatartymi wspomnieniami prawdziwych osobistych tragedii, które wydarzyły się, gdy padli ofiarą uroku ludzi pozbawionych sumienia.

Co więcej, niemoralni ludzie znają nas znacznie lepiej, niż my znamy ich. Bardzo trudno nam zidentyfikować osobę pozbawioną sumienia, lecz osoba bez sumienia potrafi w mgnieniu oka rozpoznać przyzwoitego i ufnego człowieka. Już jako dziecko Skip wiedział, którego kolegę może przekonać do kupna fajerwerków. Jako osoba dorosła natychmiast zorientował się, że Juliette wytrwa u jego boku i nigdy nie zada trudnych pytań na temat jego barwnego życia. Doreen Littlefield dostrzegła w recepcjonistce Ivy łatwy cel i doskonale wyczuła, że Jackie Rubenstein jako troskliwa osoba bez protestu przejmie na siebie większą część odpowiedzialności za niepowodzenie terapii.

Kiedy socjopata rozpozna w kimś figurę przydatną w toczonej przez niego grze, rozpoczyna obserwację. Dowiaduje się, jak można manipulować wybraną osobą, jak ją wykorzystać, czym można jej schlebić i jak ją omamić. Wzbudza zaufanie i buduje poczucie bliskości, twierdząc, że on i jego ofiara to osoby do siebie podobne. Moi pacjenci często wspominają słowa, pod których wrażeniem pozostawali jeszcze długo po rozstaniu z socjopatycznym partnerem: „Wiesz, mam wrażenie, że jesteśmy bardzo podobni do siebie” lub „Moim zdaniem jesteśmy bratnimi duszami”. Z perspektywy czasu takie stwierdzenia mogą się wydawać bardzo poniżające. Mimo swojej szokującej nieprawdziwości nie przestają nas prześladować.

Ludzie bez sumienia potrafią również zaskakująco precyzyjnie wyczuć, kto będzie podatny na ich seksualne awanse, gdyż uwodzenie to kolejna metoda bardzo często przez nich stosowana[1]. Dla większości z nas związek o charakterze seksualnym wymaga zaistnienia choćby krótkotrwałej więzi emocjonalnej. Tego rodzaju więzią posługują się zimne, wyrachowane osoby, by uzyskać to, czego chcą: lojalność, wsparcie finansowe, informacje, poczucie „wygranej”, lub po prostu wejść w przelotny, choć z pozoru normalny związek. Oto kolejny doskonale rozpoznawalny motyw często pojawiający się w literaturze i w historii. Rzadko jednak uświadamiamy sobie ogrom władzy, jaką więź o charakterze seksualnym daje socjopacie nie tylko nad jednostką (co oczywiste), lecz także nad grupami osób i instytucjami. Ukrywający się w organizacji socjopata może bez końca się kamuflować dzięki jednej lub dwóm normalnym osobom, które popełniły błąd, konsumując własne zauroczenie ujmująco niebezpieczną jednostką. Na przykład Doreen mogła udawać wykwalifikowaną psycholożkę przede wszystkim dzięki referencjom uzyskanym od dwóch zmanipulowanych seksualnie mężczyzn. A gdy Jackie próbowała zdemaskować socjopatyczne zachowanie Doreen,

przypuszczalnie z tego samego powodu zaprotestowała trzecia osoba, ordynator oddziału, dzięki czemu ponętna „doktor” Littlefield mogła pozostać na swoim stanowisku jeszcze przez sześć lat.

Uwodzenie jest tylko jednym z aspektów gry. Dajemy się także zwodzić aktorskim umiejętnościom ludzi bez sumienia. Ich życie opiera się na oszustwie i iluzji, dlatego inteligentni socjopaci często zyskują biegłość w odgrywaniu ról, a nawet w stosowaniu niektórych technik używanych przez zawodowych aktorów. Paradoksalnie okazywane na zawołanie oznaki emocji mogą stać się drugą naturą socjopaty: pozory żywego zainteresowania problemami lub radością innych, przesadny patriotyzm, słuszny gniew, tonąca w pąsach skromność, a nawet płaczliwy smutek. Za znak firmowy socjopatów można uznać płacz na zawołanie. Mając pewność, że Ivy zobaczy jej szloch i podda się psychologicznej manipulacji, Doreen roni krokodyle łzy nad Dennisem i zapewne wylewa je też obficie w obecności Ivy, kiedy – jak można było przewidzieć – wymyśliła straszliwą, bolesną chorobę, która zmusiła ją do uśpienia jej pieska.

Fałszywe łzy przydają się ludziom bez sumienia zwłaszcza wtedy, kiedy osoba mająca zmysł moralny zanadto się zbliży do odkrycia prawdziwego oblicza oszusta. Bliski zdemaskowania socjopata zmienia się nagle w godną pożałowania, szlochającą ofiarę, na którą nikt nie będzie świadomie wywierał dalszej presji. Lub wprost przeciwnie, niekiedy zapędzony w kozi róg może się unieść świętym oburzeniem i złością, próbując odstraszyć oskarżyciela. Właśnie tak postąpiła Doreen wobec dyrekcji szpitala, kiedy ostatecznie wyrzucono ją z pracy.

Obdarzeni naturalnym talentem aktorskim ludzie pozbawieni sumienia potrafią w pełni wykorzystać społeczne i zawodowe role dostarczające im doskonałych, gotowych masek, za które inni wcale nie chcą zaglądać. Te role pomagają nam organizować złożone życie społeczne, dlatego przywiązujemy do nich ogromną wagę. Widząc podejrzane zachowania, zapewne po jakimś czasie zakwestionujemy kompetencje osoby o nazwisku Doreen Littlefield, lecz raczej nie odważymy się podważyć opinii *doktor* Doreen Littlefield bez względu na to, jak dziwnie postępuje. Tytuł doktora budzi w nas zdecydowanie pozytywne skojarzenia, dlatego niezbyt często wyrażamy się krytycznie o osobach, które opatrują nim swoje nazwiska. Ta sama zasada do pewnego stopnia obowiązuje w odniesieniu do ludzi, którzy (zgodnie z prawem lub nie) posługują się tytułami związanymi z piastowanymi przez nich stanowiskami na różnych szczeblach władzy, w biznesie, w strukturach religijnych i w edukacji, a nawet odnoszącymi się do funkcji rodzica. Sąsiedzi rzadko interesują się zachowaniem kościelnego diakona, miejskiego radnego, dyrektora szkoły średniej, a nawet genialnego biznesmena pokroju Skipa. Wierzymy w ich zapewnienia, ponieważ przypisujemy im uczciwość kojarzoną z odgrywaną przez nich rolą społeczną. Zgodnie z tą samą zasadą prawie nigdy nie podważamy rodzicielskich kompetencji sąsiada, nawet jeżeli się obawiamy, że maltretuje on swoje dziecko. Nasze rozumowanie często nie wykracza poza stwierdzenie: „To przecież *on* wie lepiej, bo jest rodzicem”.

Ponadto osoba roztaczająca wokół siebie aurę życzliwości, kreatywności lub przenikliwości odwraca naszą uwagę od swojego prawdziwego zachowania. Na przykład nie podejrzewamy o niecne intencje ludzi nazywających się miłośnikami zwierząt. Akceptujemy większą swobodę zachowania osób zaliczających się do grona artystów lub intelektualistów częściowo dlatego, że wszelkie odchylenia od normy tłumaczymy sobie ekstrawagancją, której my, zwykli ludzie, nie zdołalibyśmy zrozumieć. Na ogół nasz szacunek do wyżej wspomnianych grup ludzi odgrywa konstruktywną rolę społeczną, ale niekiedy otwiera on furtkę socjopatom skutecznie naśladującym innych.

Co gorsza, nasz szacunek do ludzi sprawiających wrażenie natchnionych i dobrotliwych

przywódców bywa nadużywany, co niejednokrotnie prowadziło do tragedii. Przywódcy, zwłaszcza przypisującemu sobie wzniosłe pobudki – na przykład lekarzowi, duchownemu lub rodzicowi – jesteśmy gotowi nadawać cechy utożsamiane z piastowaną przez niego funkcją i postrzegać go przez jej pryzmat. Benjamin Wolman, założyciel i redaktor naczelny „International Journal of Group Tensions", pisze: „Ludzkie okrucieństwo zazwyczaj narasta, gdy agresywny socjopata zdobywa niezwykłą, niemal hipnotyczną kontrolę nad tłumami. Historia obfituje w przykłady wodzów, proroków, zbawicieli, guru, dyktatorów i innych socjopatycznych megalomanów, którzy zdobyli poparcie (…) i podburzali ludzi do stosowania przemocy"[2]. Kiedy taki „zbawca" podstępnie wykorzystuje normalnych ludzi do swoich celów, zazwyczaj najpierw zwraca się do nich z propozycją poprawy losu ich bliźnich, a potem uparcie twierdzi, że można to osiągnąć tylko postępując zgodnie z jego agresywnym planem.

Głos sumienia może zostać częściowo stłumiony, gdyż jak na ironię ludzie pozbawieni go używają przeciwko nam wielu zasadniczo pozytywnych narzędzi służących do konsolidacji społeczeństwa, takich jak empatia, więzi seksualne, role społeczne i zawodowe, szacunek dla osób współczujących i twórczych, pragnienie, by świat był lepszy, oraz porządkująca funkcja władzy. Co więcej, ludzie popełniający odrażające czyny wcale na takich nie wyglądają. Nie istnieje nic takiego jak „oblicze zła". Gdybyśmy jakimś cudem potrafili się pozbyć wszystkich straszliwych skojarzeń, twarz Saddama Husseina uważalibyśmy za raczej dobroduszną. Często mówiono nawet, że dyktator miał zwyczaj szeroko i przyjaźnie się uśmiechać. Twarz Hitlera, gdyby nie stała się ikoną zła z powodu potworności, jakich dopuścił się jej właściciel, można by uznać za niemal komiczną, chaplinowską w swoim głupawym wyrazie. Lizzy Borden[3] wyglądała jak inne noszące gorsety damy z epoki wiktoriańskiej zamieszkujące Fall River w Massachusetts. Pamela Smart[4] jest ładna. Ted Bundy był tak przystojny, że przed wykonaniem kary śmierci kobiety składały mu propozycje małżeństwa, a na każdego złowrogiego Charlesa Mansona[5] przypada rozbrajająca twarz Johna Lee Malvo[6].

Świadomie lub podświadomie próbujemy oceniać charakter innych ludzi na podstawie ich wyglądu, lecz niemal we wszystkich przypadkach strategia oceniania książki po okładce okazuje się nieskuteczna. W świecie rzeczywistym źli ludzie nie wyglądają tak, jak w naszym mniemaniu powinni. Nie przypominają wilkołaków, Hannibala Lectera ani Tony'ego Perkinsa przyglądającego się zwłokom spoczywającym w bujanym fotelu. Wprost przeciwnie, wyglądają tak samo jak my.

GASNĄCY PŁOMIEŃ

Bycie obiektem zainteresowania socjopaty to skrajnie przerażające przeżycie nawet wówczas, gdy nie ucieka się on do fizycznej przemocy. W 1944 roku George Cukor wyreżyserował dramat psychologiczny zatytułowany *Gasnący płomień* (*Gaslight*). Piękna młoda kobieta (w tej roli wystąpiła Ingrid Bergman) zostaje doprowadzona do stanu bliskiego obłędowi. Obawę, że traci rozum, systematycznie podsyca w niej złowrogi, lecz czarujący, nowo poślubiony mąż (Charles Boyer). Mężczyzna stosuje różne sztuczki, między innymi doprowadza do tego, że podczas jego nieobecności żona słyszy niepokojące głosy ze strychu, a lampa niespodziewanie przygasa. Wydarzenia rozgrywają się w ponurym domostwie, w którym przed wielu laty w tajemniczych okolicznościach zamordowano ciotkę młodej mężatki. Oczywiście nikt nie wierzy w skargi bohaterki na odgłosy dobiegające ze strychu, na samoistnie gasnącą lampę ani na inne budzące jej zaniepokojenie zdarzenia. Tytuł filmu przyjął się w angielskojęzycznym piśmiennictwie i oznacza postępującą utratę wiary we własne zmysły u ofiar przemocy psychologicznej. W filmowym świecie mężczyzna nie jest agresywny. Nigdy nie podnosi ręki na żonę, lecz przyprawia ją o chorobę umysłową, co brzmi jeszcze bardziej złowieszczo.

Jeżeli podejrzewamy i usiłujemy wyjaśnić innym, że socjopata obrał nas sobie za cel, odwołujemy się właśnie do metafory gasnącego płomienia. Za dobrą ilustrację tego zjawiska może posłużyć nam to, co dzieje się z Jackie Rubenstein tuż po konfrontacji z Doreen Littlefield. Jackie telefonuje do przyjaciela w poszukiwaniu wsparcia, gdyż nie jest pewna, czy może ufać własnym zmysłom. Gdy jednak próbuje poinformować ordynatora o prawdziwym obliczu Doreen, ten uprzejmie, lecz bardzo wyraźnie powtarza wcześniejszą insynuację swojej kochanki, jakoby Jackie zaczynała się udzielać paranoja Dennisa.

Kiedy Jackie oskarża Doreen o brutalne potraktowanie bezbronnego pacjenta, nasuwa się oczywiste pytanie: dlaczego istota ludzka posuwa się do tak przerażającego czynu? Zadajemy je otwarcie lub snujemy domysły, lecz zazwyczaj przekonujemy się, że nie przychodzi nam do głowy żadna racjonalnie brzmiąca odpowiedź. Tak jak niewinna nowo poślubiona żona w *Gasnącym płomieniu*, możemy częściowo lub całkowicie przestać ufać własnym zmysłom. Bohaterka waha się, czy w ogóle powinna się zwierzać komukolwiek, gdyż wszelkie próby zdemaskowania socjopaty podkopują jej własną wiarygodność, sugerując chorobę psychiczną. Tego rodzaju wątpliwości dręczące nas samych oraz innych przysparzają nam bólu i szybko nas przekonują, że lepiej trzymać język za zębami. W ciągu swojej wieloletniej praktyki miałam sposobność wysłuchać zwierzeń setek prześladowanych pacjentów i przekonałam się, że gdy wreszcie socjopata zostaje publicznie zdemaskowany na forum jakiejś organizacji lub społeczności, okazuje się, że wiele osób od dawna żywiło wobec niego określone podejrzenia, każda niezależnie od pozostałych i w tajemnicy przed innymi. Wszyscy ci ludzie czuli się ofiarami presji psychologicznej, nie chcieli sprawiać wrażenia paranoików, dlatego zachowywali swoje spostrzeżenia w tajemnicy.

Dlaczego istota ludzka posuwa się do tak przerażającego czynu? Mówiąc „istota ludzka”, mamy na myśli osobę o normalnej powierzchowności, wyglądającą tak jak my. Chodzi nam o osobę piastującą odpowiedzialne stanowisko, miłośnika zwierząt, rodzica, małżonka lub uroczą osobę, z którą zjedliśmy kolację lub łączyło nas z nią coś więcej. A przez „tak

przerażający czyn” rozumiemy działanie szkodzące innym, kuriozalne i niewytłumaczalne, ponieważ nie potrafimy wyjaśnić – odwołując się do naszych własnych uczuć i normalnych motywów działania – dlaczego ktoś miałby postąpić w opisywany sposób. Dlaczego bystry, przystojny, pochodzący z bogatej rodziny chłopiec taki jak Skip miałby mordować małe zwierzątka? Dlaczego Skip jako dojrzały człowiek odnoszący ogromne sukcesy, a do tego żonaty z piękną córką miliardera, miałby narażać na ryzyko swoją reputację, łamiąc rękę sekretarce? Dlaczego doktor Littlefield, najsympatyczniejsza osoba pod słońcem, miałaby nagle przypuścić brutalny psychologiczny atak na wracającego do zdrowia pacjenta, na dodatek zaliczanego do grona VIP-ów? Dlaczego szanowana terapeutka, wiedząc, że może zostać zdemaskowana, miałaby wymyślać bezsensowne, grubymi nićmi szyte kłamstwo? Tylko po to, by przestraszyć młodą stażystkę?

Gdy mamy do czynienia z zachowaniem noszącym cechy socjopatii, zadajemy sobie podobne pytania, lecz w większości przypadków nie potrafimy znaleźć na nie wiarygodnych odpowiedzi. Możemy spekulować do woli, ale nie potrafimy sobie wyobrazić *dlaczego*. Żadne wyjaśnienie nie brzmi sensownie, w związku z czym przypuszczamy, że doszło do nieporozumienia lub poddaliśmy nasze spostrzeżenia nadinterpretacji. Myślimy tak, ponieważ umysł podążający za głosem sumienia funkcjonuje jakościowo odmiennie od umysłu pozbawionego poczucia winy, dlatego też cele i motywacje socjopatów pozostają całkowicie obce naszemu doświadczeniu. Po to, by umyślnie, tak jak Doreen, zaszkodzić człowiekowi choremu psychicznie lub tak jak Skip złamać komuś rękę, większość z nas musiałaby stanąć w obliczu poważnego zagrożenia z jego strony bądź znaleźć się pod wpływem silnych uczuć, na przykład wściekłości. Dokonywanie haniebnych czynów na zimno, dla zabawy nie mieści się w emocjonalnych możliwościach normalnego człowieka.

Socjopaci, pozbawieni poczucia obowiązku zakorzenionego w więzi z innymi, poświęcają swój czas interpersonalnym gierkom, „wygrywaniu” i dominacji dla samej dominacji. Jako ludzie obdarzeni sumieniem potrafimy zrozumieć motywy kryjące się za taką czy inną intrygą, lecz kiedy mamy z nią do czynienia w prawdziwym życiu, jej przejawy są nam tak obce, że często zupełnie nie potrafimy jej dostrzec. Wielu ludzi pozbawionych sumienia zachowuje się autodestrukcyjnie wyłącznie na użytek prowadzonej przez siebie gry. Stamp Man spędził połowę życia w więzieniach po to, by co kilka lat poczuć trwający mniej więcej godzinę dreszczyk emocji na widok miotających się urzędników pocztowych i policjantów. Doreen bez wahania naraziła na poważne ryzyko własną karierę tylko po to, żeby zaszkodzić koleżance. Oto zachowania, których nie potrafimy zrozumieć ani w nie uwierzyć. Prędzej zwątpimy w nasze poczucie rzeczywistości.

Prześladujące nas wątpliwości często utrzymują się przez dłuższy czas. Wspomnijmy tu o niezwykłej sympatii okazywanej przez opinię publiczną przestępczyni recydywistce Barbarze Graham jeszcze przez trzydzieści lat po jej śmierci. W 1955 roku w wieku trzydziestu dwóch lat Graham została stracona w więzieniu San Quentin za udział w dokonanym ze szczególnym okrucieństwem zabójstwie starszej wdowy Mabel Monahan. Plotka głosiła, że pani Monahan, podobnie jak ciotka młodej mężatki w *Gasnącym płomieniu*, ukrywała w domu klejnoty. Graham (obdarzona przez media przydomkiem Krwawa Babs) wraz z trzema wspólnikami włamała się do domu kobiety, a kiedy przestępcom nie udało się znaleźć jej biżuterii, zmasakrowała twarz staruszki kolbą pistoletu, po czym udusiła ją poduszką.

Nagrane tuż przed egzekucją ostatnie słowa Krwawej Babs brzmiały: „Dobrzy ludzie są

zawsze tacy pewni, że mają rację". Wypowiedziała je spokojnie, prawie ze współczuciem i chyba właśnie dlatego okazały się one skutecznym narzędziem presji psychologicznej. To one sprawiły, że wiele osób zwątpiło we własne poczucie rzeczywistości i zamiast napiętnować makabryczny postępek Graham, zwróciło uwagę opinii publicznej na odgrywaną przez nią rolę atrakcyjnej matki trojga małych dzieci. Wyrok skazujący i śmierć morderczyni stały się tematem burzliwej debaty. Jeszcze dziś, na przekór wnioskom wyciągniętym z obszernego materiału dowodowego, niektórzy utrzymują, że Graham była niewinna. Na fali tych wątpliwości powstały dwa filmy, obydwa zatytułowane *Chcę żyć!* W pierwszym z nich wystąpiła Susan Hayward, która za swoją kreację zdobyła Oscara, natomiast w telewizyjnym remake'u dramatu z 1983 roku w rolę przestępczyni wcieliła się Lindsay Wagner. W obu wersjach Graham, sadystyczną zabójczynię, przedstawiono jako uwikłaną w zbrodnię, niezrozumianą przez nikogo kobietę.

Ostatnie słowa Barbary Graham: „Dobrzy ludzie są zawsze tacy pewni, że mają rację", można zinterpretować jako element presji psychologicznej właśnie dlatego, że prawda wygląda zupełnie inaczej. W rzeczywistości jedną z uderzających cech dobrych ludzi jest brak całkowitej pewności co do tego, kto ma rację. Dobrzy ludzie nieustannie się zastanawiają, pytają samych siebie oraz poddają swoje decyzje i czyny rygorystycznej analizie, powodowani poczuciem obowiązku zakorzenionym w relacjach z innymi ludźmi. Zadające nam pytania sumienie rzadko dopuszcza bezwzględną pewność, a nawet wtedy, gdy tak robi, wietrzymy podstęp mający skłonić nas do wymierzenia komuś niesprawiedliwej kary lub do podjęcia innych nieetycznych działań. Nawet w języku prawa odwołujemy się do „uzasadnionej wątpliwości", a nie do całkowitej pewności. W ostatecznym rozrachunku Barbara Graham rozumiała nas znacznie lepiej, niż my rozumieliśmy ją, a jej pożegnalny komentarz włączył nieracjonalny, lecz bardzo czuły psychologiczny bezpiecznik u ludzi obdarzonych sumieniem, którzy śledzili sprawę Krwawej Babs – obawę, że podjęli decyzję na podstawie *zbyt dużej pewności*.

Nasze poczucie zagubienia potęguje jeszcze jedno: większość z nas instynktownie zdaje sobie sprawę z istnienia różnych odcieni, a nie bezwzględnych kategorii dobra i zła. W głębi serca czujemy, że nie ma osoby stuprocentowo dobrej, więc zakładamy, że nie istnieje również osoba stuprocentowo zła. Z filozoficznego, a już z całą pewnością z teologicznego punktu widzenia nie można tego wykluczyć, wszak w tradycji judeochrześcijańskiej szatan jest upadłym aniołem. Najprawdopodobniej nie ma z gruntu dobrych ani z gruntu złych ludzi. Z perspektywy psychologii z całą pewnością istnieją jednak zarówno ludzie wyposażeni w hamulce wynikające z więzi emocjonalnych, jak i ludzie ich pozbawieni. Jeżeli będziemy uparcie temu zaprzeczać, narażamy na niebezpieczeństwo osoby mające sumienie oraz wszystkie Mabel Monahan tego świata.

JAK ZACHOWAĆ OSTROŚĆ SIÓDMEGO ZMYSŁU

Jakiś czas temu, gdy moja córka miała dziesięć lat, jej klasa wybrała się do teatru na sztukę *Pociąg do wolności* przedstawiającą działalność Harriet Tubman i Kolei Podziemnej[7]. Podczas wycieczki pełniłam funkcję jednej z opiekunek. W drodze powrotnej do szkoły w autokarze panował harmider. Jeden z chłopców dręczył kolegę, szturchając go i ciągnąc za włosy. Powiedziano mi później, że napastowany spokojny chłopiec był opóźniony w rozwoju, nie przyjaźnił się z nikim i nie potrafił się bronić. Zanim ktoś z dorosłych zdążył zareagować, siedząca tuż za chłopcami mała dziewczynka klepnęła prześladowcę po ramieniu i powiedziała: „Zachowujesz się okropnie. Przestań".

Osóbka, która dostrzegła aspołeczne zachowanie i publicznie mu się sprzeciwiła, liczyła sobie dziesięć lat i miała całe 122 cm wzrostu. Upomniany chłopiec pokazał jej język i przeskoczył na inne miejsce, dosiadając się do innego kolegi. Dziewczynka odprowadziła go wzrokiem, a potem spokojnie wraz z koleżanką wróciły do gry w papier, kamień, nożyce.

Co dzieje się z nami, kiedy dorastamy? Dlaczego dorośli nie mówią chuliganom „przestańcie"? Dorośli chuligani są silniejsi, ale przecież my również. Czy ta zdrowa, mała dziewczynka będzie się zachowywać z taką samą godnością i pewnością siebie, kiedy skończy trzydzieści lat i będzie o pół metra wyższa? Czy pójdzie w ślady Harriet Tubman, choć w innej słusznej sprawie? Niestety, biorąc pod uwagę naszą obecną praktykę wychowawczą, jest to bardzo mało prawdopodobne.

Wychowujemy nasze dzieci, zwłaszcza dziewczynki[8], tak, by tłumiły swoje spontaniczne reakcje. Zniechęcamy je do wtrącania się w „nie swoje sprawy", do kołysania łódką, w której wszyscy płyniemy jako społeczeństwo. Takie postępowanie można uznać za uzasadnione, jeżeli wspomniane reakcje obejmują bicie, agresję słowną, kradzież atrakcyjnego artykułu ze sklepu lub obrażanie nieznajomego w kolejce w supermarkecie. Przy okazji jednak nasze unikające konfliktów społeczeństwo tłumi także inny rodzaj spontanicznej reakcji – naturalny odruch moralnego oburzenia. Zanim dzielna dziewczynka skończy trzydzieści lat, jej skłonność do wtrącania się, do reagowania na czyjeś „okropne postępowanie" może zostać wyeliminowana z jej zachowania, a niewykluczone, że nawet z jej świadomości.

W książce *Women's Anger. Clinical and Developmental Perspectives* (Gniew u kobiet z perspektywy klinicznej i rozwojowej) Deborah Cox, Sally Stabb i Karin Bruckner, psycholożki zajmujące się tematyką gender, opisują sposób postrzegania przez dziewczęta i kobiety społecznych reakcji na wyrażane przez nie oburzenie. Autorki piszą, że „większość opisywanych przez respondentki interakcji kończy się bagatelizowaniem oburzenia, lekceważeniem dziewczyny/kobiety lub jednym i drugim. Przybiera to postać bezpośredniego ataku w formie krytyki lub reakcji obronnej, bądź bardziej pasywnego odrzucenia, na przykład wycofania, oraz umniejszania wagi niepokoju i uczuć żywionych przez dziewczęta lub kobiety". Na podstawie badań przeprowadzonych z udziałem nastolatek profesor pedagogiki Lyn Mikel Brown twierdzi, że idealizowana koncepcja kobiecości może być niebezpieczna, gdyż propaguje „milczenie kosztem szczerego wyrażania opinii".

Jeżeli chcemy się pozbyć klapek z oczu i zachować ostrość siódmego zmysłu, dzięki któremu nasze życie staje się bardziej wartościowe, musimy zacząć od naszych dzieci. (Uwaga ta dotyczy

zresztą większości recept na bolączki tego świata). Prawidłowo funkcjonujące sumienie poznaje się między innymi po zdolności jego posiadacza do stawienia czoła osobie całkowicie go pozbawionej. Jeżeli wpajamy naszym córkom – dając im to jasno do zrozumienia lub biernie je ignorując – że powinny tłumić odczuwane przez siebie oburzenie, zachowywać się uprzejmie i ulegle, nie bronić siebie ani innych ludzi oraz że pod żadnym pozorem nie wolno im się wtrącać, nie wzmacniamy ich zmysłu prospołecznego, lecz niszczymy go, dlatego to one same jako pierwsze przestaną się bronić. Cox, Stabb i Bruckner podkreślają, że „wymóg tłumienia oburzenia wobec zachowania innych osób pozbawia kobiety sposobności do rozwoju tego rodzaju niezależności". Zamiast tego, jak to ujęła Lyn Mikel Brown, należałoby zaproponować „kreatywną odmowę i opór nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach".

Nie ryzykujcie tego, że wasza córka padnie ofiarą presji psychologicznej. Kiedy zauważy kogoś, kto rzeczywiście zachowuje się okropnie, przyznajcie jej rację i powiedzcie, że trzeba głośno o tym mówić. Jackie Rubenstein uwierzyła swojemu pacjentowi Dennisowi i otwarcie zarzuciła kłamstwo socjopatce Doreen Littlefield. Dokonała godnego pochwały, moralnego wyboru. Zupełnie jakby powiedziała: „Zachowujesz się okropnie. Przestań", chociaż publiczne wyrażenie tej opinii spowodowało, że wiele mniej przenikliwych osób z jej otoczenia zaczęło uważać ją za intrygantkę.

W książce *Sposób na Kaina. Jak chronić życie emocjonalne chłopców* znani psycholodzy dziecięcy Dan Kindlon i Michael Thompson wyrażają zaniepokojenie częstością, z jaką „nieporadni ojcowie uciekają się do tradycyjnych reakcji obronnych, chcąc utrzymać fikcję, że »ojciec wie najlepiej«"[9]. Rodzice, zwłaszcza ojcowie, zwykle wpajają synom, że bez względu na okoliczności ci ostatni powinni okazywać posłuszeństwo autorytetowi. W niesprzyjających okolicznościach kulturowych i politycznych, jakie od wieków powracają ze złowrogą regularnością, tę naukę równie dobrze można byłoby uzupełnić pożegnalnym listem samobójcy. Można zrozumieć rodziców pragnących zaszczepić dzieciom szacunek dla prawomocnego autorytetu, zresztą jest to zapewne istotne dla funkcjonowania społeczeństwa w znanym nam kształcie. Lecz wyrabianie w dzieciach odruchowej uległości bez prawa do zadawania pytań jest co najmniej nierozsądne, gdyż posłuszeństwo wobec autorytetu jest u większości ludzi reakcją odruchową, niewymagającą ćwiczenia. W następstwie wzmocnienia tego naturalnego impulsu nasze dzieci staną się bardzo podatne na wpływ wszelkich agresywnych lub socjopatycznych „autorytetów", z którymi mogą mieć do czynienia w późniejszym życiu.

Ze szkodą dla wszystkich posłuszeństwo może się stopić w jedno z wyższymi wartościami, takimi jak patriotyzm i poczucie obowiązku. Tak wzmożone odruchowe posłuszeństwo przypuszczalnie pochłonie nas, zanim zdążymy się zastanowić, czy sami przypadkiem nie jesteśmy najlepszym autorytetem w sprawach związanych z naszym własnym życiem i własnym krajem, na długo zanim dojrzejemy do zadania sobie pytania: Czy ja i moi rodacy naprawdę chcemy walczyć, a może nawet ginąć w imię prywatnych korzyści jakiegoś samozwańczego „autorytetu"?

Mimo wszystko wierzę, że obecnie po raz pierwszy od tysięcy lat mamy sposobność zmienić świat. Niegdyś fizyczne przetrwanie wymagało dopilnowania, by dzieci nie pokrzyżowały starannie przygotowanych planów, nie zadawały zbyt wielu pytań i nie kwestionowały poleceń. Życie było trudne i do tego stopnia najeżone niebezpieczeństwami, że dzieci podważające autorytet rodziców mogły zginąć. Dlatego przez stulecia wychowywaliśmy całe pokolenia, dla których dawanie wyrazu moralnemu oburzeniu było niesłychanym luksusem i które uważały

podważanie autorytetu za zagrożenie dla życia. Tak oto krok po kroku mimowolnie przygotowaliśmy grunt pod dominację socjopatów. Lecz w dzisiejszych czasach większość z nas żyjąca w rozwiniętym świecie nie musi się martwić o przetrwanie. Możemy pozwolić sobie na chwilę wytchnienia. Możemy pozwolić naszym dzieciom zadawać pytania. A kiedy dorosną, bez powątpiewania we własne zmysły spojrzą terroryzującym innych ludziom prosto w oczy i powiedzą: „Zachowujecie się okropnie. Przestańcie".

A co z nami – dorosłymi, którzy od lat zdobywamy wprawę w lekceważeniu własnych odruchów? Jak możemy uniknąć presji psychologicznej i rozpoznać w naszym otoczeniu ludzi bez sumienia? Pytanie brzmi interesująco, a odpowiedź na nie może zaskakiwać. Przedstawiam ją w następnym rozdziale.

---

[1] L. Robins, *Deviant Children Grown Up. A Sociological and Psychiatric Study of Sociopathic Personality*, Huntington 1974.

[2] B. Wolman, *Antisocial Behavior. Personality Disorders from Hostility to Homicide*, Amherst 1999, s. 136.

[3] Oskarżona o zabójstwo ojca i jego drugiej żony w 1892 roku (przyp. tłum.).

[4] Za podżeganie do zabójstwa i współudział w zabójstwie swojego męża w 1990 roku skazana na dożywocie bez prawa do ubiegania się o zwolnienie (przyp. tłum.).

[5] Założyciel sekty Rodzina, która w 1969 roku dokonała zabójstwa Sharon Tate (żony Romana Polańskiego) i czworga jej przyjaciół. Skazany na dożywocie bez prawa do ubiegania się o zwolnienie (przyp. tłum.).

[6] Seryjny morderca, sprawca zamachów na życie przypadkowych osób. Skazany na dożywocie bez prawa do ubiegania się o zwolnienie (przyp. tłum.).

[7] Kolej Podziemna (Underground Railroad) – organizacja ułatwiająca ucieczkę niewolnikom z południowych stanów USA. Harriet Tubman – zbiegła niewolnica, aktywna działaczka Kolei Podziemnej (przyp. tłum.).

[8] D. Cox, S. Stabb, K. Bruckner, *Women's Anger. Clinical and Developmental Perspectives*, Philadelphia 1999; L. Brown, *Raising Their Voices. The Politics of Girls' Anger*, Cambridge 1999, s. 166; L. Brown, *Educating the Resistance. Encouraging Girls' Strong Feelings and Critical Voices* (wykład zaprezentowany na XX Konferencji Association of Moral Education, Calgary/Banff, Kanada, 1994); C. Gilligan, *Women's Psychological Development. Implications for Psychotherapy*, „Women and Therapy" 11 (1991), s. 5–31; L. Brady, *Gender Differences in Emotional Development. A Review of Theories and Research*, „Journal of Personality" 53 (1985), s. 102–149.

[9] D. Kindlon, M. Thompson, *Sposób na Kaina. Jak chronić życie emocjonalne chłopców*, tłum. A. Skucińska, Kraków 2004, s. 108.

6

JAK ROZPOZNAĆ OSOBY POZBAWIONE SKRUPUŁÓW

Pewien stary mnich ostrzegł podróżnika, że na pustyni prawie nie można odróżnić od siebie głosów Boga i Diabła.
LOREN EISELEY

„Skąd mam wiedzieć, komu zaufać”? Tak brzmi jedno z pytań najczęściej zadawanych mi przez moich pacjentów – ofiary traumatycznych przeżyć. Większość z nich zranili inni ludzie, nic więc dziwnego, że właśnie ta kwestia leży im na sercu. Odnoszę jednak wrażenie, że jest ona ważna dla większości z nas, nawet dla tych, którzy nie przeżyli żadnego głębokiego urazu psychicznego. Wszyscy bardzo staramy się ocenić, czy i w jakim stopniu inni ludzie mają sumienie. Szczególnie interesuje nas „iloraz sumienia” u ludzi, z którymi utrzymujemy bliskie kontakty, a gdy poznajemy atrakcyjną nową osobę, często zużywamy wiele energii umysłowej na podejrzenia, domysły i pobożne życzenia dotyczące tego zagadnienia.

Osoby niegodne zaufania nie noszą specjalnych koszulek z nadrukami, nie mają charakterystycznych znamion na czołach, a fakt, że często musimy podejmować kluczowe decyzje dotyczące innych ludzi w oparciu o niewiele więcej niż spekulacje, skłania nas do polegania na irracjonalnych strategiach, które łatwo przeradzają się w przesądy towarzyszące nam przez całe życie. „Nie wierz nikomu po trzydziestce”, „Nigdy nie ufaj mężczyźnie”, „Nie wierz nigdy kobiecie”, „Nigdy nie ufaj nikomu” – oto garść najpopularniejszych przykładów. Pragniemy klarownej reguły, choćby bardzo ogólnej, bo wiedza, kogo powinniśmy się wystrzegać, jest dla nas bardzo ważna. Niestety tego rodzaju strategie odwołujące się do uogólnień są nieskuteczne, a co gorsza zazwyczaj wprowadzają w nasze życie niepokój i niezadowolenie.

Oprócz wieloletniej, zażyłej znajomości nie istnieje żaden niezawodny sygnał ani sprawdzian wiarygodności. Musimy się pogodzić z tym niepokojącym faktem. Niepewność w tej dziedzinie stanowi po prostu część kondycji człowieka. Jak dotąd nie poznałam nikogo, kto z powodzeniem uporałby się z tym problemem, wykluczając bardzo szczęśliwe zbiegi okoliczności. Ponadto wmawianie sobie, że istnieje jakaś skuteczna metoda identyfikowania ludzi pozbawionych sumienia – metoda, której dotąd nie udało się nam odkryć – prowadzi prosto do poniżającej i niesprawiedliwej krytyki nas samych.

W dziedzinie obdarzania zaufaniem innych ludzi wszyscy popełniamy błędy. Niektóre z tych błędów pociągają za sobą poważniejsze konsekwencje niż inne.

Mimo to, gdy ludzie pytają mnie o zaufanie, odpowiadam, że mam dla nich złą i dobrą

wiadomość. Zła wiadomość jest taka, że naprawdę istnieją ludzie pozbawieni sumienia, którym zupełnie nie można ufać. Ta przypadłość dotyczy przeciętnie czterech z losowo wybranej grupy stu osób. Natomiast dobra, a nawet bardzo dobra wiadomość brzmi: co najmniej dziewięćdziesiąt sześć osób na sto postępuje zgodnie z nakazami sumienia, a więc możemy liczyć na to, że będzie przestrzegać dość wysokich standardów przyzwoitości i odpowiedzialności, innymi słowy zachowa się mniej więcej tak samo jak ty i ja. Moim zdaniem ten drugi fakt jest o wiele istotniejszy niż pierwszy. Oznacza on, co zdumiewające, że według pewnego standardu zachowań prospołecznych nasz świat interpersonalny jest bezpieczny mniej więcej w 96 procentach.

Dlaczego więc świat wydaje się nam aż tak niebezpieczny? Jak wyjaśnić treści przeważające w wieczornych wiadomościach? A nasze osobiste złe doświadczenia? Co się właściwie dzieje? Czy to możliwe, że zaledwie 4 procent populacji odpowiada za prawie wszystkie wywołane przez człowieka katastrofy na świecie i w naszym osobistym życiu? To frapujące pytanie, a odpowiedź na nie może podważyć wiele spośród przyjętych przez nas założeń dotyczących funkcjonowania ludzkich społeczeństw. Więc powtórzę: sumienie jest niezwykle silnym, trwałym i prospołecznym zjawiskiem. Osoba związana głosem sumienia nie zabija, nie gwałci z zimną krwią, nie torturuje innych ludzi, nie pozbawia nikogo oszczędności całego życia, nie skłania nikogo dla zabawy do wejścia w związek pozbawiony miłości ani nie porzuca świadomie własnego dziecka, a nawet w pewnym sensie *nie może* tak postąpić, chyba że znajduje się wpływem psychotycznych urojeń, ataku szału, skrajnego niedostatku, narkotyków lub zgubnego autorytetu.

A wy?

W doniesieniach medialnych i w naszym własnym życiu nie brakuje jednak ludzi właśnie tak postępujących. Kim oni są? W wyjątkowych przypadkach rozpoznaje się u nich chorobę umysłową lub przypisuje ich działania wpływowi skrajnych emocji. Niekiedy znajdują się oni w rozpaczliwej sytuacji materialnej, nadużywają środków odurzających lub podporządkowali się dyktatowi złowrogiego przywódcy. Ale najczęściej nie zaliczają się do żadnej z tych grup. Są raczej ludźmi pozbawionymi sumienia, czyli socjopatami.

Najgorsze spośród nieprawdopodobnych czynów, o których czytamy w gazetach i które milcząco przypisujemy „naturze człowieka” – chociaż szokują one nas jako normalne istoty ludzkie – wcale nie odzwierciedlają normalnej natury człowieka. Obrażamy i demonizujemy sami siebie, gdy zgadzamy się z tym stwierdzeniem. Na zasadniczy trzon natury człowieka, choć daleki od doskonałości, wpływa dyscyplinująca świadomość istnienia wzajemnych powiązań między ludźmi. Okropności oglądane w telewizji, a niekiedy również doświadczane w życiu osobistym, wcale nie odzwierciedlają typowych zachowań naszego gatunku. Makabryczne wydarzenia dzieją się, gdy dochodzi do głosu coś zupełnie obcego naszej naturze – bezduszność i zupełny brak sumienia.

Niektórzy ludzie, w odróżnieniu od innych, są z natury pozbawieni wstydu. Wielu z nas trudno się pogodzić z tym faktem. Moim zdaniem trudność tę częściowo powoduje coś, co określam mianem „teorii ciemnej strony natury człowieka”. Ta teoria – prosty i brzmiący dość prawdopodobnie pogląd, że wszyscy posiadamy „ciemniejszą stronę”, która niekoniecznie musi się ujawniać w życiu codziennym – w swojej najskrajniejszej postaci brzmi: wszystko, co może zrobić lub odczuwać jedna osoba, mogą zrobić i odczuwać wszyscy. Innymi słowy, w pewnych okolicznościach (choć trudno je sobie wyobrazić) każdy może zostać, na przykład,

komendantem obozu śmierci. Paradoksalnie często właśnie dobrym i uczciwym ludziom najłatwiej przychodzi przyjęcie tej teorii w jej radykalnej postaci. Pośrednio przyznają więc, że również oni w nadzwyczajnych okolicznościach mogliby zostać masowymi mordercami. Każdy z nas żyje w etycznym półcieniu – ten pogląd jest bardziej demokratyczny, mniej cyniczny (i w pewnym sensie mniej niepokojący) niż opinia, że garstka ludzi nieustannie przebywa w kompletnym mroku moralnym. Z technicznego punktu widzenia stwierdzenia „niektórzy ludzie zupełnie nie mają sumienia" oraz „niektóre istoty ludzkie są złe" nie są równoznaczne, chociaż dzieli je zatrważająco niewielka różnica. A dobrzy ludzie bardzo nie chcą wierzyć w uosobienie zła.

Oczywiście, chociaż nie każdy mógłby zostać komendantem obozu śmierci, wielu, jeżeli nie większość ludzi potrafi przymknąć oczy na przerażające postępowanie takiej osoby ze względu na bezwładność psychologicznego mechanizmu zaprzeczenia, wykluczenie moralne i ślepe posłuszeństwo wobec zwierzchników. Albert Einstein zapytany kiedyś, dlaczego nie czujemy się bezpieczni w naszym własnym świecie, odpowiedział: „Świat jest miejscem niebezpiecznym nie z powodu tych, którzy czynią zło, lecz tych, którzy na to patrzą i nic nie robią".

Jeżeli chcemy poradzić sobie z ludźmi pozbawionymi poczucia wstydu, najpierw musimy ich zidentyfikować. Tak więc, jak rozpoznać tę jedną osobę spośród (mniej więcej) dwudziestu pięciu pozbawioną sumienia, która może zagrozić naszemu majątkowi i komfortowi psychicznemu w naszym własnym życiu? Stwierdzenie, czy ktoś jest godny zaufania, czy nie, wymaga zazwyczaj utrzymywania z nim bliskiej znajomości przez dłuższy czas. Oznacza to znacznie bliższe i dłuższe kontakty z socjopatą, niżbyśmy na to pozwolili, gdyby od początku nosił on charakterystyczne piętno na czole. Ten koszmarny dylemat stanowi po prostu część kondycji człowieka. Ale nawet jeśli wziąć pod uwagę wymóg bliższej znajomości, pozostaje uporczywe pytanie: „Skąd mam wiedzieć, komu ufać?", lub raczej „Komu *nie* ufać?".

Od niemal dwudziestu pięciu lat słucham opowieści swoich pacjentów o socjopatach, którzy wtargnęli w ich życie i wyrządzili im krzywdę. Dlatego może was zdziwić moja odpowiedź na zadane powyżej pytanie. Zazwyczaj oczekuje się ode mnie ujawnienia subtelnego, choć złowróżbnego szczegółu zachowania człowieka bez sumienia, na przykład charakterystycznej cechy jego mowy ciała lub skłonności do agresji słownej. Zdumienie wywołują moje zapewnienia, że nie u wszystkich i nie zawsze można zauważyć tego rodzaju sygnały ostrzegawcze, dlatego nie mogą one posłużyć do niezawodnej identyfikacji socjopaty. Za najlepszą wskazówkę uznaję próby wzbudzenia współczucia. Najbardziej niezawodną oznaką, najbardziej uniwersalnym elementem zachowania ludzi pozbawionych skrupułów nie jest wzbudzanie w nas lęku. Prawdziwy socjopata przewrotnie odwołuje się do naszego współczucia.

Dowiedziałam się o tym, gdy jako studentka psychologii miałam sposobność przeprowadzić wywiad z pacjentem skierowanym na badania przez sąd. System już wcześniej zdążył zidentyfikować tego człowieka jako „psychopatę". Mężczyzna ten nie używał przemocy, lecz wyłudzał pieniądze, stosując skomplikowane przekręty oparte na fikcyjnych inwestycjach. Zaintrygowana jego osobowością oraz tym, co popychało go do takiego postępowania – byłam wtedy jeszcze młoda, więc uważałam człowieka tego typu za osobliwość – spytałam: „Co jest dla pana najważniejsze w życiu? Czego najbardziej pan pragnie?". Podejrzewałam, że odpowie „najważniejsze jest zdobywanie pieniędzy" lub „nie trafić do więzienia", czyli odniesie się do działań, którym poświęcał większość czasu. Zamiast tego bez chwili wahania odpowiedział: „Nic łatwiejszego. Najbardziej lubię, kiedy ludzie mi współczują. Naprawdę bardziej niż

czymkolwiek innym w życiu rozkoszuję się ludzkim współczuciem”.

Byłam zdumiona i mocno rozczarowana. Chyba wolałabym, gdyby odpowiedział: „chcę uniknąć więzienia”, a nawet „pragnę zdobyć pieniądze”. Nie posiadałam się ze zdumienia. Dlaczego temu mężczyźnie, ba, dlaczego komukolwiek miałoby zależeć na współczuciu bardziej niż na czymkolwiek innym? Nie miałam pojęcia. Ale teraz, po dwudziestu pięciu latach słuchania opowieści ofiar, zrozumiałam, że istnieje doskonałe uzasadnienie upodobania socjopatów do współczucia. Tak samo oczywiste jak nos na naszej twarzy i równie trudne do dostrzeżenia bez pomocy lustra wyjaśnienie brzmi: dobrzy ludzie przymkną oko nawet na morderstwo popełnione przez osobę wzbudzającą ich litość, dlatego każdy socjopata pragnący snuć swoje intrygi, jakiekolwiek by były, powinien się odwoływać wyłącznie do litości.

Litość dobrych ludzi – bardziej niż podziw, a nawet bardziej niż strach – daje socjopatom wolną rękę. Gdy komuś współczujemy, przynajmniej na chwilę stajemy się bezbronni. Podobnie jak wiele innych zasadniczo pozytywnych cech ludzkich pomagających nam tworzyć więzi grupowe – role społeczne i zawodowe, kontakty seksualne, szacunek dla osób twórczych i oryginalnych, respekt dla przywódców – osoby niemające sumienia wykorzystują przeciwko nam naszą wrażliwość emocjonalną przybierającą postać współczucia. Większość z nas przyzna, że nie powinno się wybaczać nikomu, kto nie jest zdolny do odczuwania winy, lecz często wybaczamy mimo wszystko, zwłaszcza gdy ktoś taki sprawia wrażenie osoby skrzywdzonej przez los.

Litość i współczucie są siłami dobra, jeżeli stanowią reakcje na nieszczęście spotykające szlachetnych ludzi. Lecz gdy uczucia te wymuszają na nas osoby niegodne, prezentujące konsekwentnie antyspołeczne zachowania, to niezawodny znak, że coś jest nie tak. Często jednak lekceważymy ten potencjalnie przydatny sygnał ostrzegawczy. Posłużmy się tu znajomym przykładem: mąż socjopata regularnie maltretuje żonę, a następnie siada przy kuchennym stole, ukrywa twarz w dłoniach i żali się, że bije, bo nie może się opanować, i że to żona powinna się zdobyć na przebaczenie jemu, bo właśnie on zasługuje na współczucie. Istnieje wiele różnorodnych przykładów, od najbardziej rażących, jak agresja małżonka, do subtelnych, niemal podprogowych. Tego rodzaju sytuacje, nawet najbardziej jednoznaczne, podsuwają osobom mającym sumienie coś w rodzaju rysunku zawierającego ukryty kształt, a jego plan ogólny (odwoływanie się do współczucia) nieustannie dominuje nad szczegółami, na które należałoby zwrócić uwagę (zachowanie antyspołeczne).

Z perspektywy czasu błagania socjopatów o litość są nie tylko niedorzeczne, lecz wręcz mrożą krew w żyłach. Skip sugerował, że zasługuje na współczucie, ponieważ złamał komuś rękę. Doreen Littlefield grała rolę biednej, przepracowanej psycholożki, zbyt wrażliwej na cierpienia swoich pacjentów. Przebywająca w więzieniu śliczna, czarująca Barbara Graham przekonywała dziennikarzy, że społeczeństwo uniemożliwia jej sprawowanie właściwej opieki nad dziećmi. W 1945 roku w zeznaniach przed procesem norymberskim strażnicy obozów śmierci uskarżali się na trudności związane z nadzorowaniem funkcjonowania krematoriów. W wywiadach zebranych przez brytyjskiego historyka Richarda Overy’ego narzekali zwłaszcza na nieznośny odór odbierający im apetyt na drugie śniadanie[1].

Socjopaci nie mają ani krzty szacunku dla umowy społecznej, lecz doskonale wiedzą, jak ją wykorzystywać do własnych niecnych celów. Jestem pewna, że gdyby diabeł istniał, bardzo pragnąłby, żebyśmy mu współczuli.

Podejmując decyzję o tym, komu zaufać, miejmy na uwadze, że połączenie konsekwentnie

złego lub rażąco nieodpowiedniego zachowania z częstym odwoływaniem się do naszego współczucia stanowi poważny znak ostrzegawczy, niemal tak wyraźny jak piętno na czole człowieka pozbawionego sumienia. Osoba, w której zachowaniu można dostrzec obydwie te cechy, wcale nie musi być masowym mordercą ani nawet mieć skłonności do używania przemocy, lecz najprawdopodobniej nie jest to ktoś, kogo powinniśmy prosić o opiekę nad dziećmi, z kim powinniśmy realizować wspólne interesy, bliżej się przyjaźnić ani tym bardziej wstępować w związek małżeński.

BIEDNY LUKE

W takim razie co z najcenniejszym składnikiem umowy społecznej? Co z miłością? Poniżej przytaczam historię pewnej kobiety, której małomówny dręczyciel zapewne nigdy nie trafi do wieczornego wydania wiadomości.

Moją pacjentkę Sydney trudno określić mianem urodziwej. W wieku czterdziestu pięciu lat miała zaniedbane, siwiejące blond włosy i pulchną, mało atrakcyjną figurę. Dysponowała jednak wspaniałym intelektem i mogła się poszczycić wieloma osiągnięciami naukowymi oraz zawodowymi. Przed ukończeniem trzydziestu lat awansowała na stanowisko profesora nadzwyczajnego epidemiologii jednego z uniwersytetów na Florydzie, skąd zresztą pochodziła. Badała efekty populacyjne związków chemicznych stosowanych w środkach leczniczych ludów pierwotnych, a przed ślubem wiele podróżowała – po Malezji, Ameryce Południowej i Karaibach. Po przeprowadzce z Florydy do Massachusetts została konsultantką firmy etnofarmakologicznej z siedzibą w Cambridge. Najbardziej polubiłam w niej łagodność i skłonność do wnikliwej introspekcji, z jaką analizowała wydarzenia ze swojego życia. Odbyłam z nią piętnaście krótkich sesji terapeutycznych. Doskonale pamiętam miękki, ciepły tembr jej głosu.

Sydney rozwiodła się z mężczyzną imieniem Luke. W rezultacie straciła oszczędności całego życia i popadła w długi, gdyż bardzo zależało jej na uzyskaniu opieki nad synem Jonathanem. Kiedy poznałam Sydney, miał on osiem lat (w chwili orzeczenia rozwodu – tylko pięć). Ojciec Jonathana podjął kosztowną walkę o przyznanie opieki nad chłopcem nie dlatego, że go kochał, lecz z zemsty: Sydney wyrzuciła go ze swojego domu, więc postanowił w ten sposób wyrazić swoją wściekłość.

Sydney miała na Florydzie dom z basenem, w którym zakochał się Luke.

– Kiedy poznałam Luke’a, mieszkał w obskurnej, ciasnej garsonierze – powiedziała mi Sydney. – Powinnam była potraktować to jako sygnał alarmowy: trzydziestopięcioletni mężczyzna po studiach podyplomowych w dziedzinie planowania przestrzennego na Uniwersytecie Nowojorskim gnieździ się w tak okropnej dziurze. Ale zlekceważyłam to. Bardzo podobał mu się duży basen w apartamentowcu, w którym mieszkał, więc kiedy zobaczył, że mam dom z basenem, ucieszył się jak dziecko. Co mogę powiedzieć? Luke poślubił mnie dla pływalni. No, może niezupełnie jest to prawda, ale z perspektywy czasu widzę, że z pewnością miało to duży wpływ na jego decyzję.

Sydney przymykała oczy na styl życia Luke’a oraz na podziw, z jakim wyrażał się o jej domu, bo uznała, że trafiła na prawdziwą rzadkość: niezwykle inteligentnego, atrakcyjnego trzydziestopięcioletniego mężczyznę, nieżonatego i nierozwiedzionego, który wydawał się podzielać jej zainteresowania i dobrze ją traktował.

– Muszę przyznać, że początkowo był dla mnie bardzo dobry. Zabierał mnie w różne miejsca. Zawsze przynosił mi kwiaty. Pamiętam strelicje z pomarańczowymi płatkami w długich pudełkach. Musiałam kupić kilka naprawdę wysokich wazonów. Sama nie wiem. Miał łagodny głos, był taki spokojny i uroczy, poza tym wspaniale się nam rozmawiało. Był naukowcem jak ja, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Kiedy go poznałam, razem ze swoim znajomym z uniwersytetu opracowywał jakiś plan zagospodarowania przestrzennego. Zawsze nosił

garnitur. Właściwie tam go poznałam, na uniwersytecie. Idealnie miejsce, żeby poznać kogoś na poziomie, prawda? Powiedział mi, że jesteśmy bardzo do siebie podobni, a ja mu uwierzyłam.

Mijały tygodnie. Sydney dowiedziała się, że Luke od ukończenia dwudziestego roku życia mieszkał kolejno z różnymi kobietami, zawsze w ich domach, a utrzymywanie własnego mieszkania, nawet niedrogiego, uznawał za dość nietypową sytuację. Na ten fakt również nie zwróciła uwagi, bo się zakochała. Uznała, że Luke odwzajemnia jej uczucia, ponieważ jej to powiedział.

– Wyglądam okropnie. Nikt nigdy mnie nie podrywał. Przeżywałam więc miłe chwile, chyba muszę to przyznać. Szkoda, że trwały tak krótko. Tak czy inaczej… Oto ja, trzydziestopięcioletnia pracownica naukowa, ubierająca się bez gustu, nastawiona na karierę, ni stąd, ni zowąd zaczęłam myśleć o ślubie w białej sukni z trzymetrowym welonem. Nigdy wcześniej nic podobnego nie przychodziło mi do głowy. To znaczy zawsze uważałam takie rzeczy za głupie bajki dla małych dziewczynek, a nie za coś, o czym mogłabym marzyć albo co mogłabym przeżyć. I nagle sama tego zapragnęłam, a nawet zaczęłam *planować*.

– A co do utrzymywania go przez inne kobiety: uwierzy pani, że naprawdę było mi go żal? Myślałam, że szukał tej jedynej, odpowiedniej osoby, albo coś w tym rodzaju, a one po pewnym czasie po prostu go wyrzucały. Teraz rozumiem ich postępowanie, ale wtedy na pewno nie miałam o niczym pojęcia. Myślałam, że jest taki samotny, że to wszystko jest takie smutne. Powiedział, że jedna z tych kobiet zginęła w wypadku samochodowym. Płakał, kiedy mi o tym opowiadał. Wtedy bardzo mu współczułam.

Sześć tygodni po pierwszym spotkaniu Luke przeprowadził się do domu Sydney, a osiem miesięcy później się pobrali. Po uroczystym ślubie kościelnym odbyło się oficjalne przyjęcie, którego koszty pokryła rodzina Sydney.

– Rodzina panny młodej zawsze płaci za takie rzeczy, prawda? – spytała mnie z cierpkim uśmiechem.

Dwa miesiące po ślubie Sydney zaszła w ciążę. Zawsze chciała mieć dzieci, ale nie wierzyła, że kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Teraz jej marzenie o macierzyństwie miało się spełnić i nie posiadała się z radości.

– Miałam wrażenie, że to cud, zwłaszcza wtedy, kiedy dziecko zaczęło się ruszać. Powtarzałam sobie: noszę w sobie kogoś nowego, kto nigdy wcześniej nie istniał, kogo będę kochać do końca życia. To było niesamowite. Luke był oczywiście znacznie mniej podekscytowany niż ja, ale i tak powiedział, że chce mieć dziecko. Wszystko złożył na karb zdenerwowania. Uznał, że zbrzydłam w czasie ciąży, ale pomyślałam, że po prostu mówi o pewnych sprawach bardziej otwarcie niż większość mężczyzn. Co za ironia losu, prawda?

– Tak bardzo cieszyłam się dzieckiem, że nie dopuszczałam do siebie pewnych myśli, chociaż już wiele podejrzewałam, jeżeli to, co mówię, ma w ogóle jakiś sens. Chyba już podczas ciąży zdałam sobie sprawę z tego, co mnie czeka. Nasze małżeństwo nie miało przyszłości. Lekarka powiedziała mi, że największe ryzyko poronienia mija po pierwszych trzech miesiącach, więc oczywiście wzięłam to dosłownie i w czwartym miesiącu poszłam kupić łóżeczko. W tym samym dniu, w którym je przywieźli, Luke wrócił do domu i oznajmił mi, że rzucił pracę. Tak po prostu. Zupełnie jakby wiedział, że teraz ma mnie w garści. Miałam urodzić dziecko, więc na pewno zadbam o wszystko. Będę go utrzymywać, bo nie mam wyboru. Mylił się co do tego, ale teraz wiem, dlaczego tak myślał. Najprawdopodobniej uznał, że zrobię wszystko, byle tylko zachować pozory normalności.

Oczywiście Luke zupełnie co innego mówił Sydney, jej znajomym i rodzinie. Powtarzał wszystkim, że cierpi na depresję uniemożliwiającą mu podjęcie pracy. W towarzystwie milkł, przybierał minę winowajcy i udawał załamanego. Wiele osób mówiło Sydney, że depresja dość często dotyka mężczyzn zostających ojcami po raz pierwszy, co jeszcze bardziej gmatwało sprawę.

– Tak naprawdę nigdy nie zauważyłam u niego prawdziwej depresji – stwierdziła Sydney. – Zaczęłam coś podejrzewać. Sama czasami wpadałam w przygnębienie, ale to po prostu nie było to. Po pierwsze, Luke wprost tryskał energią, gdy naprawdę chciał coś zrobić. Poza tym… Może to wyglądać na drobnostkę, ale ja dostawałam szału: odmawiał wszelkiej pomocy. Powiedziałam, że powinniśmy wydać trochę pieniędzy na terapeutę albo na lekarstwa. Ale Luke jak ognia unikał tego tematu.

Gdy Jonathan przyszedł na świat, Sydney wzięła na uczelni dwumiesięczny urlop macierzyński, co oznaczało, że cała trójka przebywała razem w domu, ponieważ Luke nie pracował. Ale ojciec rzadko zaszczycał spojrzeniem swojego syna. Wolał czytać gazety przy basenie lub wychodzić na miasto z przyjaciółmi. A kiedy Jonathan płakał jak wszystkie noworodki, Luke denerwował się, a nawet wściekał, i żądał, by Sydney go uciszyła.

– Zachowywał się jak męczennik. Myślę, że to najlepsze porównanie. Zatykał uszy, robił udręczone miny. Zniecierpliwiony chodził tam i z powrotem po domu, zupełnie jakby dziecko płakało właśnie po to, by *jemu* utrudnić życie. Chyba chciał, żebym mu współczuła. To było upiorne. Miałam cesarskie cięcie i naprawdę na początku bardzo przydałaby mi się pomoc, ale po jakimś czasie chciałam tylko, żeby Luke zostawił mnie samą z Jonathanem.

Ci sami ludzie, którzy wspominali Sydney o depresji świeżo upieczonych ojców, teraz przekonywali ją, że mężczyźni czasami czują się nieswojo w pobliżu noworodków i przez pewien czas zachowują dystans wobec nich. Ich zdaniem Luke potrzebował współczucia i cierpliwości.

– Ale Luke nie zachowywał „dystansu”, o którym mówili. Zupełnie nie zwracał uwagi na dziecko. Dla niego Jonathan równie dobrze mógł być denerwującym kłębkiem szmat. Mimo to, jak już pani wie, chciałam wierzyć tym ludziom. Chciałam wierzyć, że jakoś, *jakimś sposobem*, gdyby udało mi się okazać mu wystarczająco dużo zrozumienia i cierpliwości, wszystko się ułoży. I wreszcie staniemy się prawdziwą rodziną. Tak bardzo chciałam w to wierzyć.

Po urlopie macierzyńskim Sydney wróciła do pracy, a tymczasem Luke cały czas spędzał nad basenem. Za pośrednictwem agencji Sydney znalazła opiekunkę do dziecka w ciągu dnia, ponieważ widziała już, że jej mąż nie zamierzał się zajmować Jonathanem. Po kilku tygodniach młoda dziewczyna zwierzyła się Sydney, że czuje się dziwnie, opiekując się dzieckiem, którego ojciec przez cały czas jest w domu, ale zupełnie się nim nie interesuje.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego nawet nie spojrzy na syna. Czy z pani mężem na pewno wszystko jest w porządku, proszę pani? – spytała ostrożnie.

Zakłopotana Sydney poczuła się zmuszona skorzystać z wymówki wielokrotnie powtarzanej przez Luke’a:

– Przechodzi teraz trudny okres. Po prostu udawaj, że go tam nie ma, i wszystko będzie w porządku.

Opiekunka zerknęła przez szklane drzwi pokoju w stronę basenu. Widząc zrelaksowanego, opalonego Luke’a, delektującego się popołudniowym florydzkim słońcem, zdumiona pokręciła głową i szepnęła: „Biedny człowiek”.

– Nigdy nie zapomnę jej słów. „Biedny człowiek”. Biedny Luke. Ja też czasem wbrew własnej woli czułam to samo – zwierzyła mi się Sydney.

Ale prawda była taka, że mężczyzna, którego poślubiła Sydney, wcale nie był „biednym Lukiem”. Nie był przygnębionym ojcem pierworodnego ani nie przeżywał trudnego okresu w życiu. Po prostu zaliczał się do grona socjopatów. Luke nie poczuwał się do żadnych obowiązków wobec innych ludzi, a jego zachowanie, choć pozbawione fizycznej agresji, odzwierciedlało ten niebezpieczny fakt. Dla Luke’a reguły rządzące życiem społecznym i oczekiwania interpersonalne istniały tylko po to, by się nimi posłużyć dla własnych korzyści. Powiedział Sydney, że ją kocha, a nawet się z nią ożenił przede wszystkim po to, by zapewnić sobie komfortowe życie jako utrzymanek i korzystać z owoców jej ciężkiej pracy. Wykorzystywał najbliższe sercu i najskrytsze marzenia swojej żony po to, by nią manipulować. Dziecko tolerował tylko dlatego, że wydawało się gwarantem jego nietykalności. Poza tym zupełnie nie zwracał na nie uwagi.

Wkrótce zaczął również ignorować Sydney.

– Zupełnie jakbym miała sublokatora, za którym nie przepadałam, i to nie tylko dlatego, że nie płacił czynszu. Po prostu przewijał się gdzieś w tle. Przez większość czasu żyliśmy obok siebie, a nie ze sobą. Był Jonathan i ja, zawsze razem, a obok nas Luke. Naprawdę nie mam pojęcia, co robił przez większość czasu. Czasami znikał na dzień lub dwa. Nie wiem gdzie, bo przestało mnie to obchodzić. Czasami zapraszał jakiegoś znajomego na drinka. Oczywiście nigdy nie uprzedzał mnie o tym, co czasami wiązało się z pewnymi problemami. Poza tym sporo telefonował. Płaciłam wysokie rachunki. Ale przede wszystkim po prostu siedział przy basenie, a gdy pogoda była zła, w domu oglądał telewizję albo grał w gry komputerowe. Wie pani, w takie, w które zazwyczaj grają trzynastoletni chłopcy.

– Aha, prawie zapomniałam. Przez kilka miesięcy zbierał litografie. Nie wiem, co go do tego skłoniło, ale przez jakiś czas rzeczywiście sprawiał wrażenie bardzo podekscytowanego. Kiedy kupował nową, a nie były tanie, pokazywał mi ją jak dziecko, zupełnie jakby nic złego nigdy między nami nie zaszło, jakby bardzo pragnął, żebym zobaczyła nowy nabytek do jego kolekcji dzieł sztuki. Razem miał ich chyba ze trzydzieści. Nigdy ich nie oprawił, a potem pewnego dnia po prostu rzucił wszystko. Przestał się interesować litografiami. Tak po prostu.

U socjopatów niekiedy spotyka się krótkie, intensywne napady entuzjazmu – hobby, projekty, kontakty z różnymi osobami – które nie pociągają za sobą żadnych zobowiązań ani dalszego ciągu. Zainteresowania te przychodzą nagle, bez powodu, i z reguły kończą się równie niespodziewanie.

– Miałam męża i dziecko – mówiła dalej Sydney. – Powinny to być jedne z najszczęśliwszych chwil mojego życia, a zaliczam je do najgorszych. Skonana wracałam do domu z pracy, a opiekunka mówiła mi, że Luke przez cały dzień ani raz nie spojrzał na Jonathana. Po jakimś czasie mój własny mąż zaczął wzbudzać we mnie obrzydzenie do takiego stopnia, że nie mogłam już nawet spać z nim w jednym łóżku. Wstydzę się o tym mówić, ale na cały rok przeniosłam się do pokoju gościnnego.

Sydney miała duże opory przed opowiedzeniem mi swojej historii, gdyż czuła się bardzo skrępowana tym, co stało się z jej życiem. Tak to ujęła:

– Nie może pani sobie wyobrazić, jakie to upokarzające przyznać, nawet przed samą sobą, że się poślubiło kogoś takiego. Przecież kiedy się pobieraliśmy, nie byłam już dzieckiem. Miałam trzydzieści pięć lat, nie wspominając o tym, że kilka razy zdążyłam objechać świat. Powinnam

była się zorientować. Ale ja po prostu nie dostrzegałam pewnych rzeczy. Nie zauważyłam nic, ale muszę oddać sobie sprawiedliwość: nie sądzę, żeby ludzie, którzy nas wtedy znali, widzieli, co się święci. Dziś wszyscy powtarzają mi: „Nie mieliśmy pojęcia, że wszystko tak się skończy". Każdy ma inną teorię na temat tego, co jest nie tak z Lukiem. Gdyby to nie było tak krępujące, byłoby po prostu zabawne. Jedni utrzymują, że ma schizofrenię, inni że raczej zaburzenia koncentracji. Wyobraża pani sobie?

Nic dziwnego, że nikt się niczego nie domyślił. Luke po prostu nie miał sumienia i właśnie dlatego nie poczuwał się do żadnych zobowiązań wobec żony i dziecka. Postępowanie mężczyzny nie pasowało do niczyjego obrazu socjopaty, nawet niestosującego przemocy, ponieważ mimo wysokiego ilorazu inteligencji zasadniczo pozostawał bierny. Dosłownie i w przenośni nie podrzynał nikomu gardła, próbując osiągnąć władzę lub bogactwo. Nie był bezwzględnym menedżerem podążającym po trupach do celu, a już z pewnością nie można go porównać do wygadanego, energicznego Skipa. Gdyby miał więcej witalności, zapewne zostałby zwykłym oszustem, a gdyby nie brakowało mu odwagi, napadałby na banki (lub na urzędy pocztowe). Nie można nazwać go człowiekiem czynu. Wręcz przeciwnie, Luke spełniał się w bezczynności. Miał ambicję nie robić nic, unikać pracy i znaleźć kogoś, kto zapewniłby mu komfortowe życie. Wysilał się tylko na tyle, by osiągnąć ten mało ambitny cel.

W takim razie co sprawiło, że Sydney wreszcie dostrzegła u swojego męża zupełny brak skrupułów? Domagał się współczucia.

– Nawet po naprawdę koszmarnym rozwodzie przychodził do nas prawie codziennie. Znalazł sobie kolejną obskurną norę, w której sypiał, ale w ciągu dnia pętał się po moim domu. Nie powinnam była mu na to pozwolić, teraz to wiem, ale zrobiło mi się go żal. Poza tym zaczął wreszcie dostrzegać Jonathana. Kiedy chłopiec wracał z przedszkola do domu, Luke czasem wychodził po niego do autobusu, odprowadzał go do domu, uczył pływać i takie tam. Wtedy już nic do niego nie czułam. Tak naprawdę nie miałam ochoty go więcej oglądać, ale z nikim się nie spotykałam (jak mogłabym po tym wszystkim zaufać jakiemuś mężczyźnie, prawda?), więc uznałam, że byłoby dobrze, gdyby Jonathan lepiej poznał swojego ojca, skoro ten chce poświęcić mu trochę uwagi. Zgodziłam się na tę uciążliwość z nadzieją, że mój syn będzie miał ojca przynajmniej na pół gwizdka.

Ale, jak się okazało, właśnie tu popełniłam błąd. Dopiero moja siostra otworzyła mi oczy. Powiedziała: „Luke nie czuje nic do Jonathana, ale do twojego domu – jak najbardziej". Oczywiście jak zwykle miała rację. A potem nie mogłam się go pozbyć. Wszystko zrobiło się naprawdę strasznie skomplikowane i… przerażające. Przeżyłam koszmar.

Zadrżała, potem odetchnęła głęboko i mówiła dalej:

– Kiedy Jonathan był w pierwszej klasie, zorientowałam się, że muszę się pozbyć Luke'a z naszego życia raz na zawsze. Po prostu nie miałam spokoju, nie miałam… chciałam powiedzieć, ani odrobiny radości. Gdy komuś zupełnie na tobie nie zależy, sama jego obecność tak naprawdę odbiera ci spokój i radość życia. Nieustannie się pałętał. Przychodził do mojego domu i rozsiadał się przy basenie, zadowolony, zupełnie jakby nadal mieszkał z nami, a mnie ogarniało wtedy przygnębienie. Robiłam się bardzo spięta. Siedziałam w domu z zaciągniętymi zasłonami, żeby tylko nie oglądać Luke'a. Czyste szaleństwo. Wtedy zdałam sobie sprawę… Jonathan coraz częściej bywał przygnębiony. Tak naprawdę nie chciał, żeby Luke kręcił się w pobliżu.

Kazałam więc mojemu byłemu mężowi się wynosić. Gdyby to mnie wypraszano z cudzego

domu, nie wahałabym się ani chwili, prawda? Choćby z poczucia przyzwoitości. Ale nie Luke. Zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał, co samo w sobie przyprawiało mnie o gęsią skórkę, albo wychodził na chwilę, a potem wracał, zupełnie jakby nigdy nic. Kiedy byłam naprawdę wściekła, zamiast po prostu kazać mu wyjść, krzyczałam na niego, żeby się wynosił albo zadzwonię na policję. Wie pani, co wtedy zrobił?

– Posłużył się dzieckiem – powiedziałam.

– Właśnie. Skąd pani wiedziała? Posłużył się Jonathanem. Na przykład siedzieliśmy we trójkę przy basenie i nagle Luke zaczął płakać. Płynęły mu z oczu prawdziwe łzy. Pamiętam, że potem wziął siatkę do wyławiania nieczystości z basenu, zupełnie jakby był męczennikiem, który tylko chciał pomóc. Po chwili Jon też się rozpłakał i powiedział coś, czego nie zapomnę do końca życia. Mój synek powiedział: „Och, nie. Biedny tatuś. Czy musimy go stąd wyrzucać?".

– A potem Luke odwrócił się, spojrzał mi prosto w oczy i odniosłam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy w życiu. Wyglądał zupełnie inaczej niż przedtem. Nigdy nie widziałam bardziej przerażających oczu. Przypominały lodowe promienie. Naprawdę trudno mi to opisać. W jednej chwili zorientowałam się, że dla Luke'a to wszystko było grą, kolejną próbą podporządkowania sobie innych. Przegrałam ją z kretesem. Byłam wstrząśnięta.

Niecały rok po wydarzeniach przy basenie Sydney zrezygnowała z pracy na uniwersytecie, wyjechała z Florydy i wraz z Jonathanem przeniosła się w okolice Bostonu. Zamieszkała bliżej swojej siostry i ponad dwa tysiące kilometrów od Luke'a. Kilka miesięcy później rozpoczęła krótką terapię ze mną. Musiała przepracować niektóre problemy pozostałe po nieudanym małżeństwie, co dotyczyło zwłaszcza dręczącego ją poczucia winy spowodowanego decyzją o poślubieniu mężczyzny takiego jak Luke. Jest osobą niezwykle odporną psychicznie, dlatego mam wszelkie powody, by przypuszczać, że teraz wiedzie szczęśliwsze życie. Czasami żartowała, że znane psychologom „lekarstwo geograficzne" zapewne pomoże jej rozwiązać problemy z Lukiem, dłuższa podróż ku przebaczeniu samej sobie zapowiadała się jednak na bardziej skomplikowaną.

Sydney do pewnego stopnia udało się zrozumieć sposób myślenia ludzi pozbawionych sumienia, takich jak jej były mąż, co pomogło jej uporać się z upiorami przeszłości. Niepokoił ją jednak wpływ traumatycznych wydarzeń na psychikę ośmioletniego syna. Podczas naszego ostatniego spotkania powiedziała mi, że Jonathan ze łzami w oczach wciąż wspomina Florydę i powtarza, jak bardzo żal mu tatusia.

---

[1] R. Overy, *Interrogations. The Nazi Elite in Allied Hands, 1945*, New York 2001, s. 373.

7

ETIOLOGIA BRAKU POCZUCIA WINY: CO POWODUJE SOCJOPATIĘ

Od czasów młodości zastanawiałam się, dlaczego tak wielu ludzi czerpie przyjemność z poniżania innych. Wrażliwość niektórych na cierpienie innych najwyraźniej dowodzi, że destrukcyjna żądza zadawania bólu nie jest powszechnie spotykaną cechą natury człowieka.
ALICE MILLER

Pod wieloma względami Luke, Doreen i Skip bardzo różnią się od siebie. Luke woli bezczynność. Próżnuje, pozwalając dbać o całą resztę bardziej odpowiedzialnym „kolegom" i członkom rodziny. Doreen jest zazdrosna i nieustannie narzeka na wszystko. Zużywa wiele energii na poniżanie innych ludzi, dzięki czemu poprawia sobie samoocenę. Skip chciałby dla rozrywki rządzić całym światem, oczywiście we własnym interesie. Lecz mimo tak odmiennych motywów postępowania trzy wyżej wspomniane istoty ludzkie mają pewną wspólną cechę: dla zrealizowania indywidualnych ambicji są w stanie zrobić *dosłownie wszystko* bez najmniejszego poczucia winy. Każda z tych osób pragnie czegoś innego, ale wszystkie uzyskują to, czego chcą, dokładnie w taki sam sposób, czyli zupełnie bezwstydnie. Skip łamie prawo, rujnuje ludziom karierę i życie, ani przez chwilę nie odczuwając wyrzutów sumienia. Doreen bez najmniejszego zakłopotania czy poczucia odpowiedzialności zmienia całe swoje życie w jedną wielką mistyfikację i dręczy bezbronnych, bo ekscytuje ją poniżanie kolegów. Niezdolny do odczuwania miłości Luke żeni się z przyzwoitą kobietą, która pragnie założyć rodzinę, tylko po to, by mieć utrzymanie, darmowe mieszkanie i basen do własnej dyspozycji, a następnie pozbawia własnego syna części radości z dzieciństwa, jednocześnie próbując zachować typową dla dziecka zależność od innej osoby. Podejmuje te decyzje bez zastanowienia, nie mówiąc o jakimkolwiek poczuciu winy.

Wszystkie wyżej wspomniane osoby są pozbawione siódmego zmysłu – poczucia obowiązku opartego na więziach emocjonalnych. Ta wcale nie taka rzadka cecha odróżnia ich zasadniczo od wszystkich ludzi mających sumienie. Cała trójka należy do zupełnie odmiennej grupy, kategorii ludzi, której wyróżnik – brak sumienia – nakłada się na pozostałe cechy osobowości, a nawet płci, determinując postrzeganie otoczenia i kształtowanie własnego życia. Doreen bardziej przypomina Luke'a i Skipa niż jakąkolwiek inną obdarzoną sumieniem kobietę na świecie, a leniwy Luke i zdeterminowany Skip bardziej przypominają siebie nawzajem niż jakiegokolwiek mężczyznę lub kobietę mających sumienie, bez względu na ich usposobienie.

Co tworzy tę głęboką, a zarazem dziwnie niewidzialną linię podziału wśród istot ludzkich?

Dlaczego niektórzy spośród nas nie mają sumienia? Co powoduje socjopatię?

Podobnie jak w przypadku kształtowania się wielu – zarówno fizycznych, jak i psychicznych – cech człowieka, należałoby się odwołać do względnej roli odgrywanej z jednej strony przez naturę, a z drugiej przez wychowanie. Czy daną cechę dziedziczymy wraz z genami, czy też wykształca się ona w odpowiedzi na czynniki związane ze środowiskiem? Tak jak w większości złożonych cech psychologicznych odpowiedź najprawdopodobniej brzmi: wpływa na nią i jedno, i drugie. Innymi słowy, skłonność do wystąpienia pewnej cechy charakteru pojawia się w chwili zapłodnienia, lecz to środowisko decyduje o sposobie jej ekspresji. Opisywana prawidłowość odnosi się zarówno do cech uważanych za negatywne, jak i do tych, które uważamy za pozytywne. Na przykład poziom inteligencji wykazuje bardzo silną zależność od czynników genetycznych, lecz częściowo kształtuje go również rozbudowany zestaw narzędzi – czynników środowiskowych, takich jak opieka prenatalna, wczesna stymulacja, odżywianie, a nawet kolejność urodzenia. Dewiacja socjopatyczna, cecha uznawana za zdecydowanie negatywną, prawdopodobnie nie stanowi wyjątku od opisywanego paradygmatu. Wyniki badań wskazują, że w jej powstawaniu mają udział zarówno natura, jak i wychowanie.

Psychologowie wiedzą od dawna, że wiele aspektów osobowości, takich jak ekstrawersja i neurotyzm, pozostaje do pewnego stopnia pod wpływem czynników genetycznych. Sporo przemawiających za tym dowodów naukowych dają badania porównawcze bliźniąt jednojajowych (identycznych) i dwujajowych (nieidentycznych). Prace te opierają się na następującej zasadniczej przesłance: obydwie grupy bliźniąt rozwijają się w takich samych środowiskach, lecz komórki bliźniąt jednojajowych zawierają taki sam materiał genetyczny, podczas gdy bliźnięta dwujajowe dzielą ze sobą mniej więcej połowę genów. Naukowcy przyjęli więc założenie, że jeżeli u genetycznie identycznych bliźniąt obserwuje się znacznie większe podobieństwo (lub korelację) pod względem pewnej cechy niż u bliźniąt genetycznie nieidentycznych, to znajduje się ona przynajmniej pod pewnym wpływem genów[1].

Badacze wyrażają tę zmienność w postaci przedziału liczbowego. Powstaje on z podwojenia różnicy między stopniem podobieństwa zaobserwowanym odpowiednio u bliźniąt dwujajowych i jednojajowych. Nosi on nazwę „dziedziczności”, czyli odzwierciedla postulowany wpływ genów na określoną cechę. Badania z udziałem bliźniąt wykazały, że cechy osobowości określane za pomocą kwestionariuszy (takie jak ekstrawersja, neurotyzm, autorytaryzm, empatia) charakteryzują się dziedzicznością w przedziale 35–50 procent. Innymi słowy, większość mierzalnych aspektów naszej osobowości jest wrodzona w 35–50 procentach.

Badania nad dziedzicznością są źródłem ważnych informacji na temat socjopatii. W wielu z nich korzysta się ze skali klinicznej psychopatii (Pd), jednego z najpopularniejszych psychologicznych testów osobowości zwanego Minnesockim Wielowymiarowym Inwentarzem Osobowości (Minnesota Multiphasic Personality, MMPI). Skala kliniczna Pd składa się z pytań wielokrotnego wyboru sformułowanych za pomocą narzędzi statystycznych w celu wyłapania osób z socjopatycznymi cechami osobowości. W MMPI wbudowano szereg zabezpieczeń i rozwiązań walidacyjnych, w tym „skalę kłamstwa” ujawniającą próby przechytrzenia testu przez badanych. Ogólnie rzecz biorąc, zaobserwowano przynajmniej dwukrotnie wyższe prawdopodobieństwo uzyskania zbliżonych wyników w skali Pd przez bliźnięta jednojajowe niż przez bliźnięta dwujajowe, co silnie sugeruje przynajmniej pewien komponent genetyczny psychopatycznego wzorca osobowości[2].

W 1995 roku opublikowano wyniki zakrojonych na szeroką skalę badań podłużnych

(dynamicznych) obecności/nieobecności cech socjopatycznych u 3226 par bliźniąt płci męskiej, wytypowanych dzięki rejestrowi osób służących w siłach zbrojnych USA podczas wojny w Wietnamie[3]. Za pomocą tego samego modelu matematycznego wykryto znaczny wpływ dziedziczności na kształtowanie się ośmiu cech tego rodzaju. Teoretycznie w kolejności malejącego wpływu komponentu dziedziczenia są to: nieprzestrzeganie norm społecznych, skłonność do agresji, lekkomyślność, impulsywność, nieprzestrzeganie zobowiązań finansowych, nierówna jakość pracy, niemonogamiczność oraz brak wyrzutów sumienia. Jeszcze inne badania wykazały, że socjopaci charakteryzują się niską ugodowością, niską sumiennością i niską skłonnością do unikania ryzyka. Wszystkie te cechy osobowości mają podłoże genetyczne[4].

Funkcjonujący od ponad trzydziestu lat program Texas Adoption Project jest cenionym badaniem podłużnym ponad pięciuset adoptowanych dzieci. Analizuje się w nim proces nabywania inteligencji i różnych cech osobowości, w tym cech psychopatycznych, poprzez porównywanie dorosłych adoptowanych dzieci zarówno z ich rodzicami biologicznymi, jak i z przybranymi[5]. Ze zgromadzonych danych wiemy, że pod względem wyników w skali Pd dzieci bardziej przypominają swoje matki, których nigdy nie poznały, niż wychowujących je rodziców adopcyjnych. Na tej podstawie oszacowano dziedziczność cech Pd na poziomie 54 procent[6]. Co ciekawe, wskaźnik dziedziczności Pd odpowiada wyżej wspomnianym szacunkom dziedziczności (35–50 procent) zwykle obserwowanym w badaniach innych, bardziej neutralnych cech osobowości (ekstrawersja, empatia itd.).

Raz za razem w badaniach nad dziedzicznością pojawiają się statystyczne korelacje o obarczonych dużym ładunkiem emocjonalnym implikacjach społecznych i politycznych – istotnie, skłonność danej osoby do posiadania pewnych cech socjopatycznych częściowo, być może nawet w 50 procentach, zależy od genów. By uświadomić sobie lepiej prowokacyjny charakter wyników opisywanych badań, wyraźmy je nieco inaczej: oznaczają one na przykład, że jeszcze przed narodzinami, w chwili poczęcia, ludzie tacy jak Doreen, Luke i Skip mieli pewne predyspozycje do tego, by oszukiwać, postępować lekkomyślnie, nie dotrzymywać słowa i działać bez skrupułów. Gdy wygłaszamy stwierdzenia dotyczące dziedziczności predyspozycji do uprawiania sportu lub introwersji, a nawet zaburzeń dwubiegunowych lub schizofrenii, nie wydają się one aż tak szokujące. Lecz wypowiedź na temat skłonności antyspołecznych wydaje się szczególnie złowróżbna, chociaż odwołuje się do tych samych metod statystycznych.

Trzeba zauważyć, że wyżej wspomnianych, niezwykle złożonych cech charakteru raczej nie determinują pojedyncze geny, lecz wiele genów ze sobą współdziałających. Obecnie niewiele jednak wiadomo o tym, jak te geny kształtują wyższe czynności mózgu, a następnie zachowanie. Przejście od DNA człowieka do wieloaspektowych pojęć behawioralnych, takich jak „nie dotrzymuje zobowiązań finansowych”, wiąże się dziś z koniecznością odbycia długiej podróży zawiłymi szlakami biochemicznymi, neurologicznymi i psychologicznymi, a więc pozostaje bardzo trudne do zbadania.

Badania podsunęły nam już jednak kilka sugestywnych wskazówek. Jedno z ważnych ogniw w neurobiologiczno-behawioralnym odcinku tego łańcucha obejmuje zmiany funkcjonowania kory mózgowej u socjopaty. Jedne z najciekawszych informacji na temat czynności korowych u socjopatów docierają do nas dzięki badaniom przetwarzania języka[7]. Okazuje się, że nawet na poziomie aktywności elektrycznej mózgu normalni ludzie reagują na słowa wyrażające emocje (np. miłość, nienawiść, przytulny, ból, szczęśliwy, matka) szybciej i bardziej intensywnie niż na

słowa względnie neutralne (stół, krzesło, piętnaście, później itp.). Jeżeli mam za zadanie wybierać między słowami i niesłowami, odróżnię *przerażenie* od *przewrażenia* znacznie szybciej, nawet w ciągu mikrosekund, niż *okno* od *omkno*, co więcej, moją wzmożoną reakcję na emocjonalnie nacechowane słowo *przerażenie* można zmierzyć, rejestrując przepływ prądu elektrycznego zwany „potencjałem wywołanym" w mojej korze mózgowej. Wyniki tego rodzaju badań wskazują, że mózgi zdrowych ludzi sprawniej wychwytują, zapamiętują i rozpoznają słowa odnoszące się do przeżyć emocjonalnych niż słowa neutralne. *Miłość* zostanie szybciej rozpoznana jako słowo niż *nicość* i będzie temu towarzyszył wyższy potencjał wywołany w mózgu, zupełnie jakby pierwsze słowo niosło bardziej pierwotną i znaczącą informację niż drugie.

Mózgi socjopatów, którym dano do rozwiązania zadania polegające na przetwarzaniu bodźców językowych, funkcjonują inaczej. Pod względem czasu reakcji i potencjałów wywołanych w korze mózgowej osoby o skłonnościach socjopatycznych reagowały na słowa nacechowane emocjonalnie tak samo jak na słowa neutralne. U socjopatów potencjały wywołane przez słowa *płacz* i *całować* są takie same jak w przypadku słów *pracz* i *kodować*, zupełnie jakby określenia nacechowane emocjonalnie nie były bardziej znaczące ani kodowane głębiej niż jakiekolwiek inne.

W badaniach z wykorzystaniem tomografii emisyjnej pojedynczego fotonu (metoda obrazowania mózgu) zaobserwowano zwiększenie dopływu krwi do płatów skroniowych badanych socjopatów w porównaniu z innymi badanymi podczas rozwiązywania zadania wymagającego podjęcia decyzji z użyciem słów wyrażających emocje[8]. U normalnych ludzi tego rodzaju zwiększone ukrwienie pewnych obszarów mózgu odzwierciedla wzrost koncentracji podczas analizowania umiarkowanie trudnego problemu intelektualnego. Innymi słowy, mózgi socjopatów mających rozwiązać zadanie wymagające interpretacji słów nacechowanych emocjonalnie – wykonywane niemal natychmiast przez struktury układu nerwowego u normalnych ludzi – reagują mniej więcej tak, jakby musiały się uporać z zadaniem z algebry.

Rozpatrywane łącznie wyniki wyżej wspomnianych badań sugerują związki socjopatii ze zmianami sposobu przetwarzania bodźców emocjonalnych na poziomie kory mózgowej. Przyczyny tych zmian nie zostały jeszcze poznane, lecz prawdopodobnie stanowią następstwo dziedzicznej różnicy w przebiegu rozwoju układu nerwowego, którą wychowywanie dziecka oraz czynniki kulturowe mogą nieznacznie skompensować lub znacznie nasilić. Ta różnica na poziomie ośrodkowego układu nerwowego przynajmniej częściowo odpowiada za wciąż niezbadaną różnicę psychologiczną między socjopatami a wszystkimi innymi ludźmi, a jej następstw trudno nie uznać za zaskakujące. Socjopatia to coś więcej niż tylko brak sumienia, chociaż już to samo w sobie byłoby wystarczająco tragiczne. Socjopatia to niezdolność do przetwarzania doznań emocjonalnych, w tym miłości i opiekuńczości, jeżeli nie można ich wyrazić w postaci zadań wymagających chłodnej kalkulacji intelektualnej.

Sumienie to nie tylko obecność winy i wyrzutów sumienia, lecz także zakorzeniona w naszych uczuciach zdolność do odczuwania emocji i przywiązania, dlatego przez analogię socjopatii nie można sprowadzić wyłącznie do braku poczucia winy i wyrzutów sumienia. Stanowi ona bowiem upośledzenie zdolności do doznawania i doceniania prawdziwych (niekalkulowanych) przeżyć emocjonalnych, a więc także wchodzenia w realne (niekalkulowane) związki z innymi ludźmi. Poniższe stwierdzenie może u niektórych

czytelników wywołać pewien dyskomfort: sumienie nie istnieje bez zdolności do kochania, więc brak zmysłu moralnego sygnalizuje bardzo poważny defekt osobowości – w ostatecznym rozrachunku socjopatia sprowadza się do wyzucia z miłości.

Mianem socjopaty określamy osobę „nieprzestrzegającą norm społecznych", „niemonogamiczną" oraz „niedotrzymującą zobowiązań finansowych" z jednego prostego powodu – wszelkiego rodzaju zobowiązania to coś, co odczuwamy wobec istot lub wobec grupy istot, na których zależy nam z emocjonalnego punktu widzenia. A socjopacie po prostu nie zależy na nikim.

W swojej istocie socjopatia kojarzy się z lodowatym chłodem, zupełnie jak beznamiętna gra w szachy. Pod tym względem różni się ona od często nacechowanego emocjami dwulicowości narcyzmu, a nawet od przemocy. W razie konieczności większość z nas skłamałaby po to, by uratować życie członka naszej rodziny. Za banał należałoby uznać stwierdzenie, że brutalny gangster (zapewne w odróżnieniu od swojego przywódcy socjopaty) odczuwa lojalność i żywi ciepłe uczucia do pozostałych członków gangu, a także pewien rodzaj czułości wobec swojej matki oraz rodzeństwa. Ale Skipowi nawet jako dziecku nie zależało na nikim, doktor Littlefield nie obchodzili jej pacjenci, a Luke nie potrafił obdarzyć uczuciem żony ani własnego dziecka. Dla takich umysłów inni ludzie, nawet „przyjaciele" i członkowie rodziny, stanowią w najlepszym razie figury na planszy do gry, którymi można się posłużyć w razie potrzeby. Socjopata nie kocha, co więcej, nie rozumie miłości, gdy okazuje ją ktoś inny.

Socjopaci wydają się zdolni wyłącznie do „prymitywnych" reakcji afektywnych wynikających z bezpośrednio odczuwanego bólu fizycznego, przyjemności lub krótkotrwałych następstw frustracji i sukcesów. Frustracja może wzbudzić w socjopacie gniew lub wściekłość, natomiast sukces drapieżcy, zwycięstwo w zabawie w kotka i myszkę (np. u Doreen, która wysyła Jennę na bezsensowną wyprawę po grząskim szpitalnym trawniku) zazwyczaj wywołują agresywny afekt i podniecenie, dają „kopa" przybierającego niekiedy postać złośliwej satysfakcji. Tego rodzaju reakcje emocjonalne rzadko bywają trwałe. Określa się je mianem neurologicznie „prymitywnych", ponieważ podobnie jak wszystkie emocje wywodzą się z bardziej pierwotnego ewolucyjnie układu limbicznego w mózgu, lecz w przeciwieństwie do emocji „wyższego rzędu" w bardzo niewielkim stopniu modyfikują je funkcje kory mózgowej.

Za szczególnie interesujący i pouczający kontrapunkt dla socjopatii uznaje się narcyzm. W przenośni można go nazwać niepełną socjopatią. Nawet osoby z narcyzmem rozpoznanym klinicznie potrafią odczuwać większość emocji z taką samą siłą jak inni: od poczucia winy i smutku do desperackiej miłości i namiętności. Brakuje im drugiej połowy – kluczowej umiejętności zrozumienia tego, co czują inni. Narcyzm to niewydolność nie sumienia, lecz empatii, czyli zdolności do postrzegania uczuć u innych i reagowania na nie w odpowiedni sposób. Pod względem emocjonalnym biedny narcyz nie widzi niczego poza czubkiem własnego nosa i zachowuje się tak jak Doughboy[9], który bez względu na bodźce z zewnątrz jakby nigdy nic zawsze powraca do poprzedniego kształtu. W przeciwieństwie do socjopatów narcyzowie często przeżywają rozterki psychiczne, niekiedy nawet decydują się na psychoterapię. Poszukujący pomocy narcyz zazwyczaj jednak odstręcza od siebie innych brakiem empatii, co sprawia, że czuje się zdezorientowany, opuszczony i samotny. Tęskni za ludźmi, których kocha, lecz nie potrafi nawiązać z nimi kontaktu. W przeciwieństwie do narcyzów socjopaci nie dbają o innych ludzi, a więc gdy zrażą ich do siebie, nie odczuwają ich braku, a jeżeli nawet go czują, to doznawany przez nich dyskomfort można raczej porównać do żalu, jaki ogarnia nas, gdy

zapodzieje się nam jakiś potrzebny przedmiot.

Z sobie tylko znanych przyczyn socjopaci niekiedy wchodzą w związki małżeńskie, lecz nigdy nie czynią tego z miłości. Tak naprawdę nie potrafią pokochać nikogo: małżonka, dzieci, a nawet zwierząt domowych. Lekarze i naukowcy zauważyli, że jeżeli chodzi o uczucia wyższego rzędu, socjopaci co prawda „znają słowa, lecz nie znają muzyki”. Muszą się nauczyć wyrażać i reagować na emocje tak samo jak ty i ja uczymy się obcego języka, to znaczy przez obserwację, naśladownictwo i ćwiczenia. I tak samo jak ty i ja dzięki ćwiczeniom nabieramy biegłości w nieznanym nam wcześniej języku, inteligentny socjopata może się stać przekonująco wprawnym użytkownikiem „języka emocji”. Wydaje się to niezbyt trudnym wyzwaniem intelektualnym, o wiele łatwiejszym niż opanowanie języka francuskiego lub chińskiego. Każda osoba nawet powierzchownie obserwująca zachowanie innych lub czytająca powieści i oglądająca stare filmy może sprawiać wrażenie uczuciowej, zainteresowanej innym człowiekiem, a nawet serdecznej. Praktycznie każdy może się nauczyć wypowiadać słowa „kocham cię” lub, udając zachwyt, westchnąć: „Ojej! Jaki słodki szczeniaczek!”. Ale nie wszystkie istoty ludzkie są zdolne do przeżywania emocji, na jakie wskazuje ich zachowanie. Socjopaci na pewno tego nie potrafią.

WYCHOWANIE

Mimo wszystko, jak wiemy z badań wielu innych cech człowieka, predyspozycje genetyczne i różnice neurobiologiczne nie determinują naszego przeznaczenia. Rodzimy się wyposażeni w pewien komplet genów – blok marmuru, po czym świat bierze dłuto i niezmordowanie rzeźbi w materiale danym przez naturę. Wyniki badań nad dziedzicznością podpowiadają nam, że w socjopatii biologia to dopiero połowa historii. Oprócz profilu genetycznego istnieją zmienne środowiskowe warunkujące jej rozwój, chociaż jak się wkrótce przekonamy, nie bardzo wiadomo, co powinniśmy do nich zaliczyć.

Analizę czynników społecznych mogących warunkować rozwój socjopatii rozpoczniemy od złego traktowania dziecka na początku jego rozwoju. Intuicja od razu podpowiada nam, że niektóre osoby mające genetyczne i neurologiczne predyspozycje w tym kierunku zostają socjopatami, a inne nie, gdyż te pierwsze maltretowano w dzieciństwie, co niekorzystnie wpłynęło na stan ich psychiki, a zapewne również doprowadziło do upośledzenia ich układu nerwowego. Wiemy już, że maltretowanie dzieci prowadzi do wielu negatywnych następstw rozwojowych, do których zaliczają się klasyczna (tzn. niezwiązana z socjopatią) skłonność do przemocy i przestępczość nieletnich, a u dorosłych depresja, próby samobójcze, stany dysocjacyjne i różne zaburzenia świadomości, anoreksja, przewlekłe stany lękowe oraz nadużywanie środków odurzających. Wyniki badań psychologicznych i socjologicznych ponad wszelką wątpliwość wskazują, że maltretowanie dzieci wywiera silnie toksyczny wpływ na ich psychikę.

W tym miejscu pojawia się pierwszy problem. Co prawda potwierdzono korelację maltretowania w dzieciństwie z niesocjopatyczną przestępczością nieletnich i ze zwykłymi agresywnymi zachowaniami, nie zgromadzono jednak przekonujących dowodów wskazujących na związki maltretowania z kluczową cechą charakterystyczną socjopatii, to znaczy z brakiem sumienia. Ponadto socjopaci jako grupa nie cierpią na inne tragiczne następstwa złego traktowania w dzieciństwie, takie jak depresja i stany lękowe. Znaczna liczba dowodów pochodzących z badań naukowych świadczy o tym, że ofiary maltretowania bez względu na to, czy później łamią prawo, czy nie, systematycznie borykają się z takimi problemami.

Wręcz przeciwnie, istnieją pewne dowody sugerujące, że wydarzenia z wczesnego dzieciństwa *w mniejszym stopniu* wpływają na socjopatów niż na niesocjopatów[10]. W latach sześćdziesiątych XX wieku kanadyjski naukowiec Robert Hare prowadził badania osób odbywających karę więzienia w Kolumbii Brytyjskiej i na ich podstawie opracował wykorzystywaną do dziś listę psychopatycznych cech osobowości. Naukowiec wykazał, że jakość życia rodzinnego w dzieciństwie nie miała absolutnie żadnego wpływu na czas wystąpienia pierwszych zachowań przestępczych u psychopatów. Bez względu na stabilność życia rodzinnego osoby zdiagnozowane jako psychopaci po raz pierwszy stawały przed sądem w wieku przeciętnie czternastu lat. Natomiast u więźniów niebędących psychopatami (tzn. tych, u których zasadnicze struktury osobowości były bardziej prawidłowe) czas wystąpienia pierwszych zachowań przestępczych miał silny związek z jakością życia rodzinnego. Osoby o bardziej stabilnej przeszłości po raz pierwszy miały do czynienia z wymiarem sprawiedliwości przeciętnie w wieku dwudziestu czterech lat, natomiast te wychowujące się w środowiskach

określanych jako patologiczne – w wieku około piętnastu lat. Innymi słowy, jak można oczekiwać, trudne warunki bytowe sprzyjają wcześniejszemu wystąpieniu zachowań przestępczych, lecz przestępczość związana z typowo socjopatycznym brakiem skrupułów rozkwita raczej spontanicznie, według własnego harmonogramu.

W poszukiwaniu innych wpływów środowiskowych na rozwój socjopatii wielu badaczy sięgnęło po pojęcie *zespołu zaburzenia więzi* zamiast maltretowania w dzieciństwie jako takiego. Zgodnie z koncepcją tworzenia więzi niemowlę instynktownie poszukuje bliskości rodzica lub innego dostępnego opiekuna, pragnąc stworzyć pierwszą w życiu relację interpersonalną. Ta pierwsza relacja wywiera istotny wpływ nie tylko na fizyczne przetrwanie noworodka, lecz także pozwala jego niedojrzałemu układowi limbicznemu „wykorzystać" dojrzałe funkcje mózgu osoby dorosłej do samoorganizacji. Empatia rodzica sprzyja rozwojowi u dziecka pozytywnych emocji, takich jak zadowolenie i radość, co umożliwia młodemu układowi nerwowemu opanowanie potencjalnie przytłaczających negatywnych emocji, takich jak frustracja i lęk. Sprzyja to rozwojowi poczucia porządku i bezpieczeństwa, które zostaną ostatecznie zakodowane w pamięci dziecka, zapewniając mu przenośną wersję tego, co John Bowlby nazwał w swojej książce *Przywiązanie i utrata* „bezpieczną przystanią" w świecie[11].

Psychologowie powtarzają, że odpowiednie ukształtowanie pierwszych więzi w dzieciństwie korzystnie wpływa na człowieka, w tym na rozwój zdrowej samoregulacji emocjonalnej, pamięci autobiograficznej oraz zdolności do refleksji nad własnymi przeżyciami i działaniami[12]. Lecz co chyba najważniejsze, przywiązanie w dzieciństwie pozwala dziecku tworzyć serdeczne więzi z innymi ludźmi w późniejszych etapach życia. Najwcześniejsze więzi powstają przed ukończeniem przez dziecko siedmiu miesięcy życia. Większości niemowląt udaje się przywiązać do pierwszego opiekuna i dzięki temu rozwinąć te ważne zdolności.

Zespół zaburzeń więzi to katastrofalny stan psychiki, uznawany za następstwo zakłócenia procesu powstawania więzi emocjonalnych w niemowlęctwie, spowodowany niekompetencją rodzica (np. poważnymi zaburzeniami emocjonalnymi) lub zbyt długim pozostawianiem dziecka samego (jak w staroświeckich sierocińcach). Dzieci z głębokimi zaburzeniami więzi, które nie mogły się przywiązać emocjonalnie do nikogo w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy życia, nie potrafią wykształcić więzi uczuciowych z innymi ludźmi w dorosłości, a tym samym są skazane na los chyba nawet gorszy niż śmierć. W skrajnych przypadkach niedotykane niemowlęta umierają. W ultrahigienicznych amerykańskich sierocińcach z przełomu XIX i XX wieku prawie wszystkie niedotykane dzieci zmarły na tajemniczą chorobę zwaną wtedy *marasmus*, co po grecku oznacza „uwiąd", obecnie zaburzenie to nosi nazwę „nieorganicznego zespołu upośledzenia rozwoju". W ciągu minionych stu lat psychologowie rozwojowi i pediatrzy przekonali się, jak ważną rolę w rozwoju dziecka odgrywa trzymanie go na rękach, przytulanie, rozmawianie oraz pieszczoty, zaobserwowali także bardzo bolesne konsekwencje powstrzymywania się od tych czynności.

Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku wiele rodzin w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych (gdzie społeczeństwo paradoksalnie zalicza się do najmniej skłonnych do wyrażania uczuć przez dotyk) bezpośrednio przekonało się, czym jest dojmujący smutek i poczucie utraty typowe dla zespołu zaburzeń więzi. Po upadku reżimu komunistycznego w Rumunii w 1989 roku reszta świata ujrzała przerażające zdjęcia z setek sierocińców, których istnienie psychopatyczny przywódca Nicolae Ceauşescu utrzymywał wcześniej w ścisłej tajemnicy[13]. Mimo panującego w kraju skrajnego ubóstwa, niemal na

granicy przetrwania fizycznego, dyktator zakazał zarówno aborcji, jak i wszelkich form kontroli urodzeń. Na ulice trafiły setki tysięcy głodujących dzieci, a niemal sto tysięcy sierot trafiło do państwowych domów dziecka, w których na jedną zatrudnioną osobę przypadało mniej więcej czterdzieścioro dzieci. Nie przestrzegano tam nawet elementarnych zasad higieny, a niemowlęta i większe dzieci karmiono tak, by zdołały się utrzymać przy życiu, zupełnie nie dbając o ich inne potrzeby.

Uznano więc, że w zaistniałej sytuacji najlepszym rozwiązaniem będzie adopcja możliwie największej liczby rumuńskich sierot przez zamożnych cudzoziemców. W dobrej wierze obywatele Europy Zachodniej i Ameryki Północnej przywozili rumuńskie dzieci do własnych domów, obdarzali je miłością, pielęgnowali i starali się przywrócić im zdrowie. Po jakimś czasie pewne małżeństwo z Paryża odkryło, że ich ślicznej dziesięciomiesięcznej córeczki w żaden sposób nie da się uspokoić, a gdy próbowali brać ją na ręce, reagowała jeszcze głośniejszym krzykiem. W Vancouver rodzice adopcyjni weszli do sypialni swojego trzyletniego syna i stwierdzili, że właśnie wyrzucił przez okno małego kotka. Rodzice z Teksasu musieli wreszcie przyznać, że nie potrafią powstrzymać przybranego pięciolatka przed brutalnymi napaściami na ich pozostałe dzieci w środku nocy ani przekonać chłopca, by nie siedział bezczynnie przez cały dzień wpatrzony w kąt pokoju. Europa Zachodnia i Ameryka Północna zaimportowały sobie zaburzenia więzi – koszmarną schedę po nieżyjącym sadystycznym rumuńskim socjopacie. Wiele spośród uratowanych dzieci okazało się niezdolnych do okazywania i przyjmowania miłości z powodu całkowitego pozbawienia ich więzi z innymi ludźmi w niemowlęctwie[14].

W czerwcu 2001 roku nowe władze Rumunii wprowadziły zakaz adopcji dzieci przez zagraniczne rodziny motywowany względami politycznymi i finansowymi, a nie humanitarnymi. Zdaniem przedstawicieli Unii Europejskiej zubożała Rumunia stała się „giełdą dzieci”, więc nie będzie miała szans na dołączenie do grupy zamożnych krajów, dopóki nie położy kresu politycznie niepoprawnym adopcjom zagranicznym. W chwili gdy piszę te słowa, ponad czterdzieści tysięcy sierot – małe miasto – wciąż przebywa w domach dziecka rozsianych po Republice Rumunii, która stara się o przyjęcie do Unii w 2007 roku.

Od czasu ujawnienia następstw rumuńskiego kryzysu sierot psychologowie zastanawiają się, czy zaburzenia procesu tworzenia więzi międzyludzkich nie zaliczają się do czynników środowiskowych warunkujących rozwój socjopatii. Podobieństwa widać już na pierwszy rzut oka. Dzieci cierpiące z powodu zaburzeń więzi są impulsywne i chłodne emocjonalnie, niekiedy zachowują się agresywnie wobec przybranych rodziców, rodzeństwa, rówieśników oraz zwierząt domowych. Mają skłonność do kradzieży, aktów wandalizmu i podpaleń. W młodym wieku często trafiają do domów poprawczych, a jako osoby dorosłe do więzień, tak samo jak socjopaci. Dzieci z głębokimi zaburzeniami więzi są zasadniczo jedyną grupą społeczną, która wzbudza w nas niemal taki sam lęk jak młodzi socjopaci.

Wyżej wspomniane podobieństwa zauważono w wielu częściach świata. Na przykład w skandynawskiej psychiatrii dziecięcej uważa się, że przyczyną „wczesnej frustracji emocjonalnej” jest brak wzajemnych więzi między matką i niemowlęciem, a rozpoznanie tego stanu u dziecka wiąże się z wyższym niż przeciętne prawdopodobieństwem wystąpienia socjopatycznego zaburzenia osobowości w wieku dojrzałym[15]. Wczesna frustracja emocjonalna statystycznie wiąże się z czynnikami mogącymi w różny sposób utrudniać wytworzenie więzi między matką i niemowlęciem, takimi jak przedwczesny poród, skrajnie niska masa urodzeniowa i nadużywanie środków odurzających przez kobietę oczekującą potomstwa.

Plany tego rodzaju badań są jednak obciążone drobnymi przekłamaniami. Na przykład pewne czynniki, takie jak nadużywanie środków odurzających przez matkę w czasie ciąży, mogą sugerować jej socjopatyczne skłonności, co oznaczałoby powrót do teorii o obciążeniu genetycznym. Lecz najważniejszy kłopot z utożsamianiem zespołu zaburzenia więzi z socjopatią, mimo kuszących z naukowego punktu widzenia podobieństw, wiąże się z ich trwałą i niepodważalną *odmiennością* w odniesieniu do charakterystycznych cech socjopatii. W przeciwieństwie do socjopatów dzieci i dorośli dotknięci zaburzeniami wytwarzania więzi rzadko bywają ujmujący i jeszcze rzadziej dobrze sobie radzą w relacjach interpersonalnych. Zazwyczaj sprawiają trochę odpychające wrażenie, niespecjalnie również starają się *udawać* normalność. Wielu z nich świadomie izoluje się od innych. Z emocjonalnego punktu widzenia należałoby ich opisać jako osoby obojętne i niezbyt fascynujące, niekiedy wręcz nastawione wrogo do innych. Dość często stwierdza się u nich skłonność do wahań nastroju między dwiema zdecydowanie mało atrakcyjnymi skrajnościami – wrogą obojętnością i niezaspokojonym brakiem uczuć. Wymienione cechy stoją w zasadniczej sprzeczności z rozbrajającą charyzmą, skłonnością do manipulacji, wyrafinowanych oszustw czy podstępów okraszanych uśmiechem, dzięki którym dość towarzyscy socjopaci nierzadko odnoszą sukcesy materialne.

Wielu lekarzy i rodziców donosi, że dzieci o skłonnościach socjopatycznych nie okazują serdeczności członkom swojej rodziny. Zazwyczaj odsuwają się na bok zarówno w sensie emocjonalnym, jak i fizycznym. Oczywiście tak samo postępują dzieci z zespołem zaburzenia więzi. Lecz w przeciwieństwie do smutnego dziecka z zespołem zaburzenia więzi dystansowanie się młodego socjopaty od członków rodziny jest najprawdopodobniej *skutkiem* jego sposobu zakorzenienia w świecie, a nie jego przyczyną.

Podsumujmy więc krótko aktualny stan wiedzy na temat jednego z zasadniczych deficytów neurobiologicznych charakterystycznych dla socjopatii. Badani socjopaci wykazują istotne odchylenia w zakresie zdolności do przetwarzania informacji emocjonalnych na poziomie kory mózgowej. Na podstawie wyników badań dziedziczności możemy wysunąć hipotezę, że neurobiologiczne podstawy cech osobowościowych socjopatów są dziedziczone aż w 50 procentach. Pozostałe przyczyny, pozostałe 50 procent, są znacznie bardziej niejasne. Ani maltretowanie w dzieciństwie, ani zaburzenia tworzenia więzi międzyludzkich nie wyjaśniają zadowalająco wpływu czynników środowiskowych na kształtowanie skłonnej do manipulacji, pozbawionej uczuć i zdolności do odczuwania winy istoty zwanej przez psychologów socjopatą. Nadal w dużej mierze zagadką pozostaje sposób, w jaki czynniki niegenetyczne oddziałują – a prawie na pewno oddziałują – na rozwój tego poważnego defektu osobowości. Pozostaje pytanie: jakie czynniki środowiskowe decydują o tym, czy u dziecka urodzonego z tą usterką neurologiczną ograniczającą funkcjonowanie społeczne ujawnią się w pełni objawy socjopatii? Obecnie tego po prostu nie wiemy.

KULTURA

Nie można wykluczyć, że wpływy środowiska na socjopatię wykazują ściślejsze związki z czynnikami ogólnokulturowymi niż z jakimikolwiek określonymi aspektami wychowania. Co więcej, jak dotąd próby kojarzenia socjopatii z czynnikami kulturowymi okazały się dla badaczy bardziej owocne niż poszukiwania swoistych zmiennych związanych z wychowaniem dziecka. Socjopatia może nie stanowić następstwa maltretowania przez opiekunów w dzieciństwie ani zespołu zaburzenia więzi, należałoby raczej uznać ją za wynik interakcji między wrodzonym kształtem układu nerwowego pewnych jednostek a wartościami wyznawanymi przez społeczeństwo, w którym przyszło im żyć.

Ta hipoteza z pewnością rozczaruje wielu czytelników, ponieważ o ile zmiana rozwiązań w dziedzinie opieki nad kobietą w ciąży, podczas porodu i leczenia dzieci na masową skalę byłaby nie lada przedsięwzięciem, o tyle przebudowa systemów wartości i przekonań całej kultury wymagałaby działań na wprost niewyobrażalną skalę o zniechęcająco odległym horyzoncie czasowym. Zapewne czulibyśmy się trochę mniej onieśmieleni, gdyby udało się nam przygotować listę praktyk wychowawczych, które moglibyśmy skorygować za naszego życia. Ale być może to właśnie w społeczeństwie tkwią zalążki pewnych cech człowieka i wreszcie okaże się, że „właściwy czas kształtowania charakteru dziecka to mniej więcej sto lat przed jego urodzeniem”, jak stwierdził William Ralph Inge na początku XX wieku.

Ze źródeł pisanych wiemy, że socjopaci pod różnymi nazwami od wieków żyją we wszystkich społeczeństwach świata. Na przykład antropolog i psychiatra Jane M. Murphy analizuje inuickie pojęcie *kunlangeta* odnoszące się do osoby, której „umysł wie, co robić, lecz tego nie robi”[16]. Murphy pisze, że w północno-zachodniej części Alaski „nazywa się tak mężczyznę, który notorycznie kłamie, oszukuje, kradnie i nie chodzi na polowania, a gdy innych mężczyzn nie ma w wiosce, wykorzystuje seksualnie kobiety”. Inuici zakładają milcząco, że *kunlangety* nie da się wyleczyć. Właśnie dlatego, zdaniem Murphy, rozwiązują ten problem zgodnie z nakazem tradycji: zmuszają *kunlangetę* do pójścia na polowanie, a następnie bez świadków spychają go z lodowego urwiska.

Choć socjopatia wydaje się zjawiskiem uniwersalnym i ponadczasowym, istnieją wiarygodne dowody na to, że w niektórych kulturach żyje mniej socjopatów niż w innych. Co ciekawe, osoby nieprzystosowane do życia w społeczeństwie względnie rzadko spotyka się w niektórych krajach Azji Wschodniej, zwłaszcza w Japonii i Chinach[17]. Badania przeprowadzone na Tajwanie, zarówno w miastach, jak i na obszarach wiejskich, ujawniły niezwykle niską częstość występowania antyspołecznego zaburzenia osobowości – w granicach 0,03–0,14 procent populacji. Co prawda odsetek ten nie wynosi zero, lecz i tak jest o wiele mniejszy niż w świecie zachodnim, w którym szacuje się go na 4 procent (czyli socjopatą jest jedna na dwadzieścia pięć osób). Niepokoić mogą doniesienia o wzrastającej częstości występowania socjopatii w USA. W 1991 roku autorzy badania epidemiologicznego sponsorowanego przez Krajowy Instytut Zdrowia Psychicznego (National Institute of Mental Health) dowiedli, że w ciągu piętnastu lat częstość występowania antyspołecznego zaburzenia osobowości wśród młodych Amerykanów prawie się podwoiła[18]. Bardzo trudne, wręcz niemożliwe byłoby wyjaśnienie tak radykalnej zmiany wyłącznie czynnikami genetycznymi i neurobiologicznymi. Najwyraźniej wpływy

kulturowe odgrywają bardzo ważną rolę w rozwoju (lub jego powstrzymywaniu) socjopatii w każdej populacji.

Niewielu z nas zakwestionowałoby spostrzeżenie, że od czasów Dzikiego Zachodu do czasu socjopatów stojących obecnie na czele wielkich firm społeczeństwo amerykańskie nie tylko przyzwala, lecz wręcz kultywuje postawy typu „liczę się tylko ja", typowe dla dążenia do dominacji. Robert Hare pisze: „nasze społeczeństwo przyzwala, wzmacnia, a czasami wręcz ceni niektóre spośród cech wymienionych w skali obserwacyjnej skłonności psychopatycznych, takie jak impulsywność, nieodpowiedzialność czy brak wyrzutów sumienia"[19]. Jego zdanie podzielają teoretycy, według których kultura północnoamerykańska ze swoim indywidualizmem jako nadrzędną wartością ma tendencję do sprzyjania rozwojowi zachowań antyspołecznych, a także do ich maskowania. Innymi słowy, w Ameryce manipulowanie innymi ludźmi bez poczucia winy „współbrzmi" z oczekiwaniami społecznymi w znacznie większym stopniu niż w Chinach lub w innych społeczeństwach bardziej eksponujących znaczenie zbiorowości.

Uważam, że istnieje jaśniejsza strona tego medalu, dlatego chciałabym odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektóre kultury zachęcają swoich członków do zachowań prospołecznych. Pewne społeczeństwa wywierają korygujący wpływ na kształtujące się charaktery socjopatów od urodzenia pozbawionych zdolności do normalnego przetwarzania emocji w kontaktach międzyludzkich. Dlaczego mimo poważnych przeciwności odnoszą sukcesy w tej dziedzinie? Moim zdaniem nadrzędne systemy wierzeń i przekonań w niektórych kulturach zachęcają urodzonych socjopatów do poznawczego kompensowania braków emocjonalnych. W przeciwieństwie do eksponowanego na Zachodzie skrajnego indywidualizmu i wewnętrznego poczucia umiejscowienia kontroli w innych kulturach, zwłaszcza w tych wywodzących się z Azji Wschodniej, kluczową rolę odgrywają teologiczne aspekty wzajemnych powiązań między wszystkimi istotami żywymi. Co ciekawe, ta wartość stanowi również podstawę sumienia definiowanego jako poczucie obowiązku zakorzenione w świadomości więzi międzyludzkich. Jeżeli jakaś osoba nie odczuwa lub jeżeli z przyczyn neurologicznych nie może odczuwać związków emocjonalnych z innymi, być może kultura kładąca nacisk na aspekt duchowy tego rodzaju więzi mimo wszystko zaszczepia w niej ściśle poznawczą interpretację zobowiązań międzyludzkich.

Czysto intelektualne zrozumienie obowiązków wobec innych nie jest takim samym atrybutem jak silnie dyrektywne uczucie zwane przez nas sumieniem, lecz zapewne wystarcza do wymuszenia prospołecznych *zachowań* przynajmniej u pewnych osób, które zachowywałyby się antyspołecznie, gdyby żyły w społeczeństwie kładącym nacisk na indywidualizm zamiast na wzajemne zależności od innych. Chociaż są one pozbawione wewnętrznego mechanizmu zwracającego uwagę na ścisłe związki z innymi, uwarunkowania kulturowe na każdym kroku przypominają im, że coś takiego istnieje. Niestety nasza kultura wszem wobec ogłasza, że zdolność do postępowania bez poczucia winy wyłącznie we własnym interesie stanowi o ich przewadze. To wyjaśniałoby, dlaczego typowa zachodnia rodzina nie może samodzielnie zresocjalizować urodzonego socjopaty. W społeczeństwie zbyt wiele odmiennych głosów podpowiada, że to właśnie jego postawa wobec świata jest prawidłowa.

Posłużmy się przykładem: jeśliby Amerykanin Skip urodził się w kulturze silnie zakorzenionej w buddyzmie lub w shintoizmie, to zabijałby żaby? Może tak, a może nie. Jego mózg byłby taki sam, lecz wszyscy otaczający go ludzie wyrażaliby szacunek dla życia. Wszyscy w jego świecie byliby tego samego zdania, w tym jego bogaci rodzice, nauczyciele,

rówieśnicy, a może nawet oglądani w telewizji celebryci. Skip pozostałby sobą. Nie szanowałby płazów, po zabiciu ich nie odczuwałby wyrzutów sumienia ani odrazy do siebie, lecz zapewne powstrzymałby się od tego czynu, gdyż jego kultura dawałaby mu jednoznaczny przekaz – coś w rodzaju zasad właściwego zachowania przy stole, konieczności dostosowania się do innych – który jego przenikliwy intelekt opanowałby bez żadnych kłopotów. Socjopaci nie dbają o świat społeczny, w którym żyją, lecz chcą – i potrzebują – dopasować się do niego.

Oczywiście powyższe słowa sugerują, że nasza kultura uczy dzieci takie jak Skip, że wolno torturować małe zwierzęta i można nadal nie wyróżniać się z tłumu. Niestety, to raczej rzetelna ocena trudnej sytuacji, w której obecnie się znajdujemy.

WOJOWNICY

Czy brak empatii i sumienia może skutkować jakimiś cechami – w kontekście społeczeństwa ludzkiego jako całości – które można by uznać za pozytywne, a przynajmniej przydatne we wszystkich kulturach? Tak się składa, że istnieje coś takiego. Bez względu na to, czy ofiara jest żabą czy człowiekiem, socjopaci potrafią zabijać bez wyrzutów sumienia, są więc doskonałymi, niewahającymi się przed niczym wojownikami. A przecież prawie wszystkie społeczeństwa – buddyjskie, shintoistyczne, chrześcijańskie, a także czysto kapitalistyczne – toczą wojny.

Do pewnego stopnia możemy uznać socjopatów za osoby ukształtowane i utrzymywane przez społeczeństwo potrzebujące bezwzględnych zabójców – od anonimowych żołnierzy do zdobywców – które od wieków wpływają na dzieje ludzkości. Socjopaci są nieustraszonymi, doskonałymi wojownikami, snajperami, tajnymi zabójcami, agentami specjalnymi, członkami straży obywatelskiej i specjalistami od walki wręcz, ponieważ zabijając (lub zlecając zabójstwo), nie odczuwają strachu, a gdy jest już po wszystkim, nie dokuczają im wyrzuty sumienia. Zdecydowana większość ludzi – trzon naszych armii – nie może do tego stopnia wyłączyć swoich emocji, a jeżeli nie wpoi się im odpowiednich odruchów, większość normalnych ludzi w najlepszym razie pozostaje bardzo kiepskimi zabójcami nawet w sytuacjach, w których odbieranie życia innym ludziom uznaje się za konieczne. Osoba mogąca spojrzeć innemu człowiekowi prosto w oczy i zastrzelić go z zimną krwią jest wybrykiem natury, lecz na wojnie trudno nie docenić jej wartości.

O dziwo, niektóre czyny wiążą się z tak dużym obciążeniem emocjonalnym, że ich popełnienie wręcz *wymaga* braku sumienia, podobnie jak astrofizyka wymaga inteligencji, a sztuka talentu. Podpułkownik Dave Grossman tak pisze o wojownikach mogących działać bez wyrzutów sumienia w swojej książce: „Bez względu na to, czy nazwiemy ich socjopatami, psami wojny, wojownikami czy też bohaterami, oni istnieją, stanowią zdecydowaną mniejszość, lecz w chwilach zagrożenia narody desperacko ich potrzebują”[20].

Lecz w czasie pokoju te same narody płacą ukrytą cenę za gloryfikowanie zimnych jak stal zabójców na polu walki. Ta ścieżka wiodąca do chwały nie pozostaje niezauważona przez innych ludzi mających naturalne predyspozycje do zabijania bez poczucia winy, którzy nigdy nie będą działać za plecami wroga. Przeważnie niewidoczni samozwańczy zabójcy pozostają w domu, wśród nas. Od Wietnamu po Bagdad pochwała zabijania – przydawanie splendoru przypadkom naruszenia najważniejszego nakazu normalnego sumienia – stała się trwałą cechą głównego nurtu naszej kultury, co więcej, może się okazać najbardziej szkodliwym czynnikiem środowiskowym wpływającym na żyjące wśród nas co słabsze umysły o skłonnościach socjopatycznych. Posiadacz takiego umysłu niekoniecznie musi zabijać, lecz – jak się dowiemy w następnym rozdziale – gdy już to zrobi, ujawnia skrywane dotąd przed światem oblicze.

---

[1] Szczegółowe omówienie wyników tych badań zob. L. Eaves, H. Eysenck, N. Martin, *Genes, Culture and Personality*, New York 1989.

[2] Przegląd badań z udziałem bliźniąt przeprowadzonych z wykorzystaniem skali Pd: H. Goldsmith, I. Gottesman, *Heritable*

Variability and Variable Heritability in Developmental Psychopathology, w: *Frontiers in Developmental Psychopathology*, red. M. Lenzenweger, J. Haugaard, Oxford 1996.

[3] *Differential Heritability of Adult and Juvenile Antisocial Traits*, „Archives of General Psychiatry" 52 (1995), s. 906–915.

[4] Zob. T. Widiger i in., A *Description of the DSM-III-R and DSM-IV Personality Disorders with the Five-factor Model of Personality*, w: *Personality Disorders and the Five-factor Model*, red. P. Costa, T. Widiger, Washington 1994; C. Cloninger, *A Systematic Method for Clinical Description and Classification of Personality Variants*, „Archives of General Psychiatry" 44 (1987), s. 579–588.

[5] Zob. L. Willerman, J. Loehlin, J. Horn, *An Adoption and a Cross-Fostering Study of the Minnesota Multiphasic Personality Inventory (MMPI) Psychopathic Deviate Scale*, „Behavior Genetics" 22 (1992), s. 515–529.

[6] Więcej informacji na temat sposobu szacowania przedziałów dziedziczności zaburzeń psychopatycznych i innych cech można znaleźć w: P. McGuffin, A. Thapar, *Genetics and Antisocial Personality Disorder*, w: *Psychopathy. Antisocial, Criminal, and Violent Behavior*, red. T. Millon i in., New York 2002; D. Falconer, *Introduction to Quantitative Genetics*, Edinburgh 1989.

[7] S. Williamson, T. Harpur, R. Hare, *Abnormal Processing of Affective Words by Psychopaths*, „Psychophysiology" 28 (1991), s. 260–273; J. Johns, H. Quay, *The Effect of Social Reward on Verbal Conditioning in Psychopathic and Neurotic Military Offenders*, „Journal of Consulting and Clinical Psychology" 26 (1962), s. 217–220.

[8] J. Intrator i in., *A Brain Imaging (SPECT) Study of Semantic and Affective Processing in Psychopaths*, „Biological Psychiatry" 42 (1997), s. 96–103.

[9] Wyjątkowo elastyczny ludzik z ciasta występujący w reklamie firmy spożywczej Pillsbury (przyp. tłum.).

[10] R. Hare, *Without Conscience. The Disturbing World of the Psychopaths Among Us*, New York 1999.

[11] J. Bowlby, *Przywiązanie*, tłum. M. Polaszewska-Nicke, Warszawa 2007.

[12] D. Siegel, *The Developing Mind. How Relationships and the Brain Interact to Shape Who We Are*, New York 1999.

[13] Politykę demograficzną Ceauşescu bardziej szczegółowo omawia G. Kligman, *The Politics of Duplicity. Controlling Reproduction in Ceauşescu's Romania*, Berkeley 1998.

[14] P. Pluye i in., *Mental and Behavior Disorders in Children Placed in Long-Term Care Institutions in Hunedoara, Cluj and Timis, Romania*, „Santé" 11 (2001), s. 5–12; T. O'Connor, M. Rutter, *Attachment Disorder Behavior Following Early Severe Deprivation. Extension and Longitudinal Follow-up. English and Romanian Adoptees Team*, „Journal of the American Academy of Child and Adolescent Psychiatry" 39 (2000), s. 703–712.

[15] M. Lier, M. Gammeltoft, I. Knudsen, *Early Mother-Child Relationship. The Copenhagen Model of Early Preventive Intervention Towards Mother-Infant Relationship Disturbances*, „Arctic Medical Research" 54 (1995), s. 15–23.

[16] J. Murphy, *Psychiatric Labeling in Cross-Cultural Perspective. Similar Kinds of Disturbed Behavior Appear to Be Labeled Abnormal in Diverse Cultures*, „Science" 191 (1976), s. 1019–1028.

[17] P. Cheung, *Adult Psychiatric Epidemiology in China in the 1980s*, „Culture, Medicine, and Psychiatry" 15 (1991), s. 479–496; W. Compton i in., *New Methods in Cross-Cultural Psychiatry. Psychiatric Illness in Taiwan and the United States*, „American Journal of Psychiatry" 148 (1991), s. 1697–1704; H.-G. Hwu, E.-K. Yeh, L. Change, *Prevalence of Psychiatric Disorders in Taiwan Defined by the Chinese Diagnostic Interview Schedule*, „Acta Psychiatrica Scandinavica" 79 (1989), s. 136–147; T. Sato, M. Takeichi, *Lifetime Prevalence of Specific Psychiatric Disorders in a General Medicine Clinic*, „General Hospital Psychiatry" 15 (1993), s. 224–233.

[18] *Psychiatric Disorders in America. The Epidemiologic Catchment Area Study*, red. L. Robins, D. Regier, New York 1991; R. Kessler i in., *Lifetime and 12-Month Prevalence of DSM-III-R Psychiatric Disorders in the United States*, „Archives of General Psychiatry" 51 (1994), s. 8–19.

[19] R. Hare, *Without Conscience*, dz. cyt., s. 177.

[20] D. Grossman, *O zabijaniu. Psychologiczny koszt kształtowania gotowości do zabijania w czasach wojny i pokoju*, tłum. D. Konowrocka, Warszawa 2010, s. 201.

8

SOCJOPATA Z SĄSIEDZTWA

Być może jesteśmy marionetkami – marionetkami prowadzonymi na sznurkach społeczeństwa.
Ale przynajmniej jesteśmy marionetkami obdarzonymi zdolnością postrzegania, świadomością.
I być może to właśnie ta świadomość stanowi pierwszy krok do naszego wyzwolenia.
STANLEY MILGRAM

– Po prostu chciałam z kimś porozmawiać. Chyba dlatego, że mój ojciec trafił do więzienia. – Moja nowa pacjentka, Hannah, ładna dwudziestodwulatka o wąskich ustach, skierowała to ledwo słyszalne wyjaśnienie ku jednemu z moich regałów z książkami. Po chwili spojrzała wprost na mnie i nieśmiało powtórzyła: – Muszę z kimś porozmawiać. Mój ojciec dostał wyrok więzienia.

Cicho westchnęła, jakby wysiłek związany z wypowiedzeniem tych słów odebrał jej resztki tchu, po czym zamilkła.

Gdy psycholog ma do czynienia z bardzo przestraszonym pacjentem, powinien rozpocząć terapię od nawiązania do jego słów. Nie może przy tym go krytykować ani traktować protekcjonalnie. Pochyliłam się lekko do przodu, splecione palce dłoni założyłam za kolano i starałam się napotkać wzrok Hannah, który teraz błądził po rudym orientalnym dywanie leżącym na podłodze między naszymi fotelami.

Spytałam cicho:

– Twój ojciec jest w więzieniu?

– Tak. – Odpowiadając, powoli uniosła głowę, niemal zaskoczona, zupełnie jakbym uzyskała tę informację drogą telepatyczną. – Zabił człowieka. To znaczy, nie chciał, ale zabił.

– A teraz jest w więzieniu.

– Tak. Tak, w więzieniu.

Zarumieniła się, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Nie przestaje zdumiewać mnie fakt, że okazanie nawet najmniejszej uwagi, nawet ślad życzliwości tak szybko wywołuje wzruszenie rozmówcy. Moim zdaniem dzieje się tak dlatego, że tak naprawdę prawie nikt nas nie słucha. Jako psycholog codziennie utwierdzam się w tym przekonaniu. Inni ludzie z rzadka zwracają uwagę na to, co mówimy, więc prawie nigdy nie rozumieją naszego postępowania. Z mojego „zawodu słuchacza” płynie dość paradoksalna nauka: w ostatecznym rozrachunku każdy z nas pozostaje tajemnicą dla innych.

– Kiedy twój ojciec trafił do więzienia? – spytałam.

– Czterdzieści jeden dni temu. Proces trwał naprawdę długo. Ale ojciec odpowiadał z wolnej

stopy.

– I doszłaś do wniosku, że powinnaś o tym z kimś porozmawiać?

– Tak. Nie mogę… To jest po prostu bardzo… Czuję się przygnębiona. Myślę, że to pierwsze oznaki depresji. A zaczynam studia medyczne.

– Studia medyczne? Czyli nie teraz, ale we wrześniu?

Był lipiec.

– Tak. Nie chcę, ale muszę.

Z oczu dziewczyny polały się łzy, bezgłośnie, bez łkania, jakby reszta jej ciała nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Ciekły strumieniami z jej oczu i skapywały na białą jedwabną bluzkę, pozostawiając na niej półprzezroczyste plamy. Oprócz tego jej zachowanie nie uległo zmianie. Była spokojna, nie zmienił się również wyraz jej twarzy.

Stoicyzm zawsze głęboko mnie porusza. Hannah była jego skrajnym przykładem. Zaintrygowała mnie.

Palcami wskazującymi obu dłoni zmusiła do uległości swoje proste, czarne włosy, zakładając je sobie za uszy. Włosy lśniły, jakby ktoś je wypolerował. Unikając mojego spojrzenia, zerknęła w znajdujące się za moimi plecami okno i zapytała:

– Wie pani, co to znaczy, kiedy twojego ojca zamykają w więzieniu?

– Nie. Nie mam pojęcia – odparłam. – Opowiesz mi?

Tak oto Hannah opowiedziała mi swoją historię, a raczej jej część, którą relacjonuję poniżej.

Dorastała w innym stanie, w mieście oddalonym mniej więcej o półtora tysiąca kilometrów od Bostonu. Jej ojciec był dyrektorem liceum w dzielnicy zamieszkanej przez klasę średnią. Zdaniem córki był bardzo sympatycznym człowiekiem i w naturalny sposób przyciągał do siebie innych ludzi. Nazwała go „gwiazdą”. Był lubiany przez uczniów, nauczycieli oraz prawie całą niewielką społeczność dzielnicy, w której znajdowała się szkoła. Nie opuszczał ćwiczeń cheerleaderek ani meczów futbolowych. Zawzięcie kibicował szkolnej drużynie.

Urodził się i wychował na wiejskich terenach Midwestu, gdzie „wpojono mu silne wartości konserwatywne”, jak powiedziała Hannah. Wierzył w patriotyzm, w potęgę sił zbrojnych, a także w rolę wykształcenia i samodoskonalenia. Hannah była jego jedynym dzieckiem i odkąd pamiętała, powtarzał jej, że choć nie jest chłopcem, może zostać tym, czym będzie chciała. Dziewczynki mogą zostać tym, czym chcą. Na przykład lekarzami. Więc Hannah też mogła być lekarzem.

Dziewczyna bardzo kochała swojego ojca.

– To najwspanialszy, najprzyzwoitszy człowiek na świecie. Naprawdę – powiedziała. – Szkoda, że pani nie widziała tłumów, jakie przychodziły na rozprawy. Ci ludzie po prostu siedzieli i płakali z żalu. Płakali nad nim. Bardzo mu współczuli, ale nic nie mogli zrobić. Rozumie pani? Nic nie mogli zrobić.

Zabójstwo miało miejsce pewnej marcowej nocy, gdy Hannah, studentka drugiego roku college’u, wróciła do rodzinnego domu na wiosenne ferie. Przed świtem obudził ją bardzo głośny hałas na zewnątrz.

– Dopiero później zorientowałam się, że to był strzał z pistoletu – wyjaśniła.

Zaspana wstała, żeby sprawdzić, co się stało. Matka stała w otwartych drzwiach wejściowych, płakała i załamywała ręce. W domu panował przeciąg.

– Wie pani, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Kiedy zamykam oczy i widzę, jak

wiatr rozwiewa jej szlafrok, mam wrażenie, że od razu wiedziałam, co się stało, zanim jeszcze zorientowałam się w sytuacji. Doskonale wiedziałam. Wiedziałam, że mój ojciec trafi do więzienia. Widziałam wszystko. Zupełnie jak scena z nocnego koszmaru, prawda? To wszystko było jak jeden wielki koszmar. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Czekałam, kiedy się obudzę. Czasami nadal uważam, że się obudzę i wszystko okaże się tylko okropnym snem. Ale skąd o tym wiedziałam, zanim cokolwiek się okazało? Widziałam, jak moja mama tam stoi… zupełnie… jakby to stało się już wcześniej, jakbym przeżywała *déjà vu* albo coś w tym rodzaju. Czułam się dziwnie. A może nie? Może po prostu teraz, kiedy to wspominam, mam takie wrażenie? Sama już nie wiem.

Gdy tylko matka zauważyła Hannah, szarpnęła ją, jakby usuwając córkę z drogi nadjeżdżającego pociągu, i krzyknęła: „Nie wychodź! Nie chodź tam!”. Hannah nie zrobiła ani kroku ku drzwiom, ani nie poprosiła o wyjaśnienia. Po prostu stała bez ruchu w objęciach przerażonej matki.

– Nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywała – kontynuowała Hannah. – Ale wciąż miałam wrażenie, że już wcześniej przeżyłam coś podobnego. Wiedziałam, że powinnam zostać w środku.

Po jakimś czasie – Hannah nie była pewna, jak długo to trwało – przez szeroko otwarte drzwi wszedł do środka ojciec i stanął przed obejmującymi się kobietami.

– Nie miał w ręce pistoletu. Musiał wyrzucić go gdzieś w ogrodzie.

Miał na sobie tylko spodnie od piżamy. Stanął przed żoną i córką.

– Wyglądał na spokojnego. Może był zdyszany, ale nie wyglądał na przestraszonego ani nic w tym rodzaju. Przez sekundę, może przez pół sekundy pomyślałam, że może wszystko będzie dobrze.

Gdy wypowiadała te słowa, z jej oczu znów pociekły łzy.

– Ale byłam zbyt przerażona, żeby zapytać go, co się stało. Po jakimś czasie mama puściła mnie i poszła zadzwonić na policję. Pamiętam, że zapytała ojca: „Czy jest ranny?”, a on odpowiedział: „Myślę, że tak. Chyba dość mocno go zraniłem”. A potem poszła do kuchni i zadzwoniła na policję. W takich sytuacjach trzeba wezwać policję, prawda?

– Tak – odpowiedziałam. Pytanie dziewczyny nie było retoryczne.

Hannah stopniowo odkrywała, co się stało. Wcześniej tej strasznej nocy matka Hannah, która zawsze miała lekki sen, usłyszała dobiegające z salonu odgłosy przypominające brzęk tłuczonego szkła i obudziła męża. Znów rozległy się podejrzane hałasy. Przekonany, że w domu znalazł się włamywacz, mężczyzna wstał z łóżka i zaczął działać. Przyświecając sobie lampką nocną, ostrożnie (według późniejszych zeznań żony) wyjął pudełko, które trzymał w szafie w sypialni, otworzył je, wyjął i załadował broń. Żona błagała go, żeby po prostu zadzwonił na policję. Zignorował jej prośbę. Syknął na nią rozkazująco: „Zostań tu!”, i w prawie zupełnych ciemnościach wyszedł z sypialni.

Widząc go, albo, co bardziej prawdopodobne, słysząc go, intruz uciekł z domu głównym wejściem. Ojciec Hannah rzucił się za nim w pościg, nacisnął spust i „czystym zbiegiem okoliczności” – jak to ujął jeden z jego adwokatów – trafił włamywacza w potylicę, zabijając go na miejscu. Martwy mężczyzna upadł na chodnik między trawnikiem i krawężnikiem, co z punktu widzenia przepisów prawa oznaczało, że ojciec Hannah zastrzelił na ulicy nieuzbrojonego człowieka.

Co dziwne, a nawet niewiarygodne, żaden sąsiad nie wyszedł z domu.

– Kiedy już było po wszystkim, wszędzie zapanowała cisza. Zrobiło się bardzo, bardzo cicho – powiedziała mi Hannah w moim gabinecie.

Po telefonie matki Hannah na miejscu zdarzenia dość szybko pojawiła się policja, a następnie jeszcze kilka osób i ambulans na sygnale. W końcu ojca i matkę dziewczyny zabrano na komisariat.

– Matka poprosiła swoją siostrę i mojego wujka, żeby przyjechali i zostali ze mną przez resztę nocy, zupełnie jakbym znów stała się małą dziewczynką. Nie wiem po co, bo byli bardzo roztrzęsieni. A ja wpadłam w jakieś odrętwienie.

Przez kilka kolejnych tygodni opisywane zajście znajdowało się w centrum uwagi miejscowych mediów. Włamanie miało miejsce w spokojnej dzielnicy zamieszkiwanej przez klasę średnią. Do złodzieja otworzył ogień zwykły obywatel, członek klasy średniej, bez stwierdzonych skłonności do przemocy. Nie był pijany ani nie zażywał narkotyków. Ofiarą padł notowany przestępca, narkoman, który tuż przed śmiercią rzeczywiście włamał się przez okno do domu rodziców Hannah. Nikt oprócz prokuratora nie wątpił, że był on złodziejem i że ojciec Hannah gonił i zastrzelił go w obronie własnego domu.

Podczas procesu poruszano takie kwestie jak prawa ofiary, dostępność broni palnej oraz konieczność surowego karania przestępców. Przebieg postępowania wyraźnie ilustrował zagrożenia związane ze zbyt dosłownym traktowaniem przepisów dotyczących samoobrony obywatelskiej. A może wykazał niezbicie, że właściciele domów powinni mieć większe prawa? Przedstawiciele ACLU[1] wpadli we wściekłość, a zwolennicy NRA[2] w jeszcze większą.

Tak jak wspomniała Hannah, po pierwszym długim procesie nastąpiły apelacja i kolejny długi proces. W końcu ojca Hannah skazano za umyślne zabójstwo na dziesięć lat więzienia. Adwokaci stwierdzili jednak, że najprawdopodobniej odsiedzi „tylko” dwa lub trzy lata.

Wieść o skazaniu dyrektora liceum na dziesięcioletnie więzienie za zastrzelenie włamywacza we własnym ogrodzie wzbudziła silne emocje. Ze wszystkich stron rozległy się protesty: wyrok był sprzeczny z konstytucją. Wyrok był sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem i z prawem naturalnym. Skazany mężczyzna był niebezpiecznym, samozwańczym stróżem sprawiedliwości i pogwałcił prawo innego człowieka do życia. Skazany mężczyzna był amerykańskim bohaterem i obrońcą rodziny. Był brutalnym szaleńcem. Był męczennikiem tej sprawy i wielu innych.

Choć trudno w to uwierzyć, przez cały ten czas Hannah uczęszczała do szkoły, zdobywała najlepsze oceny i składała podania na studia medyczne, czyli robiła to, na co z uporem nalegał jej znajdujący się w poważnych tarapatach ojciec.

– Po prostu nie miał zamiaru pozwolić, by moje życie zrujnowało takie „głupstwo”. Właśnie tak powiedział.

Hannah dostała się prawie na każdą uczelnię medyczną, do której złożyła dokumenty, mimo trudnego położenia ojca. Powiedziała:

– Cała ta sprawa chyba pomogła mi się dostać na studia. Robiłam to dla niego.

Gdy Hannah skończyła swoją opowieść, poszperała w małej, skórzanej kopertówce i wyjęła z niej chusteczkę higieniczną, chociaż w widocznym miejscu na stoliku tuż przy jej lewym łokciu znajdowało się pudełko pełne podobnych chusteczek. Zaczęła osuszać nią policzki i ścierać ślady łez z bluzki.

– Jak pani widzi, w sumie nie potrzebuję czegoś takiego jak „terapia”. Ale bardzo chciałabym z kimś porozmawiać. Naprawdę nie chcę być aż tak przygnębiona, kiedy zacznę

zajęcia. Zresztą sama już nie wiem. Sądzi pani, że powinnam tutaj przychodzić?

Opowieść Hannah i jej zachowanie poruszyły we mnie czułą strunę. Poczułam do niej ogromną sympatię i powiedziałam jej o tym. W duchu zastanawiałam się jednak, jakiej pomocy właściwie oczekiwała – przecież przyszła do mnie tylko dlatego, że zobaczyła moje nazwisko w jakimś artykule w gazecie. Umówiłyśmy się, że będziemy się spotykać raz w tygodniu przez pewien czas i po prostu rozmawiać. Wybrała uniwersytet z siedzibą w Bostonie, a za namową matki przeprowadziła się na Wschodnie Wybrzeże tuż po zakończeniu roku szkolnego, żeby się „przyzwyczaić" do nowego miejsca przed rozpoczęciem zajęć, z dala od domu, w którym rozegrały się tragiczne wydarzenia. Zdaniem matki „negatywnie" wpływały one na córkę. Uznałam te słowa za niedopowiedzenie roku i zapewniłam Hannah, że bardzo chętnie będę się z nią spotykać.

Gdy wyszła, przez minutę lub dwie chodziłam po gabinecie tam i z powrotem, popatrując przez ogromne okna na Zatokę Bostońską, co jakiś czas przerzucałam papiery na szerokim, zagraconym biurku, a następnie wracałam do okna. Często właśnie tak się zachowuję, gdy podczas sesji ktoś opowiedział mi o sobie wiele, lecz raczej nie wszystko. W całym tym zdarzeniu zaintrygowały mnie nie tyle kwestie prawne i polityczne – kto, co, kiedy i gdzie – ile odwieczne pytanie zadawane przez psychologię: dlaczego?

Hannah nie zapytała: „*Dlaczego* ojciec postanowił strzelić? *Dlaczego* po prostu nie pozwolił odejść temu człowiekowi?". Z czysto emocjonalnego punktu widzenia nie mogła pozwolić sobie na zadanie tych pytań, ponieważ uzyskane odpowiedzi mogłyby się okazać zbyt traumatyczne. Chodziło tu bowiem o jej relację z ojcem. Być może właśnie po to mnie potrzebowała, bym pomogła jej stawić czoło możliwym odpowiedziom na niebezpieczne pytania. Może ojciec działał w afekcie, powodowany emocjami, i przypadkowo nacisnął spust, trafiając intruza w głowę „czystym zbiegiem okoliczności", jak ujął to adwokat. A może ojciec rzeczywiście uznał, że jego rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie, a instynkt opiekuńczy kazał mu działać? A może mężczyzna, w którym wszyscy widzieli dobrego męża i ojca, członka klasy średniej, zwyczajnego dyrektora liceum, był mordercą?

Podczas kolejnych spotkań latem oraz jesienią tamtego roku, gdy Hannah rozpoczęła już studia, opowiadała mi coraz więcej o swoim ojcu. W moim zawodzie często mam do czynienia z opisami zachowań i wydarzeń, do których pacjent przyzwyczaja się w miarę upływu czasu i uznaje je za zupełnie normalne, lecz dla mnie – psychologa i osoby z zewnątrz – sygnalizują one nieprawidłowości, a niekiedy nawet budzą mój poważny niepokój. Coś podobnego miało miejsce w przypadku Hannah. Dziewczyna oczywiście uważała, że opowiada mi o najzwyczajniejszych wydarzeniach pod słońcem, lecz z jej słów zaczął się wyłaniać obraz emocjonalnie chłodnego człowieka, którego nikczemne postępowanie mające na celu kontrolowanie innych przyprawiało mnie o dreszcze. Ponadto zrozumiałam, że moja inteligentna, młoda pacjentka zapewne poczuje się zagubiona, gdy przyjdzie jej ujrzeć prawdziwe oblicze jej ojca.

Mężczyzna traktował swoją piękną żonę i ambitną córkę bardziej jak trofea niż jak żywych ludzi. Zazwyczaj ignorował je zupełnie, gdy były chore lub z innej przyczyny przeżywały trudne chwile. Ale powodowana miłością Hannah odmiennie interpretowała jego bezduszne zachowanie.

– Jest ze mnie naprawdę dumny – powiedziała – a przynajmniej zawsze tak mi się wydawało, więc nie znosi, kiedy popełniam błędy. Kiedy byłam w czwartej klasie, mój nauczyciel

powiedział rodzicom, że nie odrabiam zadań domowych. Tata nie odzywał się do mnie przez dwa tygodnie. Wiem, że to trwało dwa tygodnie, bo miałam taki mały kalendarzyk, zresztą wciąż go mam, i odkreślałam na nim dni, jeden po drugim. Zupełnie jakbym nagle przestała istnieć. To było okropne. Aha, podam pani jeszcze jeden dobry przykład, trochę nowszy. Byłam już wtedy w liceum, w jego liceum, wie pani? Wtedy zrobił mi się naprawdę ogromny, szkaradny pryszcz na policzku. – Mówiąc to, wskazała miejsce na nieskazitelnej cerze. – Przez trzy dni nie odzywał się do mnie ani słowem, nie chciał nawet na mnie patrzeć. Jest perfekcjonistą. Pewnie chciałby się mną pochwalić przed innymi, a kiedy coś ze mną jest nie tak, nie bardzo może. To sprawia, że czasami czuję się podle ze sobą, ale chyba go rozumiem. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Gdy Hannah była dzieckiem, jej matka prawie trzy tygodnie leżała w szpitalu. Lekarze określali jej stan jako ciężki. Najprawdopodobniej zachorowała na zapalenie płuc, ale Hannah była zbyt mała, żeby cokolwiek z tego pamiętać, oprócz tego, że razem z ciotką chodziły w odwiedziny do szpitala. Ojciec Hannah zupełnie nie interesował się stanem żony, a kiedy ta wróciła do domu, był wściekły i wzburzony, ponieważ obawiał się, że blada i osłabiona kobieta „bezpowrotnie straci urodę”.

Jeśli chodzi o matkę, Hannah powiedziała:

– Tak naprawdę nie mogę pani za dużo o niej powiedzieć. Jest kochana i delikatna. Zawsze dbała o mnie, zwłaszcza kiedy byłam mała. Lubi się zajmować ogrodem, udziela się w wielu organizacjach charytatywnych i tym podobnych. Po prostu jest bardzo miłą kobietą. Aha, i wybrano ją na królową zjazdu absolwentów liceum. Tata przechwalał się tym na prawo i lewo.

Kiedy zaczęłam szczegółowo wypytywać Hannah o reakcję matki na lekceważące zachowanie ojca, odpowiedziała:

– Nie wiem. To znaczy, szczerze mówiąc, zdarzały się różne rzeczy, które mnie doprowadziłyby do prawdziwej wściekłości, gdybym była na jej miejscu, ale ona nigdy się nie skarżyła. Po prostu idzie przez życie własną drogą. Jak już pani mówiłam, jest kochaną, delikatną osobą; chyba właśnie tak opisaliby ją ludzie, którzy ją znają. Myślę, że z tą cechą jej charakteru wiąże się jeszcze coś: tak naprawdę mama nie za bardzo potrafi upomnieć się o siebie. W kontaktach z ojcem na pewno nigdy nie stawia sprawy na ostrzu noża. To znaczy, chybabym zemdlała, gdyby kiedyś zrobiła coś takiego. Jest po prostu doskonałym przykładem damy. Jej jedyną wadą, jeżeli w ogóle można to tak nazwać, jest jej próżność. Jest naprawdę piękna i myślę, że dobrze o tym wie. Dużo czasu zabiera jej pielęgnowanie włosów, ciała i takie tam. Myślę, że traktuje to jako swój jedyny liczący się w świecie walor. Czy to, co mówię, w ogóle ma jakiś sens?

Hannah spojrzała na mnie pytająco, a ja skinęłam głową na znak, że rozumiem, co ma na myśli.

– Ale żeby oddać ojcu sprawiedliwość, on naprawdę docenia jej urodę i potrafi się znaleźć. Kiedy wyjeżdża, wysyła jej kwiaty, i zawsze jej powtarza, jaka jest piękna. Myślę, że takie rzeczy naprawdę wiele dla niej znaczą.

– Wysyła jej kwiaty, kiedy wyjeżdża? – upewniłam się. – A dokąd?

Kiedy zadałam jej to pytanie, Hannah stała się mniej opanowana. Poprawiła się w fotelu i milczała przez chwilę. W końcu odpowiedziała:

– Nie wiem. To brzmi dość dziwnie, ale naprawdę nie mam pojęcia. Czasami wracał bardzo późno w nocy albo nie było go w domu przez cały weekend. Wtedy mama dostawała kwiaty. To znaczy całą sprawę załatwiali między sobą. Te sytuacje były dość dziwne, więc próbowałam nie

zwracać na nie uwagi.

– Chodzi ci o jego nieobecności?

– Tak, właściwie… uważałam je za dziwne. Ale nie wiem, co mama o nich myśli.

– Nie domyślasz się, dokąd wyjeżdżał? – naciskałam, chyba trochę zbyt mocno, ale uzyskanie odpowiedzi na to pytanie wydało mi się ważne.

– Nie. Starałam się nie zwracać na to uwagi – powtórzyła, a potem znów zaczęła się wpatrywać w moje półki z książkami.

Tydzień później zapytałam wprost, czy ojciec Hannah kiedykolwiek stosował przemoc wobec niej lub jej matki. Czy kiedykolwiek je uderzył?

Hannah rozpogodziła się.

– Nic podobnego – odpowiedziała z zapałem. – Nigdy tego nie zrobił. Nawet nie potrafiłabym sobie wyobrazić czegoś takiego. Podejrzewam nawet, że gdyby ktoś skrzywdził mnie albo mamę, ojciec zabiłby go.

Odczekałam chwilę, by się przekonać, jakie wrażenie wywrą na niej jej własne słowa, lecz sprawiała wrażenie niewzruszonej. Znów poprawiła się w fotelu i powtórzyła dobitnie:

– Nie. Nigdy nas nie uderzył. W naszym domu nigdy nie zdarzyło się nic podobnego.

Odpowiedź, jakiej udzieliła mi Hannah, z jakiegoś powodu sprawiła jej zadowolenie. Byłam skłonna uwierzyć, że ojciec Hannah nigdy nie stosował fizycznej agresji wobec członków własnej rodziny. Ale po dwudziestu pięciu latach leczenia ofiar traumy psychicznej wiem już, że w rzeczywistości bicie zalicza się do znośniejszych przejawów przemocy.

Spróbowałam więc innej taktyki.

– Wiem, że kochasz swojego ojca i musisz to uczucie chronić, zwłaszcza teraz. Ale we wszystkich relacjach międzyludzkich występują jakieś trudności. Czy jest coś, co chciałabyś zmienić w zachowaniu swojego ojca, gdybyś mogła?

– Tak, oczywiście, ma pani rację. Powinnam go wspierać. Naprawdę zasługuje na wsparcie ze strony wszystkich, którzy go znają, zwłaszcza teraz…

Przerwała i odwróciła głowę, spoglądając na podwójne drzwi mojego gabinetu. Potem wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę, jakby starała się odgadnąć, dlaczego zadałam jej właśnie takie pytanie, po czym powiedziała:

– Ale jeżeli chce pani wiedzieć, faktycznie jest coś takiego, co chciałabym zmienić.

Roześmiała się nerwowo, bez śladu rozbawienia, a na jej twarzy pojawił się szkarłatny rumieniec sięgający korzeni lśniących, czarnych włosów.

– Co takiego? – zapytałam tak rzeczowym tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć.

– To naprawdę drobnostka. Ale… no więc, ojciec czasem tak jakby flirtował z moimi koleżankami, i to naprawdę mnie wkurza. Teraz, kiedy mówię o tym otwarcie, cała sprawa wygląda jeszcze bardziej absurdalnie. Myślę, że nie powinnam się aż tak bardzo przejmować takimi rzeczami. Ale się przejmuję.

– Flirtuje z twoimi koleżankami? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mniej więcej od gimnazjum… Niektóre z moich koleżanek są naprawdę atrakcyjne, wie pani? Zwłaszcza jedna, ma na imię Georgia… W każdym razie ojciec flirtuje z nimi. Puszcza do nich oko, przytula je i łaskocze. A czasem pozwala sobie na zbyt wiele, na przykład kiedyś powiedział: „Przyszłaś dziś bez stanika, Georgia?”, albo coś w tym rodzaju, ale nie mogę wykluczyć, że coś mi się pokręciło. Ojej, teraz, kiedy mówię o tym głośno, mam wrażenie, że to

kosmicznie głupie, nie sądzi pani? Pewnie w ogóle nie powinnam się przejmować takimi głupstwami.

– Gdybym była na twoim miejscu, bardzo bym się tym przejmowała – odpowiedziałam.

– Naprawdę? – Przez chwilę sprawiała wrażenie ośmielonej, lecz potem znów dostrzegłam niepewność na jej twarzy. – Wie pani, w liceum, którego dyrektorem jest tata, zresztą ja też do niego chodziłam, rodzice twierdzili, że zachowywał się „nieodpowiednio" wobec uczennic. Były trzy takie przypadki, przynajmniej o tylu słyszałam. Kiedyś rodzice wkurzyli się tak bardzo, że zabrali córkę ze szkoły. Ale reszta stanęła za nim murem. Nie mieściło im się w głowie, że taki dobry, sympatyczny człowiek może zostać oskarżony o jakieś perwersje tylko dlatego, że przytulił jedną z uczennic albo coś w tym rodzaju.

– A ty co o tym myślisz?

– Sama nie wiem. Pewnie będę się smażyć w piekle, kiedy to powiem, ale prawda jest taka, że nie wiem, chyba dlatego, że widziałam, jak robił różne rzeczy, które naprawdę łatwo jest mylnie zinterpretować. Rozumie pani? To znaczy, jeżeli jest się dyrektorem szkoły i zachodzi od tyłu jakąś naprawdę ładną szesnastolatkę, chwyta się ją w talii, to można się spodziewać, że jej rodzice nie będą zadowoleni, kiedy o tym usłyszą. Nie wiem, dlaczego on tego nie rozumie.

Tym razem Hannah nie poprosiła mnie o potwierdzenie swojej opinii. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w regały z książkami i milczała.

Po pewnym czasie dotarł do mnie potok pospiesznie wypowiadanych słów:

– Wie pani, co jeszcze? Nigdy nikomu tego nie mówiłam i mam nadzieję, że nie pomyśli pani sobie o mnie źle dlatego, że opowiadam o tym, ale kiedyś dziewczyna, którą znam, w sumie nie znam jej zbyt dobrze, ale chodziła do tego samego liceum, przysiadła się kiedyś do mnie w bibliotece i zaczęła pisać coś na karteczce. Uśmiechnęła się i podała mi karteczkę ze słowami: „Wiesz, co twój ojciec powiedział mi o Central High?". Odpisałam: „Poddaję się. Co?". A ona napisała: „Powiedział mi, że Central High to jak seksualny bar szybkiej obsługi". Seksualny bar szybkiej obsługi wzięła w duży cudzysłów. Byłam tak wściekła, że prawie się rozpłakałam, ale wyszłam z biblioteki, a potem nie wiedziałam, co mam zrobić z tym świstkiem papieru, więc zmięłam go i wsadziłam do kieszeni, a kiedy wróciłam do domu, znalazłam zapałki i spaliłam go w zlewozmywaku.

Nagle zamilkła i znów wbiła wzrok w rudy dywan.

– Bardzo mi przykro, Hannah. Naprawdę nie zasłużyłaś na to, co cię spotkało. Musiałaś być bardzo speszona i załamana. Tylko dlaczego przypuszczałaś, że pomyślę sobie źle o tobie, kiedy mi o tym powiesz?

Głosem znacznie młodszym niż głos dwudziestodwuletniej dziewczyny odpowiedziała:

– Powinnam była zachować to w tajemnicy. Postąpiłam nielojalnie.

Hannah i ja kontynuowałyśmy nasze spotkania. Podczas jednego z nich opowiedziała mi o serii dziwnych telefonów.

– Po włamaniu nie byłyśmy w stanie odbierać telefonów. Dzwoniło wielu tak zwanych dziennikarzy i całe mnóstwo wariatów. Teraz mama włączyła automatyczną sekretarkę na stałe. Jeżeli zadzwoni ktoś, z kim będzie chciała porozmawiać, zawsze może podnieść słuchawkę. Myślę, że tak jest lepiej. A nagrania wariatów po prostu kasuje. Ale ostatnio nagrywają jej się sami ćpuni. To wyprowadza ją z równowagi. Dzwonią jacyś maniacy, jeszcze bardziej odjechani niż zwykli wariaci.

– Czy powiedziała ci, czego chcą? – spytałam.

– W pewnym sensie. Jest wtedy tak zdenerwowana, że nie bardzo rozumiem, co mówi do słuchawki, ale z tego, co udało mi się domyślić, oskarżają ojca o handel narkotykami czy coś w tym rodzaju. To wszystko śmiechu warte, ale mama bardzo się przejmuje tym wszystkim. Powiedziała, że domagali się jakichś „informacji" trzymanych w domu. Z tego, co się zorientowałam, powtarzali, że chcą tych „informacji", i grozili, że zrobią mu krzywdę. Ale u nas w domu nic przecież nie ma, to znaczy, nie ma taty, bo siedzi w więzieniu.

– Czy twoja matka zawiadomiła policję o tych nagraniach?

– Nie. Obawia się, że coś takiego przysporzyłoby mu tylko kłopotów.

Przez chwilę nie bardzo wiedziałam, jak zareagować na te słowa. Milczałam, a Hannah kontynuowała:

– Wiem, wiem. To zupełnie bez sensu.

Do końca pierwszego roku studiów Hannah jej matka otrzymała kilkanaście takich niezrozumiałych i przerażających wiadomości, lecz o żadnej z nich nie poinformowała policji.

W maju Hannah postanowiła odwiedzić ojca w więzieniu. Rozmawiałyśmy o tym, jak bolesna emocjonalnie będzie dla niej ta wizyta, ale dziewczyna była zdeterminowana. Kilkakrotnie rozmawiałyśmy o zbliżającej się podróży. Próbowałam przygotować ją na różne sytuacje, z jakimi może mieć do czynienia, a także na uczucia, jakie mogą się pojawić, gdy zobaczy swojego ojca w więzieniu. Ale nic nie mogło przygotować Hannah ani mnie na to, co rzeczywiście się stało. Z perspektywy czasu uważam, że jej ojciec dotarł do punktu, w którym zapragnął pochwalić się komuś swoimi niecnymi postępkami, podobnie jak Skip, gdy postanowił zwabić swoją małą siostrzyczkę nad jezioro. Nie przychodzi mi do głowy żadna inna prawdopodobna przyczyna, dla której ojciec Hannah nagle postanowił tak szczerze porozmawiać z córką. Jeśli chodzi o Hannah, nie powiedziała mi, że zamierza być z ojcem zupełnie szczera. Może nawet sama o tym wcześniej nie wiedziała? Moim zdaniem jej zachowanie podczas odwiedzin w więzieniu stanowi jedną z najlepszych ilustracji, na jakie kiedykolwiek natrafiłam, jak wiele człowiek wie o innym człowieku, mimo że wcale sobie tego nie uświadamia.

Po powrocie do Bostonu zdała mi relację z tej rozmowy. Mam wrażenie, że padło więcej słów, ale Hannah podzieliła się ze mną tym, co przedstawiam poniżej. Zaczęła ze łzami w oczach, opisując okropną i poniżającą rewizję osobistą przed wpuszczeniem do sali widzeń. Potem łzy zniknęły i resztę wydarzeń opowiedziała mi spokojnie, a nawet z pewnym dystansem intelektualnym.

– Obawiałam się, że będzie wyglądał żałośnie, że będzie przybity, ale nic z tych rzeczy. Był w świetnej formie. Wyglądał… Nie wiem, po prostu sprawiał wrażenie, jakby cieszył się życiem. Oczy mu błyszczały. Widywałam go wcześniej w takim stanie, ale raczej nie spodziewałam się czegoś podobnego u człowieka odsiadującego wyrok. Wydawał się zadowolony, że mnie widzi, pytał mnie o oceny. Myślałam, że zapyta o mamę, ale nie zrobił tego. A więc pomyślałam: po co to odkładać? I zapytałam go.

W tym miejscu przerwała, jakbym wiedziała, co ma na myśli, lecz nie wiedziałam.

– O co go zapytałaś?

– Zapytałam go, czego ten facet szukał w naszym domu. Odpowiedział: „Jaki facet?", ale jestem pewna, że wiedział, o kogo mi chodzi. Nie wyglądał na zawstydzonego, na skrępowanego ani nic w tym rodzaju. Powiedziałam, że chodzi mi o mężczyznę, którego zastrzelił. Nawet nie mrugnął. Powiedział tylko: „Aha, tego. Szukał jakichś nazwisk. Ale ich nie znalazł. To wiem na

pewno”.

Dotąd Hannah unikała mojego wzroku. Teraz spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– Pani doktor, miał taki wyraz twarzy… Wyglądał tak, jakbyśmy rozmawiali o czymś naprawdę *zabawnym*. Chciałam stamtąd uciekać, ale się powstrzymałam.

– Nie wiedziałam, że masz zamiar zapytać go o to. Jesteś niesamowita.

– To było straszne – kontynuowała, jakby nie usłyszała mojego komplementu. – Zapytałam: „Więc znałeś go?”, a on odpowiedział: „Pewnie, że go znałem. Dlaczego miałbym zabijać zupełnie obcą osobę?”. A potem się roześmiał. On się *z tego śmiał*, pani doktor…

Wciąż mówiła bezpośrednio do mnie, lecz z dużym dystansem emocjonalnym wobec opisywanych wydarzeń. Ciągnęła:

– Potem spytałam: „Czy to znaczy, że rozprowadzasz heroinę?”. Na to mi nie odpowiedział. Tylko stwierdził, że jestem bystra. Uwierzy pani? Powiedział mi, że jestem bystra.

Pokręciła głową z niedowierzaniem i zamilkła na chwilę. Po chwili zachęciłam ją, by mówiła dalej.

– Czy zadałaś ojcu jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Zapytałam go, czy zabił jeszcze kogoś innego. I wie pani, co odpowiedział?

Znów zamilkła.

– Nie, nie wiem – odparłam po chwili. – Co takiego?

– Odpowiedział: „Powołuję się na piątą poprawkę”.

Dopiero po tych słowach Hannah znów się rozpłakała, tym razem na całego. Jej rozdzierający ból, żal za ojcem, który okazał się zupełnie obcą osobą, przypomniał mi słowa Emersona: „Spośród wszystkich sposobów utraty bliskiej osoby śmierć jest najłagodniejsza”.

Łkała bardzo długo, ale z ulgą zobaczyłam, że gdy się już wypłakała, zaczęła myśleć o własnym bezpieczeństwie. Otarła twarz chusteczkami higienicznymi wyciągniętymi z pudełka, spojrzała na mnie i powiedziała spokojnie:

– Prawnicy chcą go wydostać z więzienia, wie pani? Co ja teraz zrobię?

– Zadbasz o swoje bezpieczeństwo, Hannah. – W swoim głosie usłyszałam wściekłość zatroskanej matki, choć zazwyczaj nie pozwalam sobie na coś takiego podczas sesji terapeutycznych.

JAK POSTĘPOWAĆ Z OSOBAMI POZBAWIONYMI SUMIENIA

Socjopaci wcale nie są nieliczną grupą, wręcz przeciwnie, stanowią niemały odsetek naszych społeczeństw. Przeciętny mieszkaniec zachodniego świata w ciągu swojego życia pozna przynajmniej jedną taką osobę, chociaż nie zawsze będzie to ktoś z grona najbliższych tak jak w przypadku Hannah.

Ludzie pozbawieni sumienia przeżywają emocje zupełnie inaczej niż normalni ludzie. W ogóle nie odczuwają miłości ani innych pozytywnych więzi z bliźnimi. Ten deficyt uczuć, który trudno sobie nawet wyobrazić, zmienia ich życie w niekończącą się grę polegającą na próbach zdominowania innych ludzi. Niektórzy socjopaci nie stronią od przemocy, jak na przykład ojciec Hannah. Często jednak nie okazują agresji – wolą „podporządkowywać" sobie innych ludzi w świecie biznesu, wolnych zawodów lub w rządzie, bądź po prostu wykorzystują po kolei pojedyncze osoby, wchodząc w pasożytnicze relacje, jak Luke, niby-mąż Sydney.

Obecnie tę przypadłość uznaje się za „nieuleczalną", co więcej, socjopaci prawie nigdy nie chcą się „leczyć". Na podstawie pewnych neurobiologicznych uwarunkowań socjopatii można wręcz domniemywać, że niektóre kultury, zwłaszcza nasza zachodnia, aktywnie promują zachowania antyspołeczne, takie jak przemoc, morderstwa i podżeganie do wojny.

Większości ludzi trudno się pogodzić z tymi faktami. Naruszają one nasze poczucie przyzwoitości, nie mają nic wspólnego z egalitaryzmem i przerażają. Ale zrozumienie ich i pogodzenie się z nimi jako realnie istniejącą cechą naszego świata jest zasadą numer jeden spośród trzynastu zasad postępowania z socjopatami w życiu codziennym; przedstawiam je pacjentom takim jak Hannah, a także innym osobom pragnącym chronić siebie i tych, których kochają.

Oto wspomniane zasady.

Trzynaście zasad postępowania z socjopatami w życiu codziennym

1. *Należy się pogodzić z faktem, że niektórzy ludzie po prostu nie mają sumienia.*

   Wcale nie muszą przypominać z wyglądu Charlesa Mansona ani barmana z planety Ferenginar[3]. Wyglądają tak samo jak my.

2. *W razie zaistnienia sprzeczności między tym, co podpowiada wam instynkt, a implikacjami społecznymi funkcji pełnionej przez taką osobę – wychowawcy, lekarza, lidera, miłośnika zwierząt, humanisty, rodzica – posłuchajcie głosu instynktu.*

   Czy tego chcemy, czy nie, nieustannie obserwujemy zachowania innych ludzi, a nasze nieocenzurowane wrażenia, choć niepokojące i pozornie dziwne, mogą nam pomóc, jeżeli im na to pozwolimy. Instynktownie i bez dodatkowych wyjaśnień wiemy, że ekspresyjne, sugerujące moralną wyższość tytuły nie przydadzą sumienia nikomu, kto od początku był go całkowicie pozbawiony.

3. *Gdy zastanawiamy się nad wejściem w jakikolwiek nowy związek, zastosujmy regułę trójek w odniesieniu do stwierdzeń i obietnic składanych przez interesującą nas osobę oraz do tego, jak traktuje ona swoje obowiązki. Stosujmy tę regułę we wszystkich kontaktach osobistych.*

Jedno kłamstwo, jedną złamaną obietnicę lub pojedyncze zaniedbanie można przypisać nieporozumieniu. Dwa zapewne oznaczają poważny błąd. Ale *trzy* kłamstwa mówią, że mamy do czynienia z patologicznym kłamcą, a oszukiwanie stanowi zasadniczą cechę jego zachowania. Ograniczajmy straty i wycofajmy się z tej relacji tak szybko, jak to tylko możliwe. Podjęcie takiej decyzji nie przyjdzie nam lekko, lecz i tak będzie łatwiejsze niż później, ponadto będzie nas mniej kosztować.

Nie powierzajmy pieniędzy, owoców naszej pracy, tajemnic ani uczuć osobie, która trzy razy złamała dane słowo. Nasze cenne dary zostaną zmarnowane.

4. *Kwestionujmy rzekome autorytety.*

Ufajmy własnemu instynktowi i obawom, zwłaszcza dotyczącym ludzi, którzy twierdzą, że dominacja nad innymi, przemoc, wojna lub inny postępek sprzeczny z głosem naszego sumienia stanowi najlepsze rozwiązanie jakiegoś problemu. Postępujmy tak nawet wtedy lub zwłaszcza wtedy, gdy wszyscy wokół nas zupełnie *przestali* kwestionować autorytety. Powtarzajmy sobie to, co Stanley Milgram powiedział kiedyś o posłuszeństwie: „Przynajmniej sześć na dziesięć osób jest skłonnych podporządkować się do samego końca odpowiednio wyglądającej, stojącej za ich plecami osobie".

Dobra wieść jest taka, że dzięki wsparciu społecznemu ludzie są nieco bardziej skłonni do podważania autorytetów[4]. Zachęcajmy otaczające nas osoby do takiego postępowania.

5. *Uważajmy na pochlebstwa.*

Komplementy sprawiają nam radość, zwłaszcza gdy są szczere. W przeciwieństwie do nich *pochlebstwa* w nierealistyczny, przesadny sposób opisują coś, co zrobiliśmy, łechtając naszą próżność. Są materiałem, z którego uszyto fałszywy wdzięk, a ich zastosowanie prawie zawsze wiąże się z zamiarem manipulacji. Manipulacja poprzez pochlebstwa czasami bywa nieszkodliwa, a kiedy indziej groźna. Wyjdźmy poza nasze połechtane ego i wystrzegajmy się pochlebców.

Ta zasada stosuje się nie tylko do pojedynczych osób, lecz także do grup ludzi, a nawet do całych narodów. W całej historii ludzkości aż do chwili obecnej nawoływania do walki składały się niemal wyłącznie z pochlebstw: nasze siły zwyciężą, zmienią świat na lepsze, odniosą moralnie chwalebny, jedyny w swoim rodzaju triumf, walkę uzasadniają względy humanitarne, a podjęty wysiłek stanowi przejaw szlachetności i dlatego zasługuje na ogromną wdzięczność. Od zarania pisanych dziejów ludzkości wszystkie strony konfliktów ujmowały toczone przez siebie wielkie wojny właśnie w takich kategoriach. We wszystkich językach rzeczownik *wojna* najczęściej kojarzy się z przymiotnikiem *święta*. Można łatwo uzasadnić twierdzenie, że na świecie zapanuje pokój, gdy narody wreszcie dostrzegą, co tak naprawdę kryje się za tym jakże zręcznym pochlebstwem.

Osoba napompowana pochlebstwami przez manipulatora co najwyżej zachowa się nierozsądnie, lecz napędzany nimi rozbuchany patriotyzm tłumów jest czymś naprawdę groźnym.

6. *W razie konieczności zmieńmy naszą definicję pojęcia szacunku.*

Zbyt często bierzemy strach za szacunek, a im bardziej się kogoś obawiamy, tym bardziej postrzegamy go jako postać zasługującą na poważanie.

Mam cętkowanego kota bengalskiego, którego moja córka w dzieciństwie nazwała Kulturysta, bo nawet jako maleństwo przypominał wyglądem zawodowego zapaśnika. Teraz

jest znacznie większy niż inne koty domowe. Groźne pazury Kulturysty przywodzą na myśl jego azjatyckich przodków – lamparty, lecz on ma łagodne usposobienie i lubi spokój. Mój sąsiad ma małą, trójbarwną kotkę, która czasami nas odwiedza. Kocica najprawdopodobniej emanuje jakimś złowróżbnym, drapieżnym urokiem, bo gdy tylko zbliży się do Kulturysty na mniej niż piętnaście metrów, siedmiokilowy kocur kuli się ze strachu przed ważącą niewiele ponad trzy kilogramy kotką.

Kulturysta jest wspaniałym kotem. Jest ciepły, pełen miłości i bardzo go lubię. Mimo to chciałabym wierzyć, że niektóre jego reakcje są bardziej prymitywne niż moje. Nie chciałabym tutaj mylić strachu z szacunkiem, ponieważ gdyby tak było, łatwo stałabym się ofiarą osób pozbawionych sumienia. Użyjmy naszych wspaniałych ludzkich mózgów, by przezwyciężyć naszą zwierzęcą skłonność do kłaniania się drapieżnikom. Dzięki temu uda nam się uwolnić z odruchowo utożsamianych ze sobą lęku i respektu. W doskonałym świecie automatycznie reagowalibyśmy szacunkiem tylko na osoby silne, życzliwe i moralnie odważne. Osoba, która odnosi korzyść ze wzbudzania w nas lęku, najpewniej nie może się pochwalić żadną z tych cech.

Odróżnianie szacunku od lęku odgrywa jeszcze ważniejszą rolę w wypadku grup ludzi i narodów. Polityk, przyziemny czy wzniosły, który nieustannie straszy innych rosnącą przestępczością, przemocą lub terroryzmem, a następnie wykorzystuje wywołany przez siebie lęk do podporządkowywania sobie innych, odniesie sukces jako oszust, lecz nie zasłuży na miano prawowitego przywódcy. Ta prawda także znalazła potwierdzenie w historii ludzkości.

7. *Nie podejmujmy gry.*

   Intryga jest narzędziem w rękach socjopaty. Oprzyjmy się pokusie konkurowania z uwodzicielskim socjopatą, przechytrzenia go, poddania go psychoanalizie, a nawet przekomarzania się z nim. W przeciwnym razie zniżymy się do jego poziomu i przestaniemy zwracać uwagę na to, co naprawdę ważne, czyli na własne bezpieczeństwo.

8. *Najlepszym sposobem obrony przed socjopatą jest unikanie go, odmawianie wszelkich kontaktów i niepodejmowanie z nim żadnych dyskusji.*

   Psychologowie zazwyczaj nie zalecają nikomu unikania czegokolwiek, ale tym razem celowo robię wyjątek. Jedynym naprawdę skutecznym sposobem radzenia sobie ze zidentyfikowanym przez nas socjopatą jest całkowite wykluczenie go z naszego życia. Socjopaci nie przestrzegają żadnych umów społecznych, a zatem włączanie ich w jakikolwiek związek osobisty lub inną relację społeczną to igranie z ogniem. Tego rodzaju wykluczanie należy rozpocząć i we własnych relacjach, i w życiu towarzyskim. Nie zranimy w ten sposób niczyich uczuć. Socjopaci nie mają uczuć, chociaż niekiedy próbują udawać, że jest inaczej.

   Może się zdarzyć, że nigdy nie będziemy w stanie wyjaśnić rodzinie ani przyjaciołom, dlaczego unikamy danej osoby. Socjopatę zaskakująco trudno zauważyć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć innym jego zachowanie. Mimo to nie zmieniajmy naszej decyzji.

   Jeżeli nie możemy zupełnie zerwać z nim kontaktów, powinniśmy postępować tak, by jak najbardziej zbliżyć się do tego celu.

9. *Pohamujmy skłonność do zbyt łatwego litowania się nad innymi.*

   Powinniśmy okazywać szacunek ludziom życzliwym i moralnie odważnym. *Litość* to

kolejna społecznie wartościowa reakcja. Zarezerwujmy ją więc dla ludzi niewinnych, naprawdę cierpiących lub dotkniętych nieszczęściem. Jeżeli natomiast często będziemy okazywać współczucie komuś, kto nieustannie rani nas lub innych ludzi i jednocześnie aktywnie domaga się od nas współczucia, prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z socjopatą, jest bliskie stuprocentowej pewności.

W związku z tym zalecam, byśmy poważnie przemyśleli naszą gotowość do okazywania *uprzejmości* absolutnie we wszystkich sytuacjach. W naszej kulturze osoby dorosłe odruchowo zachowują się w sposób uznawany za „kulturalny" nawet wtedy, gdy ktoś rozwścieczył je, wielokrotnie okłamał czy w przenośni wbił im nóż w plecy. Socjopaci z niesłychaną zręcznością wykorzystują tę instynktowną uprzejmość w sytuacjach mogących przynieść im korzyści.

Nie obawiajmy się, przestańmy się uśmiechać i spokojnie przejdźmy do rzeczy.

10. *Nie próbujmy ratować tego, co stracone.*

Drugą (a także trzecią, czwartą i piątą) szansę można dać ludziom mającym sumienie. Jeżeli mamy do czynienia z osobą go pozbawioną, musimy się nauczyć przełykać gorzką pigułkę i ograniczać poniesione straty.

Prędzej czy później większość z nas poznaje pewną ważną, chociaż rozczarowującą życiową prawdę: bez względu na to, jak dobre mamy zamiary, nie możemy kontrolować zachowania innych ludzi, nie wspominając o wpływaniu na ich charakter. Pamiętajmy o tym i nie próbujmy kontrolować innych, czyli paradoksalnie robić tego, na czym tak bardzo zależy socjopatom.

Jeżeli nie pragniemy kontrolować innych, lecz naprawdę chcemy im *pomagać*, pomagajmy tylko tym, którzy naprawdę tego pragną. Jak już wiemy, to zalecenie nie dotyczy osób niemających sumienia.

Nie mamy żadnego wpływu na zachowanie socjopaty, więc jego korygowanie również nie jest naszym zadaniem. *Naszym* zadaniem jest kształtowanie naszego własnego życia.

11. *Nigdy nie zgadzajmy się – ani z litości, ani z żadnej innej przyczyny – pomagać socjopacie w ukrywaniu jego prawdziwego charakteru.*

„Proszę, nie mów nikomu" – te charakterystyczne słowa często ze łzami w oczach i ze zgrzytaniem zębów wypowiadają złodzieje, pedofile i socjopaci. Nie słuchajmy ich syrenich pieśni. Inni ludzie o wiele bardziej zasługują na ostrzeżenie, niż socjopaci zasługują na utrzymywanie swoich postępków w sekrecie.

Jeżeli osoba pozbawiona sumienia utrzymuje, że jesteśmy jej coś „winni", pamiętajmy, że właśnie za pomocą tych słów socjopaci wykorzystują nas od tysięcy lat. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Te same słowa Rasputin powtarzał rosyjskiej carycy, to samo ojciec Hannah sugerował córce po szczerej rozmowie w więzieniu.

Mamy skłonność do interpretowania słów: „Jesteś mi to winien", jako przypomnienia o zaciągniętym przez nas zobowiązaniu, ale takie zobowiązanie po prostu nie istnieje. Nie dajmy sobie wmówić, że jest inaczej. Nie zwracajmy również uwagi na słowa: „Jesteście tacy jak ja". Nie jesteśmy.

12. *Brońmy naszej psychiki.*

Nie pozwólmy, by ktoś bez sumienia, a nawet kilka takich osób, przekonały nas, że

wszyscy ludzie to dranie. Większość z nas *naprawdę* ma sumienie. Większość ludzi naprawdę *potrafi* kochać.

3. *Dobre życie to najlepsza zemsta.*

EPILOG

Nadal co jakiś czas widuję Hannah.

Jej ojciec został zwolniony warunkowo z więzienia, lecz nie spotkała się z nim, nawet nie rozmawiała z nim od sześciu lat. Zerwanie kontaktu z ojcem, jak również wydarzenia, które do tego doprowadziły, pozostają dla niej źródłem nieopisanego bólu.

Jej rodzice się rozwiedli, i to wcale nie z powodu przestępczej działalności byłego dyrektora liceum, bo zarówno matka Hannah, jak i reszta miejscowej społeczności nadal wzbraniają się przed przyjęciem tego faktu do wiadomości. Żona przyłapała go w łóżku z dziewiętnastoletnią byłą uczennicą.

Hannah ukończyła studia medyczne z wyróżnieniem, co świadczy o jej inteligencji i harcie ducha. Ale szybko odkryła coś oczywistego – że to ambicja ojca pchnęła ją na ten kierunek, a nie jej własne zainteresowania. To on uważał medycynę za szczyt prestiżu.

Mimo tak wielu przeciwności Hannah nie utraciła zdolności do nawiązywania bliskich więzi z ludźmi godnymi zaufania i umiejącymi kochać. Nie utraciła też ironicznego poczucia humoru. Gdy zrezygnowała z medycyny, powiedziała mi, że jej zdaniem przysięga lekarska „po pierwsze, nie szkodzić” po prostu zupełnie nie pasowała do jej ojca.

Złożyła podanie na studia prawnicze i została przyjęta przez kilka uniwersytetów. Wybrała wydział oferujący specjalizację w dziedzinie ochrony praw człowieka.

---

[1] ACLU (American Civil Liberties Union) – amerykańska organizacja działająca na rzecz ochrony praw i swobód obywatelskich gwarantowanych przez Konstytucję (przyp. tłum.).

[2] NRA (National Rifle Association of America) – amerykańska organizacja propagująca prawo obywateli do posiadania broni palnej oraz wykorzystywania jej do polowań i samoobrony (przyp. tłum.).

[3] Przedstawicieli fikcyjnej rasy Ferengów z serialu *Star Trek* motywuje do działania wyłącznie chęć zysku (przyp. tłum.).

[4] *Obedience to Authority. Current Perspectives on the Milgram Paradigm*, red. T. Blass, New Jersey 2000.

9

POCHODZENIE SUMIENIA

Dlaczego jakiekolwiek zwierzę, określone i oznaczone wszelkiego rodzaju znamionami jako odrębna istota, miałoby zupełnie z własnej woli porzucić swoje życie po to, by pomóc komuś innemu?
LEWIS THOMAS

Z bardzo wiarygodnego źródła wiemy, że w naturze kły i pazury spływają krwią[1], więc dlaczego nie wszystkie istoty ludzkie są mordercami jak ojciec Hannah? Dlaczego większość z nas przeważnie postępuje zgodnie ze wskazaniami siódmego zmysłu, który zabrania nam zabijać nawet wtedy, gdy mogłoby nam to przynieść korzyść? To zastrzeżenie stosuje się również do drobniejszych wykroczeń: dlaczego zwykle czujemy się winni, gdy kradniemy, kłamiemy albo krzywdzimy innych ludzi?

Omówiliśmy już przyczyny socjopatii, dlatego teraz należałoby się zastanowić nad pochodzeniem sumienia. Z pewnego punktu widzenia jest to o wiele celniejsze i bardziej kłopotliwe pytanie, wymaga więc nieco innego podejścia. Odkąd Darwin w 1859 roku opublikował swoje dzieło *O pochodzeniu gatunków*, wielu teoretyków uznało, że wszystkie żywe istoty, włącznie z ludźmi, ewoluowały zgodnie z prawem doboru naturalnego. Prawo to, znane szerzej jako prawo dżungli, głosi, że wszelkie cechy zwiększające szanse przeżycia i reprodukcji (a tym samym przekazania kolejnym pokoleniom własnego materiału genetycznego) mają tendencję do utrzymywania się w analizowanych populacjach. Jeżeli pewna cecha fizyczna lub behawioralna dostarcza przedstawicielom danego gatunku tego rodzaju korzyści przez całe pokolenia w wielu sytuacjach i w różnych siedliskach, to może ona stopniowo, po bardzo długim czasie stać się częścią standardowego genotypu tego gatunku.

Zgodnie z prawem doboru naturalnego tygrysy mają pazury, kameleony zmieniają kolory, szczury unikają otwartych przestrzeni, oposy udają martwe, małpy mają duże mózgi, ponieważ tygrysy wyposażone w pazury, kamuflujące się jaszczurki, skryte gryzonie, sprytne oposy i bardzo inteligentne naczelne z reguły żyją dłużej, a więc płodzą więcej potomstwa niż ich odpowiedniki nieobdarzone tymi cechami. Z kolei potomstwo lepiej przystosowanych rodziców przeżywa w większych ilościach i rozmnaża się częściej niż ich mający mniej szczęścia rówieśnicy, których natura nie obdarzyła naturalną bronią, technikami kamuflażu, lękiem sprzyjającym przetrwaniu, zdolnościami aktorskimi ani ponadprzeciętną inteligencją.

Lecz zgodnie z tym całkowicie amoralnym prawem dżungli, jaką korzyść odnoszą przedstawiciele drapieżnego gatunku – bo z technicznego punktu widzenia istoty ludzkie

zaliczają się do drapieżników – z ograniczeń narzucanych im przez interwencję potężnego zmysłu moralnego? Wyobraźmy sobie na przykład ogromnego żarłacza białego wyposażonego w wymagające sumienie. Jak długo przeżyje? Jakie więc mogły być ewolucyjne początki ludzkiego sumienia?

Przeformułujmy to niezwykłe pytanie. Wyobraźmy sobie grupę ludzi dysponujących ograniczonymi zasobami, pozostawionych własnemu losowi na małej, samotnej wyspie. Którzy z nich będą mieli większe szanse na przetrwanie w dłuższej perspektywie czasowej – jednostki uczciwe, moralne czy też osoby bezwzględne, takie jak Skip? Życzliwa i pełna empatii Jackie Rubenstein czy raczej Doreen Littlefield? Sydney czy nieustannie skupiony na sobie Luke? Hannah czy jej ojciec? Gdyby na wyspie było kilku innych przedstawicieli gatunku ludzkiego, z którymi ocaleni mogliby mieć dzieci – i biorąc pod uwagę fakt, że socjopatia jest przynajmniej częściowo uwarunkowana genetycznie – czy po bardzo wielu pokoleniach wyspy nie zamieszkiwaliby głównie osobnicy bez sumienia? Czy powstała w ten sposób populacja socjopatów nie zużyłaby bezmyślnie wszystkich zasobów naturalnych na wyspie, co doprowadziłoby wszystkich do zagłady? Rozpatrzmy teraz odmienny przypadek. Jeżeli na wyspie mimo grożących zewsząd niebezpieczeństw i bezwzględności współmieszkańców nadal można byłoby spotkać osoby mające sumienie, jaka cecha ich środowiska sprzyjałaby odtwarzaniu zmysłu moralnego?

Właśnie ze względu na ten pozornie niemożliwy do odparcia argument przeciwko teorii ewolucji przyrodnicy, socjobiologowie, psychologowie porównawczy i filozofowie od dawna interesują się pochodzeniem bezinteresowności u ludzi i innych zwierząt. Gdy uważnie obserwujemy zachowania tak zwanych wyższych zwierząt, dostrzegamy pozornie niedającą się pogodzić sprzeczność między egoistyczną walką o przetrwanie a intensywnym utrzymywaniem kontaktów społecznych. Oczywiście tego rodzaju sprzeczność nigdzie nie przybiera skrajniejszych postaci niż u przedstawicieli gatunku ludzkiego. Zaciekle konkurujemy z innymi i uczymy nasze dzieci tego samego. Wydajemy pieniądze na wojny oraz na broń masowego rażenia. Utrzymujemy jednak również fundacje, programy opieki społecznej oraz schroniska dla bezdomnych i staramy się uczyć nasze dzieci – te same dzieci – życzliwości dla innych.

Nasz gatunek wydał zarówno Napoleona, jak i matkę Teresę z Kalkuty. Lecz zgodnie z fundamentalistyczną wersją teorii ewolucji matka Teresa nie powinna była się w ogóle urodzić, bo ani miłość bliźniego, ani poczucie dobra i zła nie mają nic wspólnego z prawem dżungli. Więc co się właściwie dzieje? Jak pytał David Papineau w swojej wydrukowanej w „New York Timesie" recenzji książki Matta Ridleya *O pochodzeniu cnoty*: „Jeżeli w czasach, gdy nasi przodkowie rozglądali się po afrykańskiej sawannie za czymś do zjedzenia, tym dobrym zawsze przypadały ostatki, dlaczego teraz moralność przychodzi nam tak naturalnie?"[2].

Poza tym ludzie wcale nie są jedynymi zwierzętami, które potrafią się zdobyć na bezinteresowność. Na widok drapieżnika gazele Thomsona zaczynają w charakterystyczny sposób podskakiwać w miejscu. To zachowanie zmniejsza ich indywidualne szanse na przeżycie, lecz pomaga uciec reszcie stada. Szympansy dzielą się nie tylko mięsem, lecz niekiedy także najsmaczniejszymi owocami. Zdaniem psychobiologa Fransa de Waala kruki przekazują informacje innym członkom stada o odkryciu padliny głośnym skrzekiem, co naraża je na atak wilków[3].

Jeżeli chodzi o przetrwanie, istnieje wyraźny konflikt interesów między jednostką a stadem/wspólnotą/gromadą. Argumenty dotyczące pochodzenia tego, co psychologowie

ewolucyjni nazywają „zachowaniami altruistycznymi”, zasadniczo dotyczą *jednostki doboru* w ewolucji. Czy dobór naturalny „preferuje” przetrwanie jednostek, czy też raczej działa na poziomie grup, a tym samym sprzyja przetrwaniu pewnych populacji kosztem innych?

Jeżeli „przetrwanie najlepiej przystosowanych” odnosi się tylko do pojedynczych przedstawicieli jako jednostki doboru, utrzymywania się altruizmu w toku ewolucji zasadniczo nie da się uzasadnić z tej samej przyczyny, dla której agresywni Skip, Doreen, Luke i ojciec Hannah jako jednostki faktycznie przetrwaliby na bezludnej wyspie dłużej niż ktokolwiek z nas. Jeżeli jednak jednostką doboru jest grupa jako całość, wówczas występowanie altruizmu można wytłumaczyć. Po prostu grupa złożona z jednostek współpracujących ze sobą i troszczących się o siebie nawzajem ma o wiele większe szanse przetrwania *jako całość* niż jako zbiorowość osób mogących tylko konkurować ze sobą lub ignorować siebie nawzajem. Innymi słowy, największe szanse na przetrwanie ma grupa działająca do pewnego stopnia jako całość, a nie jako zbiorowisko jednostek, z których każda dąży do podporządkowania sobie innych.

Teoria doboru grupowego, a także wszystkie implikacje jej założeń dla prawdziwej natury człowieka wciąż stanowią źródło poważnych kontrowersji wśród ewolucjonistów, co z kolei odzwierciedla fakt, że również teoria ewolucji nie przestaje ewoluować. Wczesne wersje teorii doboru grupowego dopuszczały istnienie na początku spójnych grup altruistycznych jednostek (ssaków wydających sygnały ostrzegawcze, ptaków zwracających uwagę reszty stada na obecność pożywienia, wielkodusznych naczelnych itd.), których skład sprzyjał doborowi grupowemu. To dość słabo uzasadnione założenie – nie bardzo wiadomo, skąd miały się wziąć te grupy altruistów – irytowało wielu uczonych, którzy potępili je jako przykład niewłaściwego uprawiania nauki.

W 1966 roku George C. Williams z Uniwersytetu w Chicago opublikował uznawany obecnie za klasyczny tekst zatytułowany *Adaptation and Natural Selection* (Adaptacja i dobór naturalny), w którym stwierdził, że chociaż dobór grupowy był teoretycznie możliwy, to jednak prawdopodobieństwo jego wystąpienia w przyrodzie należy uznać za nikłe[4]. Williams pisał, że ani grupa, ani jednostka nie jest podstawową jednostką doboru naturalnego, uznał bowiem, że jest nią gen. U stworzeń rozmnażających się drogą płciową, w przeciwieństwie do organizmów wytwarzających klony, tylko gen dokładnie (mniej więcej) powiela się w czasie. Dzieci nie są dokładnymi kopiami swoich rodziców, lecz pojedyncze geny stanowią dość wierne repliki samych siebie. Tak więc, podkreśla Williams, dobór naturalny może efektywnie wykorzystać tylko geny. Innymi słowy, „przetrwanie najlepiej przystosowanych” oznacza przetrwanie najsilniejszych genów (lub raczej informacji w nich zakodowanych), niekoniecznie najsilniejszych zwierząt lub grup. Według Williamsa jednostki i ich grupy pełniły tylko funkcję tymczasowych nośników informacji genetycznych.

Dziesięć lat później, w 1976 roku, we wciąż popularnej książce zatytułowanej *Samolubny gen* Richard Dawkins[5] rozszerzył odwołującą się do genów teorię Williamsa i koncepcję *doboru krewniaczego* W.D. Hamiltona[6], co paradoksalnie wyjaśnia ewolucję bezinteresownych zachowań na poziomie osobniczym z odniesieniem do koncepcji „egoizmu” na poziomie genetycznym. Jest to dość intrygująca koncepcja zasługująca na bliższe wyjaśnienie.

Dobór krewniaczy oznacza, że fragmentom garnituru genetycznego danej osoby (jedynej części człowieka mającej szansę na „nieśmiertelność”, by się tak wyrazić) wiedzie się lepiej, jeżeli osoba ta troszczy się nie tylko o własne przeżycie i reprodukcję, lecz także o inne osoby, z którymi dzieli część swojego materiału genetycznego. Jeżeli zachowuje się ona wielkodusznie

i broni swoich krewnych, zwiększa szanse na przeżycie i reprodukcję własnych genów w kolejnych pokoleniach, ponieważ to właśnie z krewnymi dzieli ich najwięcej.

Oczywiście określenie „samolubny gen” wcale nie sugeruje, że DNA to myślący, czujący byt zdolny do realizacji własnych zamierzeń. Dawkins używa tego terminu jako metafory. Chodzi mu o to, że cechy każdego gatunku zależą od genów każących jego przedstawicielom myśleć, czuć i zachowywać się w sposób maksymalizujący szanse przetrwania informacji zawartych w puli genowej niezależnie od wpływu tych myśli, uczuć i zachowań na pojedyncze osobniki. Na przykład jeżeli mój mózg pozwala mi tworzyć więzi emocjonalne, a ja żywię wobec moich kuzynów ciepłe uczucia i dzielę się z nimi zdobytymi przez siebie owocami, moje życie jako jednostki może ulec skróceniu, lecz szanse przetrwania moich genów w populacji w rzeczywistości wzrastają, ponieważ z każdym z moich kuzynów dzielę część swojego materiału genetycznego. A geny, które wniosłam w pulę genów dzięki wydłużeniu życia moich kuzynów, zapewne zawierają również geny umożliwiające tworzenie więzi emocjonalnych.

Innymi słowy, geny warunkujące wchodzenie w związki emocjonalne są „samolubne” w tym sensie, że istnieją po to, by się powielać, co więcej, jest tak bez względu na dobrostan, a nawet na dalsze istnienie konkretnego osobnika. Przypomnę tu znane słowa Samuela Butlera: „Kura to sposób umożliwiający jajku tworzenie kolejnych jajek”.

Zdaniem licznych teoretyków ewolucji największą część materiału genetycznego dzielimy z naszymi rodzicami, rodzeństwem i dziećmi, dlatego dobór krewniaczy tłumaczy fakt, że z reguły zachowujemy się bardziej bezinteresownie wobec naszych rodziców, rodzeństwa i dzieci niż wobec naszych dalszych krewnych lub zupełnie obcych osób. Ponadto teoria doboru krewniaczego wyjaśnia, dlaczego pielęgnujemy i chronimy nasze potomstwo pomimo faktu, że takie postępowanie odbiera nam energię i zużywa środki potrzebne do przetrwania. Z tego punktu widzenia *sumienie* można zdefiniować jako genetycznie zaprogramowany mechanizm, dzięki któremu nie lekceważymy dodatkowych małych pakietów naszego materiału genetycznego chodzących na innych nogach niż nasze.

Jeżeli zaś chodzi o wpływ naszego genetycznie zaprojektowanego zmysłu sumienia na wspomnianych już dalszych krewnych i obce osoby, w wersji doboru naturalnego zaproponowanej przez ewolucjonistów genetyków geny kształtujące „wzajemny altruizm”, czyli zachowania o sumie niezerowej (ja wygrywam, ty wygrywasz), takie jak podział pracy, poszukiwania przyjaciół, współpraca i unikanie konfliktu, mają uprzywilejowaną pozycję. W opisywanych zachowaniach pośredniczą emocje, na przykład wdzięczność, współczucie i sumienie, co z kolei sugeruje przewagę kodujących je genów w procesie naturalnej selekcji.

Inni teoretycy ewolucji, tacy jak David Sloan Wilson i Stephen Jay Gould, powrócili do idei doboru grupowego, apelując do przedstawicieli zarówno nauk biologicznych, jak i behawioralnych o przyznanie, że w rzeczywistości ewolucja mogła przebiegać na większej liczbie poziomów niż tylko na poziomie genetycznym. Przyrodnik Gould ponownie analizuje dowody dostarczone przez paleontologię i twierdzi, że dobór naturalny działa na wielu poziomach – od genu przez osobnika do grupy, a nawet, lub zwłaszcza, do całych gatunków[7]. Jego zdaniem siły działające znacznie szybciej i nie tak stopniowo jak dobór naturalny, na przykład katastrofy o zasięgu globalnym lub prawie globalnym, w istotny sposób wpływały na przebieg ewolucji i mogą uczynić to ponownie.

Poszczególne poziomy doboru naturalnego najprawdopodobniej nie są ze sobą skoordynowane, szczególnie w odniesieniu do altruistycznych zachowań i emocji takich jak

sumienie. Na poziomie genu, a także na poziomie grupy, sumienie ma charakter adaptacji, dobór naturalny będzie mu więc sprzyjał. Lecz na poziomie osobniczym *brak* sumienia może niekiedy stanowić cechę bardziej sprzyjającą adaptacji, a więc zwiększającą szanse przetrwania. W ten sposób natura nieustannie wspiera rozwój sumienia u większości z nas, lecz na innym poziomie nieustannie odtwarza niewielki odsetek osób, które doskonale sobie radzą bez neurobiologicznych korzeni więzi emocjonalnych i sumienia.

Jak powiedział ewolucjonista David Sloan Wilson: „Istnieją przekonujące argumenty zarówno teoretyczne, jak i praktyczne przemawiające za odróżnianiem zachowań osiągających swój cel poprzez wzmacnianie spójności na poziomie grupy od zachowań osiągających swój cel poprzez zakłócanie spójności na poziomie grupy. Właśnie w tym sensie w języku potocznym używamy takich słów jak »samolubny« i »bezinteresowny«, »moralny« i »niemoralny«”[8]. Tymi słowami Wilson opisuje tę samą zdumiewającą i aż nazbyt znajomą dychotomię: większość, której myśli i uczucia podpowiadają, że trzeba łagodzić konflikty, dzielić się zasobami i kochać innych, oraz korzystającą z konfliktów mniejszość, dla której życie sprowadza się do nieustającego pasma zmagań o dominację.

Jak się okazuje, nawet na najniższym poziomie organizacji życia walka między dobrem a złem jest starsza niż ludzkość. Najprawdopodobniej ta batalia osiągnie swoje apogeum w naszych czasach, a jej ostateczne rozstrzygnięcie będzie zależeć od tego, czy sprostamy gigantycznym wyzwaniom, jakie ludzkość postawiła przed światem. Zalicza się do nich także problem socjopatii. Dopiero zaczynamy rozumieć, że dobór naturalny sprzyja występowaniu pewnego odsetka altruistów w populacjach ludzkich. Cichy głos sumienia pomógł ukształtować ludzkość jako gatunek obdarzony zdolnością do kochania, a jego przedstawiciele utrzymują ze sobą zasadniczo pozytywne więzi emocjonalne. Opis ten stosuje się do przynajmniej 96 procent spośród nas. Na razie nie bardzo jednak wiadomo, jak poradzimy sobie z problemami związanymi z przetrwaniem gatunku, jakich przysparza nam pozostałe 4 procent.

DYLEMAT HEINZA

Przechodząc od psychologii ewolucyjnej do psychologii rozwojowej, natrafiamy na intrygującą kwestię rozwoju sumienia u dzieci. Czy sumienie rozkwita naturalnie w ich umysłach w miarę dojrzewania pozostałych zdolności poznawczych, czy też wykształca się w nich w odpowiedzi na życiowe doświadczenia, na formacyjne oddziaływanie rodzin, społeczeństw i kultur?

Jak dotąd nie badano pod tym kątem sumienia jako emocji, ale ciekawych wniosków dostarcza nam jego partner intelektualny – *rozumowanie moralne*. Rozumowanie moralne to proces myślowy wspomagający sumienie w podejmowaniu decyzji. Jeżeli spróbujemy, możemy wyrazić nasze moralne rozumowanie za pomocą słów, pojęć i zasad.

Joe prowadził rozumowanie moralne, zastanawiając się, czy powinien jechać do pracy na ważne spotkanie, czy też wrócić do domu i nakarmić psa Reeboka. Przez całą drogę dręczyły go wyrzuty sumienia. Jak wiemy, *sumienie* u Joego można określić jako poczucie obowiązku oparte na emocjonalnej więzi z psem. *Rozumowanie moralne* było natomiast procesem, dzięki któremu mężczyzna dokładnie określił, na czym polegał ten obowiązek i jak powinien go wypełnić. (Jak bardzo zgłodnieje pies? Czy skona z pragnienia? Co jest ważniejsze: spotkanie czy Reebok? Jak należy postąpić w tej sytuacji?).

Skąd się bierze nasza niemal powszechna zdolność do zadawania sobie samym pytań moralnych i etycznych – czy nakarmić psa, czy też wystrzelić pocisk z głowicą jądrową?

Systematyczne badania rozumowania moralnego rozpoczął w 1930 roku szwajcarski psycholog Jean Piaget. W jednym ze swoich najbardziej znanych dzieł, *Rozwój ocen moralnych dziecka*, analizuje on sposób postrzegania przez dzieci takich pojęć, jak władza, kłamstwo, kradzież i sprawiedliwość[9]. Badacz rozpoczął swoją analizę zachowania dzieci w różnym wieku od zapisywania szczegółowych spostrzeżeń dotyczących tego, jak dzieci kształtują reguły, grają w gry, a także jak interpretują dylematy moralne. Przyjął podejście „strukturalne", co oznacza, że jego zdaniem istoty ludzkie rozwijają się pod względem psychologicznym i filozoficznym w sposób progresywny – każdy krok poznawczo-rozwojowy opiera się na poprzednich, a cały proces przebiega u wszystkich dzieci w takiej samej kolejności.

Piaget opisał dwa główne etapy rozwoju moralnego. Za pierwszy z nich uznał „moralność przymusu" lub „realizm moralny", w którym dzieci przestrzegają zasad, ponieważ uważają je za niezmienne. Na tym czarno-białym etapie rozumowania małe dzieci są przekonane, że dany czyn jest albo całkowicie dobry, albo całkowicie zły, a ludzie ponoszą nieuchronną karę za wszelkie ujawnione niewłaściwe zachowania. To oczekiwanie Piaget nazwał „sprawiedliwością bezpośrednią". Drugim etapem jest „moralność współpracy" lub „wzajemność". Na tym etapie dzieci postrzegają zasady jako coś względnego, w pewnych okolicznościach podlegającego zmianie, a w swojej koncepcji sprawiedliwości zaczynają uwzględniać intencje ludzi. Starsze dzieci potrafią „zdecentralizować" swój punkt widzenia (tzn. uczynić go mniej egocentrycznym), a zasady moralne rozumieją jako ważny element funkcjonowania społeczeństwa, a nie tylko jako sposób uniknięcia nieprzyjemnych konsekwencji.

Kontynuując tradycję Piageta, a także pod wpływem prac amerykańskiego filozofa Johna Deweya, pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku psycholog i pedagog Lawrence Kohlberg[10] z Centrum Edukacji Moralnej Uniwersytetu Harvarda podjął prace nad osądem moralnym.

Kohlberg postawił sobie za zadanie odkrycie, czy naprawdę istnieją uniwersalne etapy rozwoju moralnego.

Badacz sformułował swoją teorię na podstawie wywiadów z chłopcami w wieku od sześciu do szesnastu lat przeprowadzonych w Stanach Zjednoczonych, Meksyku, na Tajwanie, w Turcji i na Jukatanie. Podczas tych rozmów dzieci słuchały dziesięciu opowiadań, z których każde zawierało pewien dylemat moralny. Najbardziej znana spośród historii ułożonych prawie czterdzieści lat temu uderzająco sugestywnie odzwierciedla obecne kontrowersje wokół cen leków produkowanych przez wielkie koncerny farmaceutyczne. Sparafrazowana wersja dylematu Heinza brzmi następująco:

> Żona Heinza umiera na rzadką postać nowotworu. Zdaniem lekarzy istnieje tylko jeden lek, który mógłby ją uratować – związek radu niedawno odkryty przez farmaceutę z rodzinnego miasta Heinza. Składniki leku są drogie, ponadto farmaceuta wyznaczył za niego cenę dziesięciokrotnie wyższą niż koszty produkcji: za rad płaci dwieście dolarów, a za małą dawkę gotowego leku żąda od klientów dwóch tysięcy dolarów. Heinz udaje się do wszystkich znanych sobie ludzi z prośbą o pożyczkę. Mimo to udaje mu się zebrać zaledwie połowę potrzebnej sumy. Wyjaśnia aptekarzowi, że żona umrze, jeśli nie otrzyma leku, i prosi go o udzielenie rabatu lub o to, by poczekał jakiś czas na zapłatę. Lecz farmaceuta odmawia: „Opracowałem ten lek i mam zamiar na nim zarobić”. Heinz wpada w rozpacz. Włamuje się do apteki i kradnie lek dla swojej żony.
>
> Czy Heinz powinien był tak postąpić?

Kohlberga interesowała nie tyle odpowiedź dzieci na tak postawione pytanie, ile stojące za nią rozumowanie, które zapisywał. Na podstawie licznych wywiadów wysunął hipotezę, że dzieci podążają uniwersalną ścieżką rozwojową od własnego interesu do zachowań opartych na ogólnie przyjętych zasadach. Ścieżkę tę przedstawił w postaci trzypoziomowego schematu rozwoju moralnego. Jego zdaniem każdy kolejny poziom wymaga zastosowania coraz bardziej złożonych, abstrakcyjnych wzorców myślenia i zastępuje poziom poprzedni w miarę rozwoju zdolności poznawczych dziecka.

Zgodnie z teorią rozwoju moralnego Kohlberga dzieci w wieku od siedmiu do dziesięciu lat rozumują na „poziomie przedkonwencjonalnym”, kiedy zdają się na autorytet dorosłych i przestrzegają zasad wyłącznie w odniesieniu do oczekiwanej kary lub nagrody. Kohlberg uznał to przedkonwencjonalne rozumowanie małych dzieci za „przedmoralne” w swojej istocie. Najbardziej typowa „przedmoralna” odpowiedź na temat Heinza brzmiała: „Nie, Heinz nie powinien był tego robić, bo teraz zostanie ukarany”.

Począwszy od wieku około dziesięciu lat, dzieci zaczynają modyfikować swoje zachowanie na podstawie opinii innych ludzi i pragnienia dostosowania się, tym samym przechodząc na „konwencjonalny poziom rozumowania moralnego” (w sensie konwencji społecznej). Na tym poziomie posłuszeństwo wobec autorytetu staje się wartością samą w sobie bez bezpośredniego związku z nagrodą, karą oraz z zasadami wyższego rzędu. Zdaniem Kohlberga przed ukończeniem przez dziecko trzynastu lat odpowiada ono na poziomie konwencjonalnym na większość pytań dotyczących moralności. Konwencjonalne rozumowanie moralne oceniające postępek Heinza można przedstawić następująco: „Nie, nie powinien był kraść leku. Kradzież jest niezgodna z prawem. Wszyscy o tym wiedzą”.

W okresie dojrzewania niektórzy ludzie wykraczają poza moralność konwencjonalną, dochodząc do trzeciego, najwyższego poziomu, który Kohlberg nazwał „moralnością pokonwencjonalną”. Ten poziom wymaga formułowania abstrakcyjnych zasad moralnych i podejmowania zgodnych z nimi działań w odpowiedzi na głos własnego sumienia, a nie po to, by zyskać aprobatę innych. Na poziomie pokonwencjonalnym rozumowanie moralne wychodzi poza zasady obowiązujące w społeczeństwie, ponadto człowiek wie już, że często zasady te stoją ze sobą w sprzeczności. Zamiast tego rozumowanie moralne kształtują płynne, abstrakcyjne pojęcia, takie jak wolność, godność, sprawiedliwość i szacunek dla życia. Wracając do opowieści o Heinzu, osoba rozumująca na poziomie pokonwencjonalnym może dojść do wniosku, że życie ludzkie jest cenniejsze niż pieniądz, ponadto świętość życia jest prawem moralnym nadrzędnym wobec przyjętych przez społeczeństwo zasad dotyczących kradzieży. („Heinz rzeczywiście znalazł się w trudnej sytuacji, ale można zrozumieć jego zachowanie. Co prawda ukradł lek, ale był to lek ratujący życie, którego farmaceuta nie chciał mu udostępnić z przyczyn finansowych”).

Zdaniem Kohlberga większość ludzi nigdy, nawet w dorosłości, nie osiąga w pełni poziomu pokonwencjonalnego, ponieważ wyraźnych odniesień do trzech poziomów rozumowania moralnego dopatrzył się u niecałych 10 procent respondentów (starszych chłopców i młodych mężczyzn). Uzupełniając omawiane zagadnienie, chciałabym zaznaczyć, że jeżeli hipoteza Kohlberga jest słuszna, może pomóc wyjaśnić pewien dość osobliwy fakt: postępowanie bogatych firm farmaceutycznych nie oburza zbytnio amerykańskiej opinii publicznej. Być może większość z nas, zwłaszcza Amerykanów, jest skłonna zaakceptować stwierdzenie farmaceuty: „To ja odkryłem ten lek i mam prawo zarobić”. Prymat prawa własności nad wszystkimi innymi cechami opisywanej sytuacji stanowi część konwencjonalnego rozumowania moralnego, przynajmniej wśród mężczyzn wychowanych w Stanach Zjednoczonych.

PORA NA PŁEĆ I KULTURĘ

Jaki czynnik został zupełnie pominięty w systemie rozwoju moralnego Kohlberga nawet na jego najwyższym poziomie? Odpowiedź: więź Heinza z żoną, która jest znacznie bardziej osobista, a może istotniejsza niż najbardziej wysublimowane pojmowanie zasadniczej świętości życia.

Na czym najprawdopodobniej polega główna wada ogólnego planu badawczego Kohlberga? Na tym, że gdy po raz pierwszy zadawał swoje pytania moralne, jego respondentami byli wyłącznie chłopcy. Kohlberg, genialny psycholog, z jakiejś przyczyny nie dostrzegał połowy ludzkości.

Na to przeoczenie zwróciła uwagę Carol Gilligan w swojej przełomowej książce zatytułowanej *In a Different Voice. Psychological Theory and Women's Development* (Innym głosem. Teoria psychologiczna i rozwój kobiet)[11] wydanej w 1982 roku. Jako studentka Kohlberga Gilligan postanowiła pogłębić uniwersalną teorię etapów rozwoju moralnego, lecz zdecydowanie nie zgadzała się ze zbyt uproszczonym opisem poziomów moralnych zaproponowanym przez mentora. Jej zdaniem Kohlberg stworzył model rozumowania moralnego oparty na „etyce sprawiedliwości", na odwoływaniu się do konkretnych lub abstrakcyjnych „zasad". Gilligan uznała, że Kohlberg opracował jedynie „etykę sprawiedliwości", ponieważ przeprowadzał wywiady wyłącznie z respondentami płci męskiej. Gdyby w swojej pracy uwzględnił również kobiety, uzyskałby zupełnie inny system wzorców postępowania. Przeprowadziła zatem wywiady z kobietami podejmującymi ważkie decyzje życiowe i odkryła, że na pierwszym miejscu stawiały one *troskę* o innych, a nie zastanawiały się nad „zasadami". Rozumowanie moralne kobiet odwołuje się więc do „etyki opiekuńczości", a nie do męskiej „etyki sprawiedliwości". Zgodnie z przedstawioną przez nią teorią dziewczęta identyfikują się ze swoimi matkami, a ich doświadczenia rodzinne eksponują empatię i skłonność do współpracy.

Gilligan przekonująco dowodzi, że żaden punkt widzenia nie jest lepszy, lecz są to po prostu dwie etyki reprezentujące dwa różne głosy. Mężczyźni zwracają uwagę na przywiązanie do zasad społecznych i osobistych, a kobiety na przywiązanie do innych ludzi. Rozwój moralny kobiet, zdaniem badaczki, nie opiera się wyłącznie na zmianach zdolności poznawczych, lecz także na coraz dojrzalszym postrzeganiu siebie i otoczenia społecznego.

Pokonwencjonalny osąd moralny dylematu Heinza dokonywany przez kobiety nawiązywał do znaczenia jego związku z żoną, niekiedy pojawiały się także stwierdzenia o niemoralności postawy farmaceuty, który może, lecz nie chce zapobiec śmierci innej osoby. Gilligan uznała więc, że pokonwencjonalne rozumowanie moralne kobiet koncentruje się na nieszkodzeniu sobie i innym, czyli na czymś bardziej konkretnym, bliżej związanym z relacjami międzyludzkimi, a pod wieloma względami stawiającym nawet wyższe wymagania niż takie zasady jak świętość życia.

Dzięki Carol Gilligan psychologowie i pedagodzy zrozumieli, że rozumowanie moralne ma więcej niż jeden wymiar, a rozwój moralny człowieka przebiega znacznie bardziej skomplikowanymi ścieżkami, niż wcześniej przypuszczano. Przeprowadzone w ciągu ostatnich dwudziestu lat badania wykazały[12], że zarówno kobiety, jak i mężczyźni odwołują się w swoim osądzie moralnym do „etyki opiekuńczości" oraz do „etyki sprawiedliwości". Obydwa te głosy

układają się w złożone linie melodyczne, a różnice między płciami są znacznie bardziej skomplikowane, niż sugerowałby to prosty podział na kobiety i mężczyzn.

Okazało się również, że najprawdopodobniej nie istnieją żadne uniwersalne etapy rozwoju moralnego, przez które przechodziliby wszyscy ludzie, nawet jeśli podzielilibyśmy ludzkość na pół według płci. Relatywizmu kulturowego można się dopatrzeć nawet w dziedzinie etyki. A jeżeli rozumowanie moralne może mieć dwa wymiary – sprawiedliwość i opiekuńczość – to dlaczego nie trzy, sto lub więcej? Dlaczego nie dopuścić istnienia tak wielu perspektyw etycznych, jak wiele istnieje uwarunkowań kondycji człowieka, wartości i sposobów wychowywania dzieci?

Ciekawy przykład, jak kontekst i czynniki kulturowe wpływają na kształtowanie osądu moralnego, zaczerpnęłam z pracy Joan Miller i Davida Bersoffa z Uniwersytetu Yale[13]. Miller i Bersoff porównywali amerykańskie dzieci i dorosłych pochodzących z New Haven (Connecticut) z dziećmi i osobami dorosłymi zamieszkującymi Mysore (miasto w południowych Indiach). Naukowcy wykazali, że kultura amerykańska promuje zarówno u chłopców, jak i u dziewcząt bardzo indywidualistyczne poglądy na autonomię człowieka i jego osiągnięcia osobiste, podczas gdy kultura hinduska wpaja obu płciom koncepcję indywidualności współzależnej, opartej na wartości stabilnych więzi z innymi ludźmi oraz na podporządkowaniu osobistych ambicji interesom grupy.

W swoich badaniach nad rozwojem moralnym Miller i Bersoff odkryli, że Hindusi zamieszkujący Indie zazwyczaj traktują zobowiązania interpersonalne jako społecznie egzekwowalne imperatywy moralne, podczas gdy w Ameryce uznaje się je za kwestię wyboru zależną od indywidualnej decyzji człowieka. Zilustrujmy to następującym przykładem. Czy rodzeństwo powinno przejąć opiekę nad siostrą z zespołem Downa, gdy rodzice nie mają już na to sił ze względu na podeszły wiek? Typowy Amerykanin stwierdzi, że ma w tej sytuacji wybór – co prawda obarczony implikacjami moralnymi, ale jednak wybór. Hindus natomiast zinterpretuje tę sytuację jako niepodlegający negocjacjom imperatyw moralny (dharmę) wzmocniony świadomością, że w razie konieczności rodzina zmusi go do wypełnienia tego obowiązku. Ponadto zdaniem mieszkańców Indii zobowiązania interpersonalne stanowią przejaw naturalnych skłonności większości ludzi – w przeciwieństwie do Amerykanów, którzy uważają, że oczekiwania społeczne i osobiste pragnienia prawie zawsze stoją ze sobą w sprzeczności, a człowiek musi je jakoś ze sobą „pogodzić".

Tak duże różnice wyznawanych przekonań i treści wpajanych na wczesnych etapach wychowania zazwyczaj prowadzą do powstawania znacznych różnic międzykulturowych w rozumowaniu moralnym. Miller i Bersoff donoszą, że w okresie dojrzewania Hindusi i Hinduski przyswajają sobie „perspektywę poczucia obowiązku" – wymiar osądu moralnego odrębny zarówno od „etyki sprawiedliwości", jak i od „etyki opiekuńczości". Swoje spostrzeżenia podsumowują w następujący sposób: „Uzyskane przez nas wyniki sugerują, że w kulturach amerykańskiej i hinduskiej rozwijają się jakościowo odrębne interpersonalne kodeksy moralne, co odzwierciedla krańcowo odmienne postrzeganie jednostki eksponowane w tych kontekstach".

A jednak mimo licznych i różnorodnych zasad rozumowania moralnego kształtowanych przez różne kultury ludzkie w ostatecznym rozrachunku istnieje pewien zasadniczy, głębszy i znacznie mniej zróżnicowany aspekt omawianego zagadnienia. Tym niezmiennym czynnikiem psychologicznym jest nasza świadomość istnienia nierozwiązywalnego konfliktu między dwoma

biegunami etycznymi. Postrzeganie przez człowieka dobra i zła na poziomie ogólnym jako dwóch antagonistycznych sił wydaje się zaskakująco uniwersalnym zjawiskiem (przynajmniej dla socjologów)[14]. Przeciwstawianie dobra złu to ponadczasowy, wolny od wpływów kulturowych wymiar kondycji człowieka. Echa zmagań tych dwóch sił łatwo rozpoznają obie płci we wszystkich kulturach. Spodziewam się, że u kobiety pochodzącej z południa Indii odnajdę ten zasadniczy podział sfery moralności, a ona spodziewa się po mnie tego samego. Wróćmy po raz ostatni do przykładu biednego, zdesperowanego Heinza. Niezależnie od proponowanych rozwiązań jego dylematu – co powinien *zrobić*, a czego nie – przedstawiciele wszystkich kultur zgadzają się, że mężczyzna pragnący pomóc ukochanej osobie ma przewagę moralną nad egoistycznym farmaceutą, którego postępowanie uznają za niewłaściwe.

Trudno się dopatrzyć międzykulturowej spójności w procesach intelektualnych umożliwiających przeprowadzanie rozumowania moralnego, rozstrzyganie dylematów moralnych oraz podejmowanie decyzji, jak postąpić w konkretnych okolicznościach. Może jednak dałoby się dostrzec zbieżność naszych reakcji emocjonalnych na walkę dobra ze złem? Może istnieje jakiś niemal uniwersalny siódmy zmysł, dzięki któremu przestałyby istnieć wszelkie dzielące nas różnice i granice?

A jeżeli tak, to jak on działa?

UNIWERSALNA WIĘŹ

Końcową część tego rozdziału o pochodzeniu sumienia pisałam rankiem 11 września 2003 roku. Zazwyczaj lubię pracować w ciszy, lecz wtedy włączyłam w drugim pokoju telewizor. Chciałam usłyszeć głosy dzieci odczytujących kolejno nazwiska ludzi, którzy zginęli w ruinach biurowców World Trade Center. Wcześniej, podobnie jak rankiem 11 września 2001 roku, wyprawiłam córkę do szkoły. Różnica polegała na tym, że dwa lata wcześniej poszła do szkoły w jednym świecie, a wróciła w zupełnie innym.

Zauważyłam, jak łatwo ogarnia mnie wzruszenie, chociaż od tamtej tragedii minęło już sporo czasu.

Spośród wszystkich nieoczekiwanych reakcji na tę katastrofę najbardziej zaskoczyła mnie jedna. Nagle uświadomiłam sobie więzi łączące mnie ze wszystkimi ludźmi, których dane mi było poznać, bez względu na to, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, począwszy od dzieciństwa; z każdym, kto kiedykolwiek był dla mnie ważny choćby przez chwilę; z każdym, do kogo odczuwałam sympatię. Po 11 września 2001 roku zaczęłam przypominać sobie ludzi, których nie widziałam, a nawet nie myślałam o nich od dawna, co w niektórych przypadkach oznaczało nawet kilkadziesiąt lat. Ich twarze pojawiały się w moim umyśle niepokojąco wyraźnie. Nie miałam pojęcia, gdzie znajdowało się wielu z nich, ponieważ tak długo nie gościli w moim życiu, ale w odruchu bezradności chciałam podnieść słuchawkę i zatelefonować do nich wszystkich. Chciałam zapytać, co u nich słychać – u mojego nauczyciela kreatywnego pisania z liceum w Karolinie Północnej, u koleżanki z pokoju w akademiku, u życzliwego właściciela sklepu spożywczego, u którego robiłam zakupy podczas pobytu w Filadelfii, a który rozdawał jedzenie potrzebującym, po czym napominał innych klientów, by nikomu o tym nie mówili. Czy nic im się nie stało? Zadzwoniłam do wszystkich, do których mogłam. Nikt nie uznał mojego postępowania za dziwne. Po prostu zameldowaliśmy sobie nawzajem, że żyjemy.

Rozumowanie moralne – nasz sposób myślenia o dylematach etycznych – wcale nie jest spójne ani uniwersalne. Zależy od wieku i płci. Zależy od kultury, a najprawdopodobniej także od regionu kraju, a nawet od rodziny. Na przykład to, co myślę o terroryzmie i o tym, jak powinniśmy sobie radzić z tym zjawiskiem, prawdopodobnie trochę się różni od tego, co sądzi na ten temat mój sąsiad, i prawie na pewno różni się od przekonań ludzi, od których dzielą mnie oceany i kontynenty. Ale prawie wszyscy (z godnymi uwagi wyjątkami) mamy pewną cudowną, niezmienną, wspólną cechę – głębokie przywiązanie do innych istot ludzkich. Więzi emocjonalne przenikają nas aż do poziomu cząsteczek, z których zbudowane są nasze ciała i umysły. Niekiedy przypominamy sobie o tych więziach. Rodzą się one w naszych genach i rozprzestrzeniają na wszystkie kultury, wierzenia i religie świata jak szept dający nam do zrozumienia, że wszyscy jesteśmy jednością. I niezależnie od tego, skąd pochodzi sumienie, właśnie to stanowi o jego istocie.

---

[1] A. Tennyson, *In Memoriam, A.H.H.*, w: *Alfred, Lord Tennyson. Selected Poems*, red. M. Baron, London 2003. Warto zauważyć, że Tennyson napisał ten wiersz w 1850 roku, dziewięć lat przed wydaniem dzieła Darwina *O powstawaniu gatunków*.

[2] M. Ridley, *O pochodzeniu cnoty*, tłum. M. Koraszewska, Poznań 2000 (przyp. tłum.).

[3] F. de Waal, *Good Natured. The Origins of Right and Wrong in Humans and Other Animals*, Cambridge 2001; *Animal Social Complexity. Intelligence, Culture, and Individualized Societies*, red. F. de Waal, P. Tyack, Cambridge 2003.

[4] G. Williams, *Adaptation and Natural Selection*, Princeton 1966.

[5] R. Dawkins, *Samolubny gen*, tłum. M. Skoneczny, Warszawa 2012.

[6] W. Hamilton, *Selection of Selfish and Altruistic Behavior*, w: *Man and Beast. Comparative Social Behavior*, red. J. Eisenberg, W. Dillon, Washington 1971.

[7] S. Gould, *The Structure of Evolutionary Theory*, Cambridge 2002.

[8] D. Wilson, E. Sober, *Reintroducing Group Selection to the Human Behavioral Sciences*, „Behavioral and Brain Sciences" 17 (1994), s. 585–654.

[9] J. Piaget, *Rozwój ocen moralnych dziecka*, tłum. T. Kołakowska, Warszawa 1967.

[10] L. Kohlberg, *The Philosophy of Moral Development*, New York 1981.

[11] C. Gilligan, *In a Different Voice. Psychological Theory and Women's Development*, Cambridge 1982.

[12]J. Walker, *Sex Differences in Moral Reasoning*, w: *Handbook of Moral Behavior and Development*, red. W. Kurtines, J. Gewirtz, Hillsdale 1991.

[13] J. Miller, D. Bersoff, *Development in the Context of Everyday Family Relationships. Culture, Interpersonal Morality, and Adaptation*, w: *Morality in Everyday Life. Developmental Perspectives*, red. M. Killen, D. Hart, Cambridge 1995; J. Miller, D. Bersoff, R. Harwood, *Perceptions of Social Responsibilities in India and in the United States. Moral Imperatives or Personal Decisions?*, „Journal of Personality and Social Psychology" 58 (1990), s. 33–47.

[14] Więcej wyników badań oraz przegląd teorii dotyczących tej wszechobecnej cechy relacji międzyludzkich można znaleźć w: *The Social Psychology of Good and Evil*, red. J. Crocker, A. Miller, New York 2004.

10

WYBÓR BERNIEGO: DLACZEGO LEPIEJ MIEĆ SUMIENIE

Szczęście jest wtedy, gdy to, co myślisz, mówisz i robisz, pozostaje ze sobą w harmonii.
MAHATMA GANDHI

Jak myślicie, co zrobilibyście z waszym życiem, gdybyście nie musieli słuchać głosu sumienia? Gdybyście nie mieli żadnych moralnych skrupułów ani poczucia winy? Kiedy zadaję ludziom to pytanie, a robię to często, typowa odpowiedź brzmi: „Ojej!" lub „O mój Boże!", a następnie zapada milczenie, i tylko zmarszczki na ich twarzach zdradzają wysiłek umysłowy, zupełnie jakby ktoś przemówił do nich w częściowo niezrozumiałym języku. Następnie większość uśmiecha się lub wybucha śmiechem, najwyraźniej zakłopotana rolą odgrywaną przez sumienie w ich życiu, i odpowiada przeważnie: „Naprawdę nie wiem, co bym zrobił(a), ale z pewnością nie to, co robię teraz".

Po „Ojej!" i krótkiej pauzie pewien szczególnie pomysłowy mężczyzna roześmiał się i powiedział: „Kto wie, może zostałbym dyktatorem jakiegoś małego kraju albo coś w tym rodzaju". Mówił to takim tonem, jakby tego typu zamiary były ambitniejsze, mądrzejsze i bardziej imponujące niż społecznie wartościowa praca, jaką wykonywał w rzeczywistości.

Czy byłoby rozsądniej nie mieć sumienia? Czy bylibyśmy szczęśliwsi? Wiemy, że oznaczałoby to kłopoty dla pewnych grup ludzi – pojawiłyby się całe narody socjopatów, w których wszyscy dbaliby wyłącznie o własny interes. Ale patrząc realistycznie na poziomie osobistym, czy ty lub ja, jako jednostki, bylibyśmy szczęśliwsi i czy wiodłoby nam się lepiej, gdybyśmy mogli odrzucić ograniczenia nakładane na nas przez sumienie? Z pewnością czasami tak się nam wydaje. Nieuczciwi ludzie zyskują władzę i wpływy, korporacyjni złodzieje kupują odrzutowce i jachty, podczas gdy my sumiennie pracujemy i systematycznie spłacamy raty za samochody. Jak jest naprawdę? Czy z psychologicznego punktu widzenia socjopaci naprawdę wiodą lepsze życie niż my, czy też posiadanie sumienia oznacza szczęśliwszy los?

Paradoksalnie dla swoich praktycznych celów natura od samego początku kształtuje nas jako stworzenia społeczne skłonne do dzielenia się z innymi. Zaprojektowała nasze mózgi tak, byśmy utrzymywali więzi emocjonalne między sobą oraz obdarzyła nas zmysłem sumienia. A mówiąc bardziej precyzyjnie, powyższy opis dotyczy zdecydowanej większości z nas. W wyniku odmiennego, lecz równie praktycznego procesu selekcji pewien odsetek ludzi wyewoluował jako dranie, osoby nieczułe na losy swoich braci i sióstr, z emocjonalnie obojętnymi mózgami,

w których lęgną się wyłącznie egoistyczne zamiary. Patrząc z perspektywy psychologii XXI wieku, zastanówmy się, która z dwóch pradawnych frakcji – osoby mające sumienie czy socjopaci – została szczodrzej obdarowana przez naturę?

PRZEGRANI ZWYCIĘZCY

Trudno polemizować ze spostrzeżeniem, że ludziom zupełnie nieskrępowanym głosem sumienia niekiedy udaje się sięgnąć po władzę i zdobyć bogactwo, przynajmniej na jakiś czas. Zbyt wiele rozdziałów historii człowieka – począwszy od jej zarania aż po większość współczesnych zapisów – opowiada o sukcesach najeźdźców, zdobywców, baronów rabusiów i budowniczych imperiów. Osoby te już od dawna nie żyją lub są zbyt uprzywilejowane, by psychologowie kliniczni mogli ich poddać formalnej ocenie według kryteriów przyjętych w tej specjalności. Lecz dzięki szczegółowo udokumentowanym opisom zachowań, nawet nie znając ich wyników w skali psychopatii (Pd), możemy bezpiecznie przyjąć, że znaczna ich liczba nie wykazuje żadnych cech poczucia obowiązku opartego na emocjonalnych więziach z innymi ludźmi. Innymi słowy, niektórzy spośród nich byli – i są – socjopatami.

Co gorsza, brutalnych najeźdźców i budowniczych imperiów zazwyczaj podziwiają ich współcześni, często stawiając ich za wzór do naśladowania całemu rodzajowi ludzkiemu. Nie ulega wątpliwości, że niezliczeni mongolscy chłopcy żyjący w XIII wieku kładli się spać, słuchając opowieści o nieustraszonym Czyngis-chanie. Można się zastanawiać, którzy spośród nowożytnych bohaterów stawianych za wzór naszym własnym dzieciom zostaną ostatecznie uznani przez historię za bezwzględnych egoistów.

Brak sumienia sprzyja również podbojom seksualnym. Aby zilustrować tę prawidłowość, przytoczę dane dotyczące potomstwa wyżej wspomnianego słynnego tyrana. Podobno najstarszy syn Czyngis-chana spłodził czterdziestu synów dzięki przysługującemu mu z urodzenia prawu wyboru najpiękniejszych kobiet w podbitych krajach. Resztę pokonanych wraz z dziećmi zazwyczaj mordowano. Jeden z wielu wnuków Czyngis-chana, Kubilaj, założyciel dynastii Yuan, miał dwudziestu dwóch prawowitych synów, a ponadto co roku uzupełniał swój harem trzydziestoma dziewicami. W chwili kiedy piszę te słowa, praktycznie identyczne chromosomy Y stwierdzono u niemal 8 procent mężczyzn zamieszkujących tereny dawnego imperium mongolskiego (łącznie u szesnastu milionów)[1]. Zdaniem genetyków tak wielu ludzi żyjących w XXI wieku nosi piętno trzynastowiecznego ludobójstwa i gwałtów popełnianych przez Czyngis-chana.

Pod jednym względem Czyngis-chan był wyjątkiem wśród socjopatycznych tyranów – nie zginął gwałtowną ani haniebną śmiercią. W 1227 roku spadł z konia podczas polowania. Zdecydowana większość sprawców ludobójstwa i masowych gwałtów w końcu popełnia samobójstwo lub zostaje zabita, często przez rozwścieczonych dawnych popleczników, którzy mają już dosyć ich ekscesów. Kaligula zginął z ręki jednego z własnych pretorian. Uważa się, że Hitler popełnił samobójstwo, strzelając sobie w usta, a jego polane olejem napędowym zwłoki spalono. Mussolini został zastrzelony, a jego ciało powieszono głową w dół na stacji benzynowej. Nicolae Ceauşescu i jego żona Elena zostali rozstrzelani przez pluton egzekucyjny w 1989 roku w dzień Bożego Narodzenia. Dyktator Kambodży Pol Pot zmarł w dwupokojowym baraku więziony przez byłych współpracowników, a jego ciało spalono wraz ze stertą śmieci i opon.

Socjopaci działający na skalę światową zazwyczaj źle kończą. Prawidłowość ta dotyczy zresztą również socjopatów lokalnych. W ostatecznym rozrachunku socjopatia, bez względu na

skalę, na jaką jest praktykowana, przegrywa. Na przykład ojciec Hannah zaprzepaścił wszystko, co powinien był cenić. Przed ukończeniem pięćdziesięciu lat stracił pracę, pozycję w społeczeństwie, piękną żonę i kochającą córkę, ponieważ ekscytował go pokątny handel heroiną. W końcu najprawdopodobniej zginie od kuli, którą sam wpakuje sobie w głowę lub uczyni to jakiś inny drobny kryminalista. Luke, leniwy były mąż mojej pacjentki Sydney, również stracił wszystko, co najcenniejsze – żonę, syna, nie wspominając o basenie. Super Skip, chociaż niefrasobliwie nie uznaje Amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd za godnego siebie przeciwnika, prawdopodobnie straci pewność siebie, gdy urzędnicy poważnie się nim zajmą. „Doktor" Doreen Littlefield, mimo że dysponuje zdolnościami intelektualnymi w pełni wystarczającymi do zdobycia prawdziwego stopnia naukowego, będzie musiała uciekać coraz dalej i dalej, lecz nie przestanie oszukiwać porządnych ludzi, którym zazdrości, dopóki nie zabraknie jej kryjówek. Zanim skończy pięćdziesiąt lat, wydatki na podróże i nieopanowana chciwość opróżnią jej konto bankowe, a jej wychudzona twarz zacznie przywodzić na myśl znudzoną siedemdziesięciolatkę.

Listę takich ponurych zakończeń można ciągnąć bez końca. Wbrew dość powszechnemu przekonaniu w ostatecznym rozrachunku bezwzględność w działaniu nie pomaga nikomu wycisnąć z życia więcej korzyści, niż mu się należy. Wręcz przeciwnie, niezwykle cierpliwy obserwator pragnący ocenić, czy dana osoba działająca z wątpliwych pobudek jest prawdziwym socjopatą, mógłby doczekać do końca jej życia, żeby się przekonać, czy zniszczyła je częściowo, czy całkowicie. Czy naprawdę posiadła to, co w życiu najważniejsze, czy też skończyła w samotności, wypalona i znudzona? Czy to przypadek, że najniżej upadają ci potężni?

Historycy zwracają uwagę, że odkąd zaczęliśmy zapisywać historie wojen, okupacji i planów ludobójstwa, co jakiś czas dość regularnie przychodzą na świat straszliwi, niemoralni złoczyńcy. Ledwo zdążymy się pozbyć jednego, a już kolejny pojawia się w innym zakątku naszej planety. Z punktu widzenia genetyki populacyjnej w tej opowieści chyba tkwi ziarno prawdy. A ponieważ nie rozumiemy tych ludzi, ponieważ zasady funkcjonowania ich psychiki są dla większości z nas zupełnie obce, często nie rozpoznajemy ich lub powstrzymujemy dopiero wtedy, gdy zdążyli wyrządzić ludzkości bardzo poważne szkody. Ale, jak zauważył Gandhi z ogromnym zdumieniem i ulgą: „W końcu zawsze upadają. Tylko pomyślcie, zawsze!".

To samo zjawisko występuje również na mniejszą skalę. Zwykli ludzie pozbawieni sumienia przysparzają bólu swoim rodzinom i społecznościom, w których żyją, lecz w końcu niszczą sami siebie. Drobni socjopaci przeżyliby wystarczająco długo, by zdominować pewną część rozbitków na naszej wyimaginowanej bezludnej wyspie, zapewne zdążyliby też przekazać własne geny kolejnemu pokoleniu, lecz na koniec najprawdopodobniej zawisnęliby gdzieś głową w dół.

Jedna z przyczyn ich ostatecznego niepowodzenia jest dość oczywista: okryci złą sławą despoci tacy jak Mussolini czy Pol Pot zostali zabici i okaleczeni przez swoich wściekłych byłych popleczników. Jeśli dręczymy, rabujemy, mordujemy oraz gwałcimy na wielką skalę, w końcu część skrzywdzonych skrzyknie się razem, by wziąć na nas odwet. Tę samą prawidłowość dostrzegamy też w znacznie mniej epickich losach Doreen Littlefield. Od początku było wiadomo, że nie będzie mogła ciągnąć swojej maskarady w nieskończoność, aż wreszcie przypadkowo zirytowała niewłaściwą osobę. Istnieją jednak również inne, mniej oczywiste przyczyny niepowodzeń doznawanych przez osoby pozbawione sumienia w dłuższej perspektywie czasowej, przyczyny związane z psychologiczną stroną socjopatii, a nie

z wściekłością innych ludzi.

Pierwszą z nich jest po prostu nuda.

CZY TO WSZYSTKO?

Choć wszyscy wiemy, czym jest nuda, większość normalnych osób dorosłych nie doświadcza jej zbyt często. Stresujemy się, spieszymy i niepokoimy, ale rzadko po prostu się nudzimy, częściowo właśnie z powodu stresu, pośpiechu i niepokoju. Chwile, gdy nie musimy się niczym zajmować, zazwyczaj kojarzą się nam z wytchnieniem, a nie z monotonią. Jeżeli chcemy się przekonać, jak wygląda nuda w czystej postaci, musimy się cofnąć do dzieciństwa. Dzieci i młodzież często się nudzą tak bardzo, że nie mogą tego znieść. Zupełnie normalna w tym okresie rozwoju człowieka potrzeba nieustannej stymulacji, odkrywania czegoś nowego i uczenia się, często grzęźnie w świecie długich podróży, deszczowych popołudni i odrabiania zadań. Nuda wydaje się wtedy czymś nie do zniesienia, co można porównać z przewlekłym duchowym bólem głowy lub silnym pragnieniem, którego nie sposób ugasić żadnym napojem. Może boleć tak bardzo, że biedne dziecko chciałoby głośno wrzasnąć lub rzucić czymś o ścianę. Niewątpliwie skrajną nudę można uznać za postać bólu.

Na szczęście dla nas dorośli nie mają takiej potrzeby ciągłej stymulacji. Mimo towarzyszącego nam stresu zazwyczaj mieścimy się w pewnym oknie lub zakresie pobudzenia – nie lubimy ani jego nadmiaru, ani niedoboru. Ta prawidłowość nie dotyczy socjopatów. Twierdzą oni, że niemal bez przerwy potrzebują dodatkowej stymulacji. Niektórzy używają słowa *uzależnienie* – uzależnienie od emocji lub uzależnienie od ryzyka. Tego rodzaju uzależnienia występują, ponieważ najlepszym (a może jedynym) skutecznym lekiem na niewystarczające pobudzenie jest nasze życie emocjonalne. W wielu tekstach psychologicznych terminy *pobudzenie* i *reakcja emocjonalna* są stosowane niemal zamiennie. Pobudzają nas konstruktywne więzi, negocjacje oraz szczęśliwe i smutne chwile spędzane z innymi ludźmi. Niestety socjopatom brakuje tego emocjonalnego aspektu życia. Nie doświadczają niekiedy wstrząsającego, innym razem porywającego, stale obecnego pobudzenia, które nieodłącznie towarzyszy prawdziwemu przywiązaniu do innych ludzi.

Eksperymenty laboratoryjne z użyciem wstrząsów elektrycznych i głośnych dźwięków ujawniły, że nawet reakcje fizjologiczne (wzmożona potliwość, kołatanie serca itd.) zazwyczaj kojarzone z pełnym niepokoju wyczekiwaniem i wyuczonym strachem występują u socjopatów ze znacznie mniejszym nasileniem[2]. Chcąc uzyskać wystarczający poziom stymulacji, socjopaci mogą jedynie podejmować próby zdominowania innych, lecz tego rodzaju gry bardzo szybko tracą swój urok. Tak jak w przypadku narkotyków muszą powtarzać je w kółko, lecz na coraz większą skalę i z większą intensywnością, co z kolei w dużym stopniu zależy od zasobów i zdolności konkretnego socjopaty, a więc po jakimś czasie może się okazać niemożliwe. Tak więc ból spowodowany nudą może towarzyszyć mu nieustannie.

Skłonność do chwilowego „rozcieńczania” nudy różnymi związkami chemicznymi stanowi jedną z przyczyn, dla których socjopaci dość często nadużywają alkoholu i narkotyków. Autorzy zakrojonego na szeroką skalę badania chorób współwystępujących, którego wyniki opublikowano w 1990 roku w „Journal of the American Medical Association”, szacują, że aż 75 procent socjopatów uzależniło się od alkoholu, a 50 procent nadużywa narkotyków[3]. Tak więc socjopaci są często uzależnieni w zwykłym znaczeniu tego słowa, oprócz metaforycznego uzależnienia od ryzyka. Osobom pozbawionym sumienia „ekstremalne przeżycia” i zagrożenia

związane z zażywaniem narkotyków wydają się szczególnie atrakcyjne, dlatego to właśnie w kulturze narkotyków wielu socjopatów czuje się jak u siebie w domu.

Autorzy innego badania, opublikowanego w 1993 roku w „American Journal of Psychiatry", donieśli, że 18 procent osób, u których rozpoznano antyspołeczne zaburzenia osobowości, przyjmujących dożylnie narkotyki jest nosicielami wirusa HIV, podczas gdy odsetek ten u osób stosujących dożylne narkotyki bez antyspołecznych zaburzeń osobowości nie przekracza 8 procent[4]. Wyższy odsetek zakażeń wirusem HIV u socjopatów jest przypuszczalnie spowodowany ich większą skłonnością do ryzykownych zachowań.

Statystyki te prowadzą nas z powrotem do pytania, które zadałam w rozdziale 1: czy brak sumienia stanowi stan adaptacyjny, czy też zaburzenie psychiczne? Według jednej z definicji operacyjnych zaburzenie psychiczne to każdy stan umysłu, który powoduje poważne „zakłócenia w życiu człowieka", czyli znacznie i w nietypowy sposób ogranicza jego zdolności do funkcjonowania oceniane na podstawie ogólnego stanu zdrowia oraz poziomu inteligencji. Zdrowy rozsądek podpowiada nam, że sama *obecność* któregokolwiek z uznanych zaburzeń czynności umysłu – na przykład głębokiej depresji, przewlekłego lęku, paranoi – najprawdopodobniej wywoła tego rodzaju „zakłócenia w życiu człowieka". Lecz jak ocenić *brak* czegoś, co zwykle uznajemy za cechę ściśle związaną z moralnością? Jak ocenić brak sumienia? Wiemy, że socjopaci prawie nigdy nie decydują się na leczenie, ale czy to oznacza, że w ich życiu nie występują żadne „zakłócenia"?

Przypomnijmy sobie, jakie aspekty życia mają znaczenie dla socjopaty – wygrywanie i dominacja – a następnie zastanówmy się nad następującym dziwnym pytaniem: dlaczego nie wszyscy socjopaci zajmują wpływowe stanowiska? Biorąc pod uwagę ich silną motywację, zaangażowanie i swobodę działania wynikającą z braku sumienia, wszyscy powinni być potężnymi przywódcami narodów, szefami międzynarodowych korporacji lub przynajmniej wysokiej rangi specjalistami lub dyktatorami pomniejszych krajów. Dlaczego nie wygrywają bez przerwy?

Bo przecież nie wygrywają. Większość z nich to nieznani ludzie dominujący nad małymi dziećmi, nad małżonkami w depresji, nad garstką pracowników lub współpracowników. Niemało ich przebywa w więzieniach, jak ojciec Hannah, lub ryzykuje własną karierą i życiem. Tylko bardzo nieliczni są bajecznie bogaci, jak Skip. Jeszcze mniejszy odsetek socjopatów zyskuje sławę. Większość z nich nie pozostawia po sobie nic godnego zapamiętania, żyje z dnia na dzień, by u kresu wieku średniego dojść do stanu całkowitego wypalenia. Tak, przez jakiś czas mogą nas okradać i dręczyć, ale nie zmienia to faktu, że przegrywają swoje życie.

Z punktu widzenia psychologa nawet osoby zajmujące prestiżowe stanowiska, nawet te noszące znane nazwiska, poniosły życiową klęskę. Większość z nas znajduje szczęście dzięki zdolności do kochania innych, do życia w zgodzie z wyższymi wartościami (przez większość czasu) i dzięki wewnętrznemu poczuciu zadowolenia. Socjopaci nie potrafią kochać, z definicji *nie wyznają* wyższych wartości i prawie nigdy nie czują się komfortowo we własnej skórze. Są pozbawieni miłości, amoralni i chronicznie znudzeni, nawet ci nieliczni, którym udaje się zyskać bogactwo i wpływy.

Czują się niekomfortowo we własnej skórze także z wielu innych przyczyn poza nudą. Bezwzględny egocentryzm socjopaty skutkuje powstaniem indywidualnej świadomości skoncentrowanej na każdym, nawet najmniejszym ukłuciu bólu i skurczu ciała, na każdym, choćby przemijającym zawrocie głowy czy kołataniu serca. Socjopata wsłuchuje się

z niepokojem we wszystkie doniesienia radiowe i telewizyjne na temat wszystkiego, począwszy od pluskiew, a skończywszy na rycynie. Obawy człowieka bez sumienia dotyczą wyłącznie jego samego, dlatego niekiedy dręczą go ataki hipochondrii tak silne, że nawet najbardziej niespokojny i zalękniony neurotyk wygląda przy nim na uosobienie racjonalności[5]. Przecięcie palca kartką papieru staje się ważnym wydarzeniem, a opryszczka zapowiada nieunikniony kres życia.

Chyba najlepiej znanym z historii przykładem socjopatycznych obsesji na temat własnego ciała jest Adolf Hitler, który przez całe życie jako hipochondryk cierpiał na dojmujący lęk przed chorobą nowotworową. Starając się jej zapobiec oraz wyleczyć z wielu innych urojonych dolegliwości, zażywał „leki" specjalnie opracowywane przez swojego ulubionego lekarza osobistego Theodora Morella. Wiele spośród nich zawierało halucynogenne toksyny i najprawdopodobniej to właśnie one wywołały u Hitlera prawdziwą chorobę przejawiającą się drżeniem lewej ręki. W miarę upływu czasu drżenie nasilało się coraz bardziej, dlatego w połowie 1944 roku Führer zakazał robienia sobie zdjęć[6].

Socjopaci niekiedy wykorzystują hipochondrię jako wykręt umożliwiający im nierobienie tego, na co akurat nie mają ochoty. Przeważnie nie dolega im nic, lecz gdy trzeba zapłacić rachunki, poszukać pracy lub pomóc koledze w przeprowadzce do nowego mieszkania, nagle zaczynają się uskarżać na ból w klatce piersiowej lub utykać. Urojone problemy zdrowotne i niedomagania często zapewniają im szczególne względy, na przykład ostatnie wolne miejsce siedzące w zatłoczonej poczekalni.

Ogólnie rzecz biorąc, socjopaci wykazują niechęć do długotrwałego wysiłku i wszelkich zaplanowanych przedsięwzięć. Oczywiście tego rodzaju skłonność do chodzenia na łatwiznę bardzo utrudnia im odnoszenie sukcesów w realnym świecie. Poranne wstawanie i wielogodzinna praca prawie nigdy nie służą socjopatom. Uważają oni, że istnieją łatwiejsze rozwiązania – zdecydowanie przedkładają jednorazowe transakcje i fortele nad zaangażowanie w systematyczną pracę, osiąganie długoterminowych celów lub planów. Nawet gdy uda im się objąć prestiżowe stanowisko, zazwyczaj umożliwia ono ukrycie rzeczywistego wkładu pracy (lub jego brak) bądź manipulowanie innymi, by to właśnie oni przejęli wszystkie obowiązki. W takich okolicznościach inteligentny socjopata niekiedy podtrzymuje dobre wrażenie okazjonalnym popisem skuteczności działania, czaruje innych gładkimi słówkami lub ich zastrasza. Socjopata odgrywa rolę wiecznie nieobecnego szefa, „zaklinacza deszczu" lub nieocenionego, „przewrażliwionego geniusza". Potrzebuje częstych wakacji lub urlopów naukowych, podczas których nie bardzo wiadomo, co tak naprawdę robi. Systematyczność, prawdziwy klucz do trwałego sukcesu – czyli praca, tolerancja monotonii, dbałość o szczegóły – za bardzo kojarzą mu się z odpowiedzialnością.

Niestety analogiczna skłonność do samoograniczania występuje nawet u socjopatów obdarzonych przez naturę szczególnymi zdolnościami lub talentem. Socjopata przeważnie nie potrafi się zdobyć na zaangażowanie i codzienną pracę konieczną do rozwinięcia i wypromowania własnej twórczości malarskiej, muzycznej lub w innych dziedzinach sztuki. Niekiedy udaje mu się odnieść sukces przypadkiem, dzięki sporadycznemu wysiłkowi, lecz jeżeli dana specjalność wymaga systematycznego ćwiczenia i poświęcania jej czasu, socjopata nie wykorzysta własnych zdolności. W ostatecznym rozrachunku człowiek pozbawiony sumienia ma taki sam stosunek do własnych talentów jak do innych ludzi. Nie obchodzą go one.

Ponadto socjopata prawie zawsze gra solo – to kolejna strategia niekiedy sprawdzająca się na

krótką metę, lecz rzadko w dłuższej perspektywie czasowej. Z oczywistego powodu – dbałości wyłącznie o własny interes – ludzie bez sumienia słabo radzą sobie w zespole. Socjopacie zależy tylko na nim samym. Kiedy ma do czynienia z inną osobą lub z grupą osób, kłamie, stosuje pochlebstwa lub wprowadza w firmie atmosferę strachu. Tego rodzaju próby odniesienia sukcesu są znacznie mniej skuteczne niż prawdziwe relacje, przywództwo i osobiste zaangażowanie, dlatego cele, które można osiągnąć wspólnym systematycznym wysiłkiem, zazwyczaj torpeduje skupienie socjopaty na samym sobie. Tę drogę do ostatecznej porażki obierają zazwyczaj okryci złą sławą despoci oraz rzesze mniej znanych socjopatycznych pracodawców, współpracowników, a także małżonków.

Kiedy emocje związane z manipulowaniem innymi ludźmi przejmują kontrolę nad umysłem socjopaty, wszelkie inne cele jego działań schodzą na dalszy plan. Powstałe w ten sposób „zakłócenia w ich życiu", choć innego rodzaju, mogą być równie dotkliwe jak ograniczenia wynikające z głębokiej depresji, przewlekłych stanów lękowych, paranoi i innych chorób psychicznych. Emocjonalne bankructwo socjopatii oznacza, że socjopata na zawsze pozostaje pozbawiony autentycznej inteligencji emocjonalnej – zdolności rozumienia, co motywuje ludzi – stanowiącej niezastąpiony przewodnik po życiu w naszym świecie. Tak jak Doreen, która autentycznie wierzy, że potrafi poszerzyć zakres swojej władzy, ograniczając wpływy innych, tak jak Skip, który uważa, że nie musi się poddawać wpływom społeczeństwa ani stosować do obowiązujących w nim zasad, tak jak obalony dyktator, zdumiony, gdy nienawistny tłum złożony z „jego ludzi" nie ma zamiaru z nim negocjować – każdy, nawet inteligentny człowiek pozbawiony sumienia z reguły zachowuje się krótkowzrocznie i bywa zaskakująco naiwny, co powoduje, że ostatecznie umiera on z nudów, popada w ruinę finansową lub ginie od kuli.

SUMIENIE EKSTREMALNE

Najistotniejszą przyczyną pragnienia posiadania sumienia, zamiast dążenia do wyzwolenia się spod jego wpływu, wcale nie jest długa lista zgubnych cech socjopatii. Nie, największą zaletą posiadania zmysłu moralnego jest głęboki i piękny dar przychodzący do nas *tylko i wyłącznie* opakowany w sumienie. *Zdolność* do kochania wiąże się z sumieniem tak samo jak nasz duch wiąże się z naszym ciałem. Sumienie stanowi ucieleśnienie miłości, przepaja biologiczny aspekt naszego istnienia. Ma swoje miejsce w części mózgu reagującej emocjonalnie, gdy ci, których kochamy, potrzebują naszej uwagi, pomocy, a nawet poświęcenia, pobudzając nas do działania na ich rzecz. Już się przekonaliśmy, że gdy umysł nie potrafi kochać, nie ma w nim miejsca także na prawdziwe sumienie, ponieważ sumienie to poczucie odpowiedzialności oparte na naszych więziach emocjonalnych z innymi. Teraz odwróćmy to psychologiczne równanie: jeżeli ktoś nie ma sumienia, nigdy naprawdę nikogo nie pokocha. Gdy od miłości odejmiemy imperatyw – poczucie odpowiedzialności – pozostanie tylko cienka, trzeciorzędna rzecz – chęć posiadania, której żadną miarą nie można nazwać miłością.

Tuż po 11 września 2001 roku, kiedy rozpoczął się szczególnie ponury i przepełniony agresją okres w naszej historii, Bernie, zaprzyjaźniony ze mną psycholog, wyznał mi bez wahania, że wybrałby sumienie ponad pozorne korzyści płynące z jego braku, lecz trudno było mu uzasadnić dlaczego. Moim zdaniem intuicyjna decyzja Berniego wynikała z nierozerwalnego związku łączącego sumienie ze zdolnością do kochania, a gdyby miał wybierać między władzą, sławą wraz ze wszystkimi pieniędzmi na świecie a przywilejem kochania swoich dzieci, w ułamku sekundy wybrałby to drugie. Po części dlatego, że jest on dobrym człowiekiem. Ponadto, jako dobry psycholog, wie co nieco o tym, co tak naprawdę daje ludziom poczucie szczęścia.

Jest więc chęć posiadania i dominacji, i jest miłość. Mimo że Bernie nie potrafił wówczas uzasadnić swojego wyboru, postawił na sumienie, a więc faktycznie na miłość, a to mnie nie dziwi. Dominacja może zapewnić krótkotrwały dreszcz emocji, lecz wcale nie czyni ludzi szczęśliwymi. Miłość – wręcz przeciwnie.

Z drugiej strony wielu psychologów twierdzi, że niektórym ludziom sumienie nie tylko nie daje szczęścia, lecz wręcz zadręcza ich i wpędza w głęboką depresję. Czy można więc mieć *zbyt rozwinięte* sumienie?

I tak, i nie. Freud zauważył, że nadaktywne superego może doprowadzić swojego właściciela do depresji, a nawet skłonić go do samobójstwa. Lecz superego, ten wiecznie biadolący, dyscyplinujący nas głos powstały z internalizacji naszych wczesnych doświadczeń, nie jest jednoznaczny z sumieniem. Nie jest nim również coś, co psychologowie nazywają „niezdrowym wstydem", który tak naprawdę nie jest wstydem w sensie reakcji na popełnione złe czyny, lecz irracjonalnym przekonaniem wpojonym człowiekowi przez negatywne przekazy w dzieciństwie, że całe jego „ja" jest złe, odpychające i bezwartościowe. Nawet odrobina niezdrowego wstydu to zbyt wiele, chociaż jego również nie można utożsamić z normalnym sumieniem, które wyraża poczucie odpowiedzialności, a nie natrętne poczucie braku wartości i przegranej. Współcześni psychologowie, narzekając na toksyczny wpływ zbyt rozwiniętego sumienia, nierozważnie używają słów, odnoszą się bowiem do niezdrowego wstydu lub do superego działającego na podwyższonych obrotach.

Sumienie, nasz siódmy zmysł, jest czymś zupełnie innym. Definiuje się je zazwyczaj jako poczucie obowiązku zakorzenione w miłości. Pozostaje jednak pytanie, czy ekstremalne sumienie wyniszcza czy uwzniośla?

Chcąc zrozumieć, jak nadmiernie rozwinięte sumienie wpływa na psychikę człowieka, obserwujemy życie i poziom szczęścia ludzi, którzy przekształcili swój wrodzony głos sumienia w szczególnie silny „zmysł emocjonalny". Każdy z nas ma wielu własnych bohaterów moralnych – od postaci historycznych przez osoby publiczne po ludzi znanych nam osobiście, którzy zaimponowali nam swoim moralnym zaangażowaniem. Anne Colby z wielodyscyplinarnego ośrodka badawczego im. Henry'ego Murraya w Radcliffe College i William Damon z Wydziału Edukacji Uniwersytetu Browna przeprowadzili systematyczną analizę osób tego rodzaju[7]. Zaniepokojeni tym, co uznali za niedobór wzorców moralnych w naszych czasach, Colby i Damon wybrali dwadzieścia trzy osoby – jedenastu mężczyzn i dwanaście kobiet – których zaangażowanie moralne umożliwiło im wniesienie znacznego wkładu w wiele dziedzin, w tym w ochronę praw i wolności obywatelskich, ograniczanie ubóstwa i głodu, poszerzanie swobód religijnych, ochronę środowiska i działania na rzecz pokoju. W tej grupie znajdują się przedstawiciele różnych ras, wyznań, o różnym statusie społeczno-ekonomicznym i celach, o których osiągnięcie walczą, lecz wszyscy mają jedną wspólną cechę: niezwykle potężny zmysł sumienia, nadmiernie „rozbudowane" poczucie odpowiedzialności za dobro bliźnich. Z psychologicznego punktu widzenia stanowią oni diametralne emocjonalne i psychiczne przeciwieństwo socjopatów opisywanych dotąd w tej książce.

Do „wzorców moralnych" Colby i Damona zaliczają się: Virginia Foster Durr (piękność z południa USA, obrończyni praw człowieka, jako pierwsza osoba przytuliła Rosę Parks[8], gdy ta wyszła z więzienia), Suzie Valadez (od wielu lat zapewnia pożywienie, opiekę medyczną i dostarcza ubrań tysiącom najuboższych Meksykanów w mieście Ciudad Juárez), Jack Coleman (były prezydent Haverford College, znany ze spędzania swoich urlopów naukowych jako robotnik, kopacz rowów, śmieciarz, a nawet bezdomny), biznesmen Cabell Brand (zainicjował kampanię przeciwko ubóstwu w Roanoke w Wirginii) i Charleszetta Waddles (założycielka Perpetual Mission, pomagająca osobom starszym i ubogim, samotnym matkom, prostytutkom oraz maltretowanym dzieciom w Detroit).

Naukowcy przeprowadzili pogłębione wywiady z każdą z tych osób oraz z ich współpracownikami, przeanalizowali ich autobiografie i przekazywane ustnie opowieści na ich temat. W książce dokumentującej dokonane odkrycia, zatytułowanej *Some Do Care. Contemporary Lives of Moral Commitment* (Niektórych obchodzi. Współczesne przykłady moralnego zaangażowania) zwracają uwagę na trzy uderzające cechy występujące u wszystkich osób mających ekstremalnie rozwinięte sumienie: (1) „pewność" (2) „pozytywność" oraz (3) „jedność własnego ja i celów moralnych". „Pewność" oznacza wyjątkowy brak jakichkolwiek wątpliwości, na czym polega właściwe postępowanie, a także jednoznaczne poczucie osobistej odpowiedzialności za podejmowanie działań zgodnych z tymi przekonaniami. „Pozytywność" odnosi się do pozytywnego stosunku do życia, niezwykłej radości czerpanej z pracy oraz niewzruszonego optymizmu, często pomimo trudności, a nawet zagrożeń. Terminem „jedność własnego ja i celów moralnych" autorzy określają integrację postawy moralnej badanych osób z ich koncepcją własnej tożsamości oraz postrzeganą przez nie identyczność celów moralnych i osobistych.

„Jedność” oznacza, że dla tych osób sumienie nie tylko wytycza kierunek postępowania, lecz także kształtuje ich tożsamość. Starając się opisać własne poczucie tożsamości, Cabell Brand wyjaśnił w wywiadzie: „Jestem tym, co mogę zrobić i jak się czuję przez cały czas, każdego dnia, w każdej chwili. (…) Trudno mi oddzielić to, kim jestem, od tego, co chcę zrobić i co robię”.

Colby i Damon uznają tę trzecią cechę: „jedność własnego ja i celów moralnych”, za swoje najważniejsze odkrycie o kluczowym znaczeniu dla zrozumienia sumienia i skutków jego działania. Najwyraźniej wystarczająco rozwinięte sumienie jednoczy psychikę człowieka w wyjątkowo korzystny sposób. Zamiast powodować „zakłócenia w jego życiu”, ekstremalna wersja sumienia znacznie zwiększa zadowolenie z życia. Colby i Damon piszą: „Badane przez nas osoby okazały się odporne na wyniszczający wpływ niedostatku, ponieważ do odniesienia osobistego sukcesu wystarczała im skuteczna realizacja własnej misji moralnej”. Ludzie uznani przez Colby i Damona za wzorce moralne „określali własny dobrostan i osobisty interes w kategoriach moralnych, z nielicznymi wyjątkami byli bardzo szczęśliwi i spełnieni”. Świadomie odrzucali występującą w naszej kulturze tendencję do traktowania sumienia i własnego interesu jako przeciwieństw. Ich wyjątkowe poczucie obowiązku wobec innych ludzi daje im szczęście, a nie przysparza im cierpień lub dyskomfortu płynącego z bycia wykorzystywanym.

Sumienie – nasze poczucie odpowiedzialności za siebie i bliźnich – pozwala nam żyć razem z innymi pod jednym dachem i na naszej planecie. Pomaga nadawać naszemu życiu sens i chroni przed pustą egzystencją opartą na bezsensownym współzawodnictwie. Bardzo rozbudowany zmysł sumienia może połączyć w jedno w naszym umyśle zamiary moralne, osobiste pragnienia i tożsamość – działanie w słusznej sprawie staje się *elementem naszej tożsamości*. Właśnie dlatego ekstremalne sumienie wydaje się rzadkim, doskonale pasującym kluczem do ludzkiego szczęścia.

Oto moja najlepsza porada jako psychologa: gdy rozglądacie się po naszym świecie, próbując się zorientować, co się właściwie dzieje i kto „wygrywa”, nie żałujcie, że macie sumienie. Pragnijcie, by było z wami zawsze.

Cieszcie się własnym losem.

Działając w zgodzie z własnym sumieniem, być może nigdy nie będziecie mogli robić wszystkiego, co się wam podoba, ani postępować tak, by łatwo odnieść zauważalny sukces w świecie materialnym. Dlatego zapewne nigdy nie uzyskacie wielkich wpływów finansowych ani politycznych. Być może nigdy nie będziecie wzbudzać szacunku ani strachu w masach ludzi. Wręcz przeciwnie, będziecie doświadczać bolesnych wyrzutów sumienia, które każą wam działać wbrew własnym egoistycznym ambicjom. Być może będziecie musieli ciężko pracować przez całe życie, rezygnując z pokusy dziecinnej zależności od innych, powodowani pragnieniem, by wasze dzieci rozwijały się prawidłowo. Co jakiś czas zapewne wpadniecie w sidła socjopatów, a ze względu na skrupuły nigdy nie weźmiecie satysfakcjonującego odwetu na ludziach, którzy was skrzywdzili. Aha, zapewne nigdy też nie zostaniecie dyktatorem małego kraju.

Ale będziecie mogli spojrzeć na swoje dzieci ufnie śpiące w łóżkach i poddać się przemożnej fali podziwu i wdzięczności. Zachowacie innych w swoim sercu długo po ich odejściu. Będziecie mieli prawdziwych przyjaciół. W przeciwieństwie do pustej egzystencji goniącej za ryzykiem garstki ludzi pozbawionych siódmego zmysłu przejdziecie przez życie w pełni

świadomi ciepłej i podnoszącej na duchu, irytującej, dezorientującej, istotnej, a czasem radosnej obecności innych ludzi, a wraz ze swoim sumieniem będziecie mogli podjąć największe ryzyko ze wszystkich, czyli obdarzyć inną osobę miłością.

Sumienie to naprawdę cenny dar matki natury. Jego wartość ujawnia się zarówno na przestrzeni wieków, jak i podczas zwykłych, codziennych kontaktów z przyjaciółmi i sąsiadami. Ich znaczenie poznamy w następnym rozdziale. Wraz z całym osiedlem spędzimy dzień w towarzystwie nieszczęśliwej socjopatki o imieniu Tillie. Na jej przykładzie przekonamy się – choć ona sama nigdy się tego nie dowie – że to właśnie dzięki sumieniu warto doświadczać codzienności.

---

[1] T. Zerjal i in., *The Genetic Legacy of the Mongols*, „American Journal of Human Genetics" 72 (2003), s. 717–721.

[2] Zob. np. J. Ogloff, S. Wong, *Electrodermal and Cardiovascular Evidence of a Coping Response in Psychopaths*, „Criminal Justice and Behavior" 17 (1990), s. 231–245; A. Raine, P. Venables, *Skin Conductance Responsivity in Psychopaths to Orienting, Defensive, and Consonant Vowel Stimuli*, „Journal of Psychophysiology" 2 (1988), s. 221–225.

[3] D. Regier i in., *Comorbidity of Mental Disorders with Alcohol and Other Drug Abuse. Results from the Epidemiologic Catchment Area (ECA) Study*, „Journal of the American Medical Association" 264 (1990), s. 2511–2518.

[4] R. Brooner, L. Greenfield, C. Schmidt, G. Bigelow, *Antisocial Personality Disorder and HIV Infection Among Intravenous Drug Abusers*, „American Journal of Psychiatry" 150 (1993), s. 53–58.

[5] R. Guze, P. Woodruff, P. Clayton, *Hysteria and Antisocial Behavior. Further Evidence of an Association*, „American Journal of Psychiatry" 127 (1971), s. 957–960; L. Robins, *Deviant Children Grown Up. A Sociological and Psychiatric Study of Sociopathic Personality*, Baltimore 1966.

[6] L. Heston, R. Heston, *Medical Casebook of Adolf Hitler. His Illnesses, Doctors, and Drugs*, New York 2000.

[7] A. Colby, W. Damon, *Some Do Care. Contemporary Lives of Moral Commitment*, New York 1992, s. 262; A. Colby, W. Damon, *The Development of Extraordinary Moral Commitment*, w: *Morality in Everyday Life. Developmental Perspectives*, red. M. Killen, D. Hart, Cambridge 1997, s. 364.

[8] Amerykańska działaczka na rzecz praw człowieka uznawana za symbol walki z segregacją rasową (przyp. tłum.).

11

DZIEŃ ŚWISTAKA

To, co nie jest dobre dla roju, nie jest też dobre dla pszczoły.
MAREK AURELIUSZ

Tillie jest osobą, którą teoretyk osobowości Theodore Millon nazwałby „zgryźliwą psychopatką”[1]. Jest socjopatką, ale niestety brak jej typowego dla tej grupy ludzi uroku i taktu. Zamiast tego, by użyć słów Millona, „otwarcie szuka zwady i zachowuje się napastliwie”, ponadto „wszystko i wszyscy w każdej chwili mogą się stać celem uszczypliwości i agresji z jej strony”. Tillie ma pewną wyjątkową zdolność: potrafi wykryć nawet najmniejszy, najsubtelniejszy ślad konfliktu i rozdmuchać go w pełnowymiarową awanturę. Specjalizuje się w tworzeniu atmosfery wrogości i zgorzknienia tam, gdzie niczego podobnego wcześniej nie było, prowokując zazwyczaj łagodnych i pokojowo usposobionych ludzi.

W świecie Tillie to ona ma zawsze rację. Przekonana o swojej nieomylności, czerpie radość z wchodzenia w konflikty z przeciwnikami, którzy są wszędzie i uparcie tkwią w błędzie. Za życiową misję obrała sobie poprawianie świata – to powołanie realizuje bez wahania i bez wyrzutów sumienia. Uważa, że inni jej nie doceniają, więc tym bardziej zasługują na to, co ich spotyka.

Dzisiejszego rana Tillie odkrywa na swoim podwórku świstaka. Ze swojej oszklonej werandy kobieta widzi, jak zwierzę przysiada w trawie na pulchnym zadzie i kręci bystrą główką na wszystkie strony, jakby przeprowadzając inspekcję jej ogródka. Gdy Tillie rozsuwa drzwi, by się mu lepiej przyjrzeć, zwierzę na chwilę zastyga w bezruchu, po czym kołyszącym się krokiem podchodzi do dziury w ziemi na skraju trawnika tuż przy granicy z posesją jej sąsiadów, Catherine i Freda, i znika.

Tillie zapamiętuje miejsce, w którym znajduje się wejście do nory świstaka, a następnie wychodzi na balkon. Zaintrygowana przygląda się miejscu, w którym przed chwilą znajdowało się zwierzę. Siwowłosa siedemdziesięciolatka o szerokich biodrach, w podomce w niebieską kratkę to wypisz wymaluj archetyp miłej, mądrej staruszki, chociaż każdemu, kto by ją ujrzał w tej chwili, skojarzyłaby się raczej ze świstakiem.

Greta i Jerry – mieszkający nieco wyżej na wzgórzu kolejni sąsiedzi kobiety – postanowili tego dnia zjeść śniadanie na werandzie. Widzą Tillie wychodzącą na balkon, lecz są zbyt daleko, by dostrzec świstaka. Starsza kobieta w niebiesko-białej podomce wciąż stoi bez ruchu.

Greta ma trzydzieści pięć lat i jest dyrektorką miejscowego domu towarowego. Mówi do swojego męża, Jerry’ego, przedsiębiorcy budowlanego:

– Cholera, szkoda, że ta jędza się stąd nie wyprowadza. Jak długo ona już tu mieszka?

– Piętnaście miesięcy – odpowiada Jerry.

Greta uśmiecha się smutnie.

– Ale kogo to obchodzi, prawda? Wiem, że nie powinnam sobie życzyć, żeby stąd zniknęła, ale ta kobieta jest po prostu niewiarygodnie złośliwa. Chce wszystko kontrolować. Nie mam pojęcia, jak wytrzymuje sama ze sobą.

Jerry wzdycha i mówi:

– Może odkupilibyśmy od niej ten dom?

Greta prawie wybucha śmiechem, lecz w tej samej chwili uświadamia sobie, że Jerry nie żartuje. Nagle zdaje sobie sprawę z tego, że jej zazwyczaj spokojny mąż gardzi Tillie tak samo jak ona. Przebiega ją dreszcz, czuje się trochę winna, więc idzie do kuchni po dolewkę gorącej kawy.

Kiedy wraca, Jerry wciąż wpatruje się w staruszkę na balkonie. Mówi:

– Wiesz co? Tak naprawdę nie stać nas na kupno jej domu. Może kiedyś sama się wyprowadzi? Ty na pewno wyniosłabyś się, gdyby wszyscy w sąsiedztwie nie znosili cię tak samo, jak nie znoszą jej.

– Założę się, że ludzie wszędzie reagują na nią tak samo – dodaje Greta.

– Tak. Chyba tak. Gdzie mieszkała wcześniej?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Greta. A potem, zadowolona, że Jerry podziela jej opinię na temat sąsiadki, mówi:

– Uwierzyłbyś? Chyba w zeszłym tygodniu zadzwoniła do mnie i powiedziała, że powinniśmy przestać palić w kominku, bo ma „uczulenie na dym z palonego drewna”. Wiedziałeś o tym?

– Co? Nie mówiłaś mi! Chyba zupełnie zwariowała! – Jerry zaciska pięści, a następnie zmienia zdanie. – Nie, nie zwariowała. Po prostu wygaduje bzdury. Dziś wieczorem rozpalimy w tym cholernym kominku. Zanim wyjadę do pracy, przyniosę jeszcze trochę drewna.

– Ale dziś ma być naprawdę ciepło.

– I co z tego?

Tym razem Greta wybucha śmiechem.

– Wiesz, jak to zabrzmiało?

Jerry spogląda na żonę z zakłopotaniem. Kąciki jego ust zaczynają się unosić ku górze. Otwiera zaciśnięte pięści i kilkakrotnie strzela palcami, by się pozbyć napięcia.

Po drugiej stronie ulicy, trzy domy za posesją Grety i Jerry’ego, mieszka Sunny, wdowa w podeszłym wieku. W tej samej chwili, choć nie widzi Tillie stojącej na balkonie, również myśli o tym, jak wredna potrafi być jej sąsiadka. Wczoraj wezwała policję, bo Sunny zostawiła samochód na ulicy przed własnym domem. Kobieta zawsze parkowała go na stosunkowo dużej przestrzeni między ulicą i domem, ponieważ od śmierci męża przed dziesięcioma laty obawiała się wyjeżdżać tyłem na ulicę. Wezwany na miejsce młody policjant polecił jej, by usunęła samochód na podjazd. Kilkakrotnie przeprosił Sunny, ale przyznał Tillie rację. Sunny naruszyła przepisy. Staruszka jeszcze nie jadła śniadania, a już się obawia wyprawy do sklepu, ponieważ będzie musiała wyjechać samochodem na wstecznym biegu bez niczyjej pomocy. Zbiera jej się na płacz. A przecież jej samochód wcale nie stał w pobliżu domu Tillie!

W tym samym czasie Tillie na tarasie od strony ogrodu dochodzi do wniosku, że świstak już

się nie pojawi. Wraca do domu, gdzie nie widzą jej Greta ani Jerry, którzy dopijają kawę i próbują zmienić temat rozmowy. Kobieta wchodzi do kuchni, podnosi słuchawkę i dzwoni do Catherine, sąsiadki, z którą jak się okazuje, mają wspólnego świstaka.

Catherine uczy w szóstej klasie. Pracuje w szkole, odkąd skończyła dwadzieścia dwa lata, a teraz zbliżają się jej sześćdziesiąte urodziny. Uważa, że powinna przejść na emeryturę, ale sama myśl o tym wprawia ją w przygnębienie. Praca w szkole, dzieci są dla niej całym światem, więc naprawdę nie chce rezygnować. Jej starszy o siedem lat mąż Fred jest już na emeryturze. Rozumie ją i zachowuje cierpliwość.

– Kiedy tylko zechcesz – zawsze powtarza. – Wiesz, jak bardzo lubię pomajsterkować w domu i naprawiać różne rzeczy.

Potem oboje wybuchają śmiechem. Fred ledwo potrafi wymienić przepaloną żarówkę. Rok wcześniej niechętnie ustąpił ze stanowiska redaktora naczelnego miejscowej gazety. Jest dobrym, spokojnym człowiekiem. Wiele czyta i tak bardzo kochał swoją pracę, że nadal jako emerytowany felietonista prowadzi w gazecie rubrykę towarzyską zatytułowaną *Ludzie, których warto poznać*.

Gdy odzywa się telefon, Fred czyta w salonie, a Catherine jest w kuchni i przygotowuje się do wcześniejszego wyjścia do pracy. Dźwięk telefonu o tej porze sprawia, że Catherine się wzdryga. Szybko podnosi słuchawkę.

– Halo?

– Catherine? – rzuca szorstko Tillie, jakby była zła.

– Przy telefonie. To ty, Tillie? Mój Boże, dopiero siódma rano. Wszystko w porządku?

– Tak. Nic mi nie jest. Właśnie zobaczyłam na podwórku świstaka i pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć.

– Co? Świstaka?

– Tak, z tyłu, na granicy naszych ogrodów.

– No cóż, to… ciekawe. Musiał być uroczy, prawda?

– Chyba tak. Nie przeszkadzam ci, bo wiem, że jesteś zajęta, ale pomyślałam, że powinnaś wiedzieć o zwierzęciu. Możemy porozmawiać o nim później. Do widzenia.

– Mhm, racja. Porozmawiamy później. Do widzenia, Tillie.

Zdumiona Catherine odkłada słuchawkę.

– Kto dzwonił? – woła Fred z pokoju znad książki.

Catherine wchodzi do salonu, gdzie siedzi mąż i odpowiada:

– Tillie.

– O cholera! – mówi Fred, przewracając oczami. – Czego chciała?

– Powiedziała mi, że widziała w ogrodzie świstaka.

– Dlaczego uznała, że cię to zainteresuje?

– Nie mam pojęcia. – Catherine kręci przecząco głową.

– Ach, ta Tillie! – mówi Fred, unosząc prawą dłoń ku skroni i udając, że salutuje.

Kończąc poranne przygotowania, Catherine czuje się nieswojo, ponieważ wie, że z Tillie sprawy zawsze się komplikują, a na koniec sąsiadka i tak stawia na swoim. Nauczycielka jest trochę zdezorientowana, bo nie ma pojęcia, jak Tillie zamierza rozegrać sprawę świstaka. Może chce się go pozbyć? A może w zawoalowany sposób prosiła o pozwolenie na to? Catherine i Fred mieszkają w tym samym domu od trzydziestu lat i nigdy nie widzieli świstaka w ogrodzie.

To trochę dziwne.

Gdy Catherine już ma wyjść do szkoły, telefon dzwoni po raz drugi. Catherine obawia się, że to znów Tillie, lecz w słuchawce rozlega się przyjazny, łagodny głos Sunny. Kobieta jest niepocieszona, bo złośliwa sąsiadka zmusiła ją do zaparkowania samochodu na podjeździe, skąd Sunny nie potrafi wyjechać tyłem na drogę. Prosi sąsiadów o pomoc. Czy Catherine i Fred mogliby dziś zabrać ją do sklepu? Na wieść o najnowszym wyczynie Tillie Catherine czuje, jak krew uderza jej do głowy, lecz spokojnym głosem zapewnia sąsiadkę, że oczywiście Fred pomoże jej w zakupach. Może w porze lunchu? Poza tym Fred bardzo dobrze zna szefa miejscowej policji, więc może sprawę parkowania da się jakoś załatwić.

W szkole Catherine na cały dzień zapomina o Tillie, lecz gdy wraca do domu około wpół do piątej, przypomina sobie poranny telefon i znów zaczyna się czuć nieswojo. Miała zamiar się zdrzemnąć przed kolacją, gdy jednak przysiada na łóżku, wzbiera w niej niepokój, więc wstaje i podchodzi do okna. Z sypialni na piętrze rozpościera się doskonały widok na cały ogród za domem, w tym na jego część należącą do Tillie. Dzień jest nietypowo ciepły jak na wczesną wiosnę. Wszystkie piękne krzewy forsycji posadzone przez Freda wzdłuż tylnej granicy ogrodu zaczynają kwitnąć. Przed nimi znajduje się spory trawnik, a za długim rzędem krzewów pokrytych żółtymi kwiatami rozciąga się szarobrązowy cień wciąż bezlistnych drzew w parku graniczącym ze wszystkimi podwórkami po tej stronie ulicy.

Catherine zdumiewa się na widok sąsiadki stojącej w samym środku trawnika na swojej posesji. Kobieta wciąż ma na sobie niebiesko-białą kraciastą podomkę, lecz na głowę włożyła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, zupełnie jakby miała zamiar popracować w ogrodzie.

Jednak Tillie nigdy nie interesowała się ogrodnictwem.

Rozgląda się po ogrodzie i po chwili znajduje to, czego szukała. Podchodzi bliżej, pochyla się i z zauważalnym wysiłkiem podnosi z ziemi przedmiot – coś jak duży biały kamień przypominający wielkością i kształtem arbuza. Catherine przygląda się kobiecie uważniej i zdaje sobie sprawę, że tym przedmiotem jest rzeczywiście kamień, a raczej niewielki głaz, który Tillie ledwo może udźwignąć. Przyciska go jednak oburącz do ciała, zgarbiona, że aż żal patrzeć, i niepewnym krokiem zbliża się ku forsycjom.

Catherine przypomina sobie fragment porannej rozmowy telefonicznej – „świstak na granicy naszych ogrodów” – i już wie, co Tillie ma zamiar zrobić. Nora świstaka! Kobieta zamierza zablokować kamieniem wyjście z nory zwierzęcia, o którym jej opowiadała.

Nauczycielka wzdryga się z oburzenia. Odczuwa lekki zawrót głowy i robi jej się niedobrze, zupełnie jakby była świadkiem morderstwa. Musi coś zrobić, ale wyjście do ogródka i bezpośrednia konfrontacja z Tillie przypominałaby kłótnię z wściekłym rosomakiem. W rzeczywistości, choć Catherine nie chce się do tego przyznać nawet sama przed sobą, Tillie wzbudza w niej przerażenie z przyczyn, których nie potrafiłaby nawet wyrazić słowami. Ale dlaczego miałaby ją przerażać drobna, siedemdziesięcioletnia staruszka?

I skąd Tillie wiedziała, że Catherine właśnie w tej chwili będzie patrzeć na nią z domu? A może nie wiedziała?

Catherine zaczyna przemierzać krokami sypialnię – od okna do starej dębowej toaletki i z powrotem. Widzi, jak Tillie niezdarnie upuszcza kamień tuż za forsycjami w połowie drogi między dwoma małymi wierzbami i starannie zapamiętuje jego położenie. Potem kieruje się z powrotem do toaletki i zerka w stare lustro. Tillie strzepuje drobiny ziemi z podomki i paraduje z powrotem przez trawnik ku swojemu tarasowi, podczas gdy Catherine nadal wpatruje się we

własne oczy w lustrze. „Biedne zwierzątko – myśli. – A jeżeli nie będzie mogło się wydostać spod ziemi?”

Wreszcie nauczycielka już wie, co robić. Musi powiedzieć o wszystkim Fredowi. Mąż jej pomoże.

Fred wybrał się w odwiedziny do starych znajomych w redakcji gazety. Gdy wraca do domu, Catherine mówi mu, co zrobiła Tillie. Mężczyzna odpowiada:

– No cóż, myślę, że w tym przypadku Tillie upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu. I to dosłownie.

– Co masz na myśli?

– Ciebie i tego małego świstaka.

– Świetnie. Mówisz poważnie czy żartujesz? – pyta Catherine ponuro.

– Raczej mówię poważnie. Na pewno nie chcesz, żebym tam poszedł i powiedział jej, co o tym myślę?

– Nie. Ona zrobi to jeszcze raz. Chcę pomóc świstakowi, żeby nic mu się nie stało. Pójdziesz ze mną?

– A mam jakiś wybór?

Catherine uśmiecha się i przytula go.

– Nie sądzę – mówi.

Jak zawsze razem przygotowują kolację i czekają na zapadnięcie zmroku, mniej więcej do godziny dziewiątej. Fred sugeruje, by wzięli latarki, ale Catherine się obawia, że Tillie zobaczy światła.

– Zobaczy, że go uwolniliśmy, i jutro znów zatoczy tam kamień.

– Musimy wziąć przynajmniej jedną, żeby znaleźć wejście do nory, kiedy już będziemy na miejscu.

– Dobrze. W takim razie może małą, kieszonkową?

Bardzo powoli podążają ku granicy posesji, żeby się nie potknąć w ciemnościach. Fred idzie przodem, a Catherine za nim z rękami wyciągniętymi przed siebie niczym lunatyczka, żeby nie stracić równowagi. Mijają rząd forsycji. Następnie kobieta z zapałem dziecka robi krok w jeszcze większe ciemności, mając nadzieję dotknąć dłonią jednej z wierzb, a nie uderzyć w nią głową.

Natrafia na gałązkę, bierze głęboki oddech i szepcze:

– Okej, Fred. Poświeć!

Fred wyciąga z kieszeni latarkę, przykuca nad ziemią i wciska przełącznik. Po chwili znajdują kamień wielkości arbuza. Poszło im łatwiej, niż się spodziewali, bo jest gładki, biały i kontrastuje z otaczającą go ziemią. Catherine głęboko oddycha i zakłada za lewe ucho niesforny kosmyk włosów. Razem z Fredem schylają się i podnoszą kamień. Ich oczom ukazuje się zaskakująco mały otwór w ziemi, zważywszy na to, że korzysta z niego świstak sporych rozmiarów.

Catherine ma zamiar poświecić latarką w głąb otworu, by sprawdzić, czy mieszkaniec nory nie czai się w pobliżu, lecz dochodzi do wniosku, że po pierwsze, i tak wiele nie zobaczy, a po drugie, może przestraszyć zwierzę.

Trzymając się za ręce, szepcząc i powstrzymując śmiech, Catherine i Fred wracają do domu.

Tillie ich nie widzi. Gdy wracają z misji, od dobrych kilku godzin jak zwykle dąsa się na

cały świat. Siedzi na kanapie w swoim salonie i nalewa sobie szklankę za szklanką whisky Glenlivet, starając się utopić w alkoholu monotonię życia i głosy idiotów, z którymi nieustannie ma do czynienia. Ten wieczór od innych odróżniają tylko leżące wszędzie dokoła stosy pakunków.

Zamroczony alkoholem umysł gratuluje jej genialnego pomysłu: tym razem nie postawiła przy domu szyldu z napisem „Na sprzedaż". A to się dopiero zdziwią ci kretyni. Aż opadną im szczęki.

Agent z biura nieruchomości okazał się zupełnie do niczego. Ciągle jej powtarzał, że nie wystawiając szyldu, sama sobie szkodzi, poza tym jego zdaniem powinna poczekać na lepszą ofertę. Nabywca, z którym dobiła targu, zaproponował niższą cenę. Ale Tillie nie może czekać. Nigdy tego nie lubiła. Jutro rano nadejdzie chwila jej triumfu. Wszyscy w tej całej okropnej dzielnicy będą wstrząśnięci jej wyprowadzką. Jest tego pewna. Agent nie ma pojęcia, dlaczego zachowanie wszystkiego w tajemnicy jest takie ważne, ale to głupek. Kto by się przejmował jego gadaniem! Wcześniej też ponosiła straty, kiedy chciała szybko pozbyć się domu. Tylko to się liczy – myśli. Tylko to. Po co mieszkać tam, gdzie nikt nas nie słucha? A nic nie smakuje tak jak zemsta na odchodnym.

Tillie przez większą część życia utrzymywała się ze środków zgromadzonych w funduszu powierniczym po zmarłym ojcu. Teraz twierdzi, że „jest na emeryturze", ale tak naprawdę nigdy nie pracowała. Kiedyś, gdy była młodsza, malowała akwarele, ale nigdy nie sprzedała ani jednej. Chciałaby kupować większe, lepsze domy, ale jej matka wciąż jeszcze żyje, więc Tillie nie może się dobrać do reszty pieniędzy. Przeklęta starucha ma prawie sto lat. Ile można? Dlatego Tillie musi się zadowolić pomieszkiwaniem w okropnych dzielnicach klasy średniej, chociaż wie, że ma prawo do bardziej wystawnego stylu życia. Co jakiś czas odwiedza matkę, bo nie chce zostać wykreślona z jej testamentu, chociaż przykuta do łóżka starucha przypomina jej teraz skrzeczącą w klatce na pół wyłysiałą papugę. Żeby jeszcze miała coś ciekawszego do powiedzenia.

Tak naprawdę niewiele rzeczy wzbudza jej zainteresowanie. Uduszenie gryzonia wystarczyło jej na kilka minut. Ma nadzieję, że Catherine wszystko widziała. Z pewnością trafi ją szlag! Ale plan został wykonany, więc Tillie nie ma już nic do zrobienia. Nie potrafi sobie wyobrazić, co robią ci wszyscy głupi ludzie zamieszkujący jej dzielnicę, co takiego każe im się zajmować całym mnóstwem nic nieznaczących drobiazgów. Ale tak to już jest z osobami o mózgach wielkości ziarnka grochu.

Nalewa sobie kolejnego drinka i wychyla go jednym haustem. Nad nieużywanym kominkiem wisi obraz, którego jeszcze nie zdążyła spakować. Namalowała go, gdy miała dwadzieścia kilka lat. Jest tak wyblakły, że w pogrążonym w półmroku salonie trudno dojrzeć, co właściwie przedstawia. Skulona na kanapie Tillie zerka na niego i jak przez mgłę przypomina sobie scenerię – plażę, po której spacerowała kilkadziesiąt lat temu. Potem widzi jeszcze maleńkie punkciki gwiazd, na które czeka prawie co wieczór, zanim straci świadomość.

Następny dzień, sobota, jest nieco chłodniejszy od poprzedniego, lecz niebo pozostaje bezchmurne.

Po drugiej stronie, kilka domów w dół ulicy Sunny rozsuwa koronkowe firanki we frontowym oknie. Gdy do środka wdzierają się promienie słońca, delektuje się radosnym widokiem swojego samochodu zaparkowanego na właściwym miejscu – przy chodniku. Tak jak chciała. Wczoraj po lunchu Fred rozmawiał z komendantem policji i załatwił wszystko. „Nareszcie będę mogła odetchnąć" – szepcze do siebie. Chciałaby się zrewanżować Fredowi

i Catherine. Ale jak? Może coś im upiecze? Wyobraża sobie, jak bardzo się ucieszą z pachnącego placka, i rozpogadza się jeszcze bardziej.

W domu sąsiadującym od góry z posesją Tillie Greta ma wolny weekend, więc wraz z Jerrym wstają dość późno. Gdy wychodzą na oszkloną werandę na poranną kawę, na podjeździe zauważają dużą ciężarówkę z logo formy transportowej.

– Czy to znaczy to, co myślę? – pyta Jerry, patrząc na pojazd. – A może jeszcze śpimy i to wszystko nam się śni?

– To musi być sen – wyrokuje Greta. Ani na chwilę nie spuszcza wzroku z podjazdu sąsiadki. – Ale nie zauważyłam szyldu z informacją, że wystawia dom na sprzedaż. A ty?

– Ja też nie.

W tej samej chwili dwóch mężczyzn w płóciennych kombinezonach wychodzi z domu Tillie, niosąc kanapę. Greta i Jerry spoglądają po sobie i wybuchają śmiechem. Nagły atak wesołości sprawia, że Jerry rozlewa trochę kawy ze swojego kubka.

– Jak myślisz, dlaczego trzymała to wszystko w sekrecie? – pyta Greta.

– A dlaczego ona zachowuje się tak, jak się zachowuje? Ale to już nie ma znaczenia, prawda? Chociaż jeszcze nie do końca wierzę w to, co widzę.

Greta zastanawia się przez chwilę, a potem mówi:

– Jak myślisz, ile ona może mieć lat?

– Nie wiem. Młoda nie jest.

– Zastanawiam się, czy ma dzieci. Ojej! Potrafiłbyś sobie wyobrazić, że jesteś jej synem?

– A ty potrafiłabyś sobie wyobrazić, że jesteś nią? Okropność w czystej postaci.

– Uważasz, że powinniśmy jej współczuć? – pyta Greta.

Jerry uśmiecha i lekceważąco wskazuje ręką na scenę przeprowadzki.

– Nie jestem tego pewien, kochanie. Ale jeżeli mamy jej żałować, zróbmy to z pełnymi żołądkami, okej? Pamiętasz o strudlu?

– Tak! – mówi Greta i oblizuje się. Bierze oba kubki do kawy i oboje wychodzą do kuchni, gdzie znajduje się ciasto.

Catherine i Fred również dostrzegają ciężarówkę i krzątających się przy sąsiednim domu pracowników firmy przewozowej. Zastanawiają się, dlaczego nie zauważyli ogłoszenia o sprzedaży, dlaczego Tillie nie powiedziała im o zamiarze wyprowadzki. Fred znów przewraca oczami, a Catherine kręci głową z niedowierzaniem. Ale ich uwagę odwraca brzęczyk telefonu – tym razem to córka i zięć dzwonią z informacją, że za dwa tygodnie przylecą do nich w odwiedziny wraz z czteroletnią wnuczką Katie. Catherine nie posiada się z radości, więc przeprowadzka Tillie, wciąż w toku, natychmiast schodzi na dalszy plan.

Dwie godziny później, gdy ciężarówka opuszcza podjazd, nikt nawet nie zaszczyca jej spojrzeniem. Na ulicy znów zapada cisza.

W ogrodzie Catherine i Freda z drugiej dziury gramoli się świstak i staje słupka na krótkich tylnych łapach. Jego czarne oczy lśnią w jasnym świetle słońca. Zwierzę zerka na duży biały kamień leżący w pobliżu pierwszego wejścia do nory za rzędem kwitnących na żółto krzewów. Potem odwraca głowę w stronę opuszczonego domu. Wreszcie koncentruje swoją uwagę na kępce mleczy rosnącej tuż przed nim w miękkiej ziemi. Po chwili wyłania się z otworu nieco mniejsze zwierzę. Obydwa przysiadają po świstaczemu na tylnych łapkach, niespiesznie posilają się młodymi pędami roślin, po czym wolnym krokiem kierują się do lasu.

[1] T. Millon, R. Davis, *Ten Subtypes of Psychopathy*, w: *Psychopathy. Antisocial, Criminal, and Violent Behavior*, red. T. Millon i in. (zob. drugi przypis do rozdziału 4 dotyczący podtypów socjopatów zaproponowanych przez Millona).

12

SUMIENIE W NAJCZYSTSZEJ POSTACI: NAUKA OPOWIADA SIĘ ZA MORALNOŚCIĄ

Ten, kto najada się do syta, podczas gdy jego sąsiad umiera z głodu, nie jest prawdziwym wyznawcą.
MAHOMET
Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł?
JEZUS
Człowiek, który potrafi podzielić atom, ale nie ma miłości w swoim sercu, staje się potworem.
KRISHNAMURTI

W taki czy w inny sposób życie człowieka pozbawionego sumienia kończy się porażką. Ci z nas, którzy kochają innych i słuchają głosu sumienia, mają naprawdę ogromne szczęście nawet wtedy, gdy wiodą zwykłe życie wypełnione pracą, odruchowym dawaniem i braniem oraz drobnymi przyjemnościami.

Zazwyczaj sumienie działa właśnie tak: odruchowo i zwyczajnie. Bez fanfar i najczęściej niedostrzegalnie nadaje ono głębszy sens naszym spontanicznym, codziennym kontaktom ze wszystkimi i wszystkim, co nas otacza. Catherine i Fred nie kierowali się wzniosłymi zasadami, gdy postanowili uwolnić świstaka, który, jak się później okazało, wcale nie był uwięziony. Nie powodowała nimi pobożność ani odwaga, nie byli szczególnie skuteczni, a już z pewnością nie zachowali się racjonalnie. Po prostu niesienie pomocy zagrożonemu zwierzęciu wydawało się właściwe i w pewien sposób *poprawiło im samopoczucie*. Odsunięcie kamienia, by użyć starego i powszechnie zrozumiałego wyrażenia, sprawiło, że zrobiło im się lekko na duszy.

Jeżeli chodzi o sumienie, na przestrzeni wieków kultura zachodnia przeszła od wiary w niezmienne, dane przez Boga poznanie dobra i zła przez freudowską koncepcję karzącego superego do zrozumienia, że nasz „siódmy zmysł” opiera się na normalnych i pozytywnych relacjach międzyludzkich. Jako poczucie odpowiedzialności zakorzenione w naszych więziach emocjonalnych, sumienie wyewoluowało w konstrukt czysto psychologiczny. Lecz z filozoficznego punktu widzenia można tu dostrzec powrót do korzeni, do początków sumienia w religii. Sumienie jest także miejscem, w którym psychologia spotyka się z duchowością, miejscem, w którym całkowicie pokrywają się ze sobą zalecenia psychologii i nauki największych tradycji religijnych oraz duchowych świata. Co za niezwykła zbieżność opinii: radykalni materialiści i mistycy w milczącej komunii umysłów, behawioryści, psychologowie

ewolucyjni i teologowie reprezentujący wszystkie wyznania zgadzają się, że posiadanie dobrze rozwiniętego sumienia jest niezwykle korzystne, a jego brak najczęściej prowadzi do katastrof zarówno w wymiarze grupowym, jak i jednostkowym.

Psycholog powiedziałby, że gdy bierzemy część odpowiedzialności za dobro innych, czujemy, że nasze działania są naturalne (lub egosyntoniczne), i wzrasta nasze zadowolenie z życia. Biblia mówi po prostu: „Więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu" (Dz 20, 35). Jako psycholożka mogę stwierdzić, że brak poczucia odpowiedzialności zakorzenionej w więziach emocjonalnych wiąże się z niekończącym się i zazwyczaj daremnym dążeniem do dominacji, co prowadzi do poważnych problemów w życiu, a na koniec do utraty zadowolenia z niego. Budda ujął to słowami: „Wszystko, czym jesteśmy, wynika z naszych myśli. Jeżeli ktoś mówi lub działa powodowany złą myślą, ból podąża za nim. Jeżeli ktoś mówi lub działa powodowany czystą myślą, szczęście podąża za nim jak cień i nigdy go nie opuszcza".

W swoim studium psychologicznym ludzi obdarzonych wyjątkowo rozwiniętym sumieniem Anne Colby i William Damon piszą: „Pozytywność obejmująca optymizm, miłość i radość (…) jest ściśle związana z moralnością, co dostrzegamy w życiu naszych wzorców osobowych". Budda zgadza się z ich stwierdzeniem. Mówi: „By przejść bezpiecznie przez labirynt ludzkiego życia, trzeba światła mądrości i wskazówek cnoty".

Oczywiście istnieje również złota reguła – najstarsza ludzka etyka wzajemności – oraz zapewne najbardziej zwięźle i jednoznacznie przedstawiona filozofia moralna, jaką kiedykolwiek wymyślono. Konfucjusz tylko zapisał stare chińskie porzekadło zalecające: „Nie czyń innym tego, czego nie chciałbyś, aby uczyniono tobie", a gdy Jezus powiedział: „Czyń innym tak, jakbyś chciał, aby tobie czyniono", odnosił się do już uświęconego tradycją żydowskiego przysłowia, które nakazywało: „Nie czyń bliźniemu, co tobie jest nienawistne, oto całe prawo [Tora], cała reszta to tylko komentarz". *Mahabharata* mówi wyznawcom hinduizmu: „Oto podsumowanie Dharmy: nie czyń innym niczego, co przysporzyłoby bólu tobie, gdyby ci to uczyniono". Także w tradycyjnych przekazach rdzennych mieszkańców Afryki, na przykład nigeryjskiego ludu Joruba, znajduje się uwaga: „Zanim weźmiesz zaostrzony kij, żeby nim szturchnąć pisklę, najpierw wypróbuj go na sobie, żebyś poczuł, jak boli zadany nim cios". Przywódca religijny Dakotów Czarny Łoś nauczał: „Wszystkie rzeczy są z nami spokrewnione; to, co czynimy im wszystkim, czynimy sobie. Wszystko tak naprawdę jest Jednością".

Garstka religii, które nie odwołują się do moralnej wzajemności, wywodzi się z czasów nam współczesnych. Ich mrożące krew w żyłach nakazy tylko przydają atrakcyjności moralnemu ciepłu starożytnej złotej reguły. Weźmy na przykład Ruch Twórczości (Creativity Movement), wojowniczą antysemicką i antychrześcijańską sektę, zwaną niegdyś Światowym Kościołem Stwórcy. Wyznaje ona doktrynę opartą na miłości do „białej rasy" oraz wymaga nienawiści wobec wszystkich innych. W ramach tej doktryny każdy, kto nie należy do „białych", jest z definicji członkiem jednej z „ras błotnych". Główny nakaz moralny tego ruchu brzmi: „To, co jest dobre dla białej rasy, jest najwyższą cnotą; to, co jest złe dla białej rasy, jest ostatecznym grzechem". Nic dziwnego, że Ruch Twórczości dąży do dominacji „białej rasy" nad światem.

Na szczęście większość religii i tradycji duchowych odwołuje się do złotej reguły, a także do pewnej postaci myśli Czarnego Łosia: „Wszystko tak naprawdę jest Jednością". Niektóre religie bardziej niż inne eksponują jedność jako fundamentalną zasadę. Na przykład tradycja judeochrześcijańska nakazuje swoim wyznawcom kochać bliźniego, podczas gdy wschodni mistycyzm naucza, że indywidualność – ego – jest od samego początku złudzeniem, że nie

różnimy się od Boga ani od siebie nawzajem, a zatem w sensie duchowym jesteśmy sąsiadami. W książce *Każdy krok niesie pokój* Thich Nhat Hanh, mistrz buddyjski z Wietnamu, próbuje wyjaśnić mieszkańcom Zachodu ten aspekt myśli Wschodu, mówiąc nam, że „istniejemy między sobą”[1]. Jesteśmy nieuchronnie i nierozerwalnie związani ze wszystkimi i wszystkim we wszechświecie, właśnie dlatego nie powinniśmy egoistycznie (i na próżno) dążyć do powiększania swojego majątku lub władzy.

Wiara w jedność stanowi również część tradycji judeochrześcijańskiej, chociaż tę mniej widoczną. W 1939 roku, gdy w Europie rozlegały się pierwsze pomruki kolejnej wstrząsającej próby uzyskania dominacji nad światem, żydowski teolog i filozof Martin Buber przemawiał na Krajowej Konferencji Nauczycieli Palestyńskich w Tel Awiwie. Swoje wystąpienie zakończył słowami: „Nie pozostaje nic prócz tego, co wznosi się nad otchłanią dzisiejszych monstrualnych problemów, tak jak nad każdą otchłanią w każdym czasie: trzepot skrzydeł ducha i stwórcze słowo. A ten, kto widzi i słyszy z jedności, dostrzeże również i rozpozna to, co można ujrzeć i rozpoznać z perspektywy wieczności. Wychowawca, który pomaga człowiekowi odzyskać jedność, pomaga mu stanąć twarzą w twarz z Bogiem”[2].

Bez względu na tradycję, z jakiej wywodzą się praktyki duchowe skoncentrowane na świadomości współbycia – istnienia wzajemnych powiązań między różnymi bytami – z reguły mają one intrygujące psychologiczne efekty uboczne: znacząco przyczyniają się do wzrostu zadowolenia z życia swoich najbardziej oddanych zwolenników, i to niemal niezależnie od okoliczności zewnętrznych. W książce, która powstała dzięki współpracy psychologa Daniela Golemana i Jego Świątobliwości XIV Dalajlamy, zatytułowanej *Emocje destrukcyjne – Jak możemy je przezwyciężyć? Dialog naukowy z udziałem Dalajlamy*, Goleman pisze, że „sam akt troski o dobro innych, jak się wydaje, wytwarza stan wyższego dobra we wnętrzu nas samych”[3]. W ostatnich latach coraz więcej naukowców podpisuje się pod tym stwierdzeniem. W 2002 roku na konferencji z udziałem Dalajlamy poświęconej wzajemnym związkom nauki i umysłu wybitny australijski neurobiolog Jack Pettigrew powiedział: „Po drodze do Dharamsali [miasta w północnych Indiach, głównego ośrodka społeczności tybetańskiej na uchodźstwie] wspinamy się przez mgłę w środku zimy, lecz wychodzimy w miejscu skąpanym w jasnym słońcu, zupełnie jakbyśmy znaleźli się w niebie. Od razu rzucają nam się w oczy szczęśliwe, uśmiechnięte twarze Tybetańczyków, którzy nie mają wiele, cierpią straszliwy niedostatek, a mimo to są szczęśliwi. No dobrze, ale dlaczego są szczęśliwi?”.

Sam Dalajlama pragnie uzyskać naukową odpowiedź na to pytanie, a także znaleźć sposób wzbudzenia u osób świeckich przepojonej empatią świadomości wzajemnej zależności bytów, jaką uzyskują praktykujący medytację pobożni wyznawcy buddyzmu tybetańskiego. W tym celu zainicjował on międzynarodową serię dialogów naukowców i buddyjskich uczonych. Ostatnie tego rodzaju spotkanie, współfinansowane przez Mind and Life Institute (Instytut Umysłu i Życia) w Colorado oraz Instytut im. McGoverna działający przy Massachusetts Institute of Technology, odbyło się w 2003 roku. Dzięki tym dialogom Dalajlama zamierza opracować praktyczne rozwiązania mające na celu przeciwdziałanie powstawaniu u ludzi destrukcyjnych stanów umysłu, które zarówno buddyści, jak i naukowcy uznają za źródło wszelkich konfliktów i cierpień.

Szczególne wrażenie na mnie jako psycholożce zrobiły słowa Dalajlamy odnoszące się do osób, które nazywam socjopatami lub ludźmi pozbawionymi poczucia obowiązku opartego na więzi z innymi. Określił je jako „osoby o słabo rozwiniętym ludzkim aspekcie życia”. Te słowa

zaczerpnęłam z dłuższego komentarza Dalajlamy na temat ataków na World Trade Center: „Technologia jest narzędziem dobra, lecz gdy dostanie się w ręce osób o słabo rozwiniętym ludzkim aspekcie życia, może doprowadzić do katastrofy”[4].

Jeżeli zatem rozwój lub niedorozwój ludzkiego aspektu życia zależy od funkcjonowania istoty szarej w mózgu konkretnego człowieka, buddyjska koncepcja socjopatii uwypukla jeden z najbardziej intrygujących przypadków zbieżności idei, mianowicie zbieżność religii i neuropsychologii. Może więc socjopatia stanowi lekcję życia płynącą nie z predyspozycji ani z ograniczeń o charakterze fizycznym, lecz z upośledzenia emocjonalnego? Innymi słowy, niektórzy ludzie muszą się nauczyć żyć z niezwykłą urodą, bez nóg lub w skrajnym ubóstwie, podczas gdy inni, pozbawieni sumienia, muszą się przekonać, jak wygląda życie człowieka, który nie potrafi troszczyć się o innych. Ironią losu, w tym stanie karmy, by tak go nazwać, socjopaci rzeczywiście mogą się okazać godni współczucia – takiego samego współczucia, jakim obdarzamy niewidome sieroty – niezależnie od tego, czy wierzymy w karmę.

Choć psychologia docenia wartość współczucia i świadomości wzajemnej współzależności bytów, jak dotąd psychologowie nie opracowali żadnych metod ułatwiających osiągnięcie tych stanów, pozostawiając nie tylko socjopatów, lecz także zdrowszych pacjentów sam na sam z zadaniem kształtowania własnego sumienia. Moi koledzy po fachu coraz częściej zalecają edukację moralną normalnych dzieci oraz wolontariat dorosłych jako sposoby zwiększenia ich zadowolenia z życia[5], lecz zazwyczaj znacznie bardziej interesują ich takie zajęcia jak „budowanie granic interpersonalnych” lub „trening asertywności”. Dlatego stosunek przedstawicieli tej nauki do duchowości przypomina mi raczej postawę głodnego podróżnika ze starej indyjskiej przypowieści pt. *Kamień mądrej kobiety*. Imię jej autora popadło w zapomnienie jeszcze w starożytności, a przytoczoną poniżej wersję utworu można znaleźć wśród opowiadań zebranych przez Arthura Lenehana i wydanych w 1994 roku nakładem – o ironio! – wydawnictwa Economics Press.

> Pewna mądra kobieta podczas wędrówki po górach znalazła w strumieniu cenny kamień. Następnego dnia napotkała wygłodniałego podróżnika. Mądra kobieta otworzyła tedy torbę i podzieliła się z nim swoim jedzeniem. Głodny człowiek dostrzegł drogocenny kamień w jej tobołku, zachwycił się nim, po czym zwrócił się do niej z prośbą, by mu go podarowała. Mądra kobieta zrobiła, jak prosił, bez chwili zwłoki.
>
> Podróżnik odszedł, radując się swoim szczęściem. Wiedział, że dostanie za ten klejnot tak dużo pieniędzy, że do końca życia nie będzie musiał martwić się o swoją strawę.
>
> Po kilku dniach powrócił wszakże w to samo miejsce w poszukiwaniu mądrej kobiety. Kiedy ją odnalazł, zwrócił jej kamień ze słowami:
>
> – Dużo myślałem. Wiem, że ten klejnot jest bardzo wartościowy, ale oddaję ci go w nadziei, że podarujesz mi coś o wiele bardziej cennego. Jeśli możesz, ofiaruj mi tę rzecz, która pozwoliła ci dać mi ten kamień[6].

Mądrzy i szczęśliwi buddyści tybetańscy, wśród nich z pewnością sam Dalajlama, przypominają osoby z bardzo rozwiniętym sumieniem opisane przez Colby i Damona, takie jak Suzie Valadez, która dożywia ubogich w Meksyku, lub były prezydent Haverford College John R. „Jack” Coleman, który próbował lepiej uświadomić sobie współzależność bytów, wcielając

się podczas urlopów naukowych między innymi w kopacza rowów, śmieciarza i bezdomnego. Przykłady zarówno mnichów buddyjskich, jak i osób uznanych przez psychologów za wzorce osobowe wskazują, że rozwinięta empatia zakorzeniona w ekstremalnej odmianie sumienia poprawia jakość życia ludzi i czyni ich szczęśliwymi. To szczęście nie jest przy tym wytworem żadnej strategii poznawczej ani skutkiem reatrybucji – przypisywania chwilowych niepowodzeń wpływom kosmosu, a sukcesów odnoszonych w dłuższej perspektywie czasowej samemu sobie. Wręcz przeciwnie, zdaniem Colby i Damona większość opisanych przez nich osób to twardo stąpający po ziemi realiści, doskonale zdający sobie sprawę z kondycji człowieka oraz z własnych ograniczonych możliwości wpływania na nią. Nie, wyjątkowe sumienie nie jest zwykłą adaptacją poznawczą. Wymaga ono silnej i stabilizującej świadomości bycia częścią czegoś większego niż my sami.

Sumienie wydaje się ogniwem łączącym psychologię z duchowością. Przemawiają za tym wyniki badań sugerujące wyjątkowo korzystne oddziaływanie zmysłu moralnego zakorzenionego w więziach emocjonalnych na psychikę człowieka. W religii i w duchowości ten wymiar nosi nazwę jedności, zjednoczenia lub współbycia. W psychologii określa się go mianem sumienia lub zmysłu moralnego. Niezależnie od nazwy, stanowi ono potężny czynnik integrujący ludzkie myśli, emocje i działania, którego początki sięgają naszej pradawnej przeszłości biologicznej. Za pośrednictwem naszych genów, mózgów, a może także i naszych dusz, stało się siłą opiekuńczą, twórczą i podtrzymującą nas na duchu w psychologicznym i społecznym wymiarze naszego życia. Przez tysiące lat przemawiało przez nasze najbardziej transcendentne tradycje oraz przez najbardziej godnych podziwu przedstawicieli naszej rasy. Sumienie to łagodny, cichy głos, który od powstania naszego gatunku podpowiada nam, że ewolucyjnie, emocjonalnie i duchowo jesteśmy Jednym, a jeśli pragniemy spokoju i szczęścia, musimy przestrzegać tej zasady[7].

Sumienie – i tylko sumienie – może skłonić nas do wyjścia z naszej własnej skóry i do wejścia w skórę kogoś innego, a nawet do nawiązania kontaktu z Absolutem. Sumienie wyrasta z łączących nas więzi emocjonalnych. W swojej najczystszej postaci nazywa się miłością. I co niezwykłe, zarówno mistycy, jak i psychologowie ewolucyjni, którzy w niewielu rzeczach zgadzają się ze sobą, przyznają, że ludzie ze swej natury mają raczej skłonność do żywienia pozytywnych, a nie negatywnych uczuć wobec innych. Ten wniosek zapiera dech w piersiach, gdyż oznacza odejście od naszego zazwyczaj bardziej cynicznego sposobu postrzegania samych siebie.

Teologowie i naukowcy zgadzają się również, że z naszą naturalną skłonnością do czynienia dobra kolidują dwa rodzaje błędów. Pierwszy z nich to pragnienie osobistego kontrolowania innych ludzi, a także otaczającego nas świata. Motywuje nas do tego złudzenie, że warto dominować, i to właśnie ono zakorzeniło się najsilniej w umyśle socjopaty. Drugi tragiczny błąd polega na wykluczeniu moralnym. Wiemy, jak poważne zagrożenia kryją się w stwierdzeniu, że ktoś „inny” nie zasługuje na miano człowieka – czy to przedstawiciel innej płci, rasy, cudzoziemiec, „wróg”, a może nawet socjopata? – dlatego też udzielenie odpowiedzi na pytanie, jak postępować z moralnym banitą, przysparza ogromnych trudności teologom i psychologom. Jak mamy stawić czoło potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznemu wyzwaniu, jakie stanowią dla nas „osoby o słabo rozwiniętym ludzkim aspekcie życia”? Do tej pory psychologia zupełnie nie zajmowała się tym problemem, chociaż najwyraźniej narasta on w miarę upływu czasu i rozwoju technologicznego. Kto powiedział, że diabeł nie ewoluuje?

Jeżeli chodzi o pytanie, kto wiedzie szczęśliwsze życie – osoba bezwzględnie dążąca do osiągnięcia tego, czego chce, czy my, świadomi obowiązków nakładanych na nas przez sumienie – po raz kolejny proszę was, wyobraźcie sobie, jacy bylibyście, gdyby nie wasz siódmy zmysł. Tym razem jednak, gdy przyjdą wam na myśl ogromne wpływy i bogactwa lub niekończące się nieróbstwo bez poczucia winy, pamiętajcie o tym, co sumienie – i tylko sumienie – może wam dać i co *już* wniosło w wasze życie. Wyobraźcie sobie wyraźnie twarz kogoś, kogo kochacie bardziej niż wszystkie dobra materialne, kogoś, po kogo pójdziecie do płonącego budynku, gdyby zaszła taka potrzeba – rodzica, brata, siostrę, drogiego przyjaciela, życiowego partnera, wasze dziecko. Spróbujcie wyobrazić sobie tę samą twarz – rodzica, córki lub syna – płaczącą z żalu lub uśmiechniętą, promieniejącą radością i pokojem.

A teraz wyobraźcie sobie przez chwilę, że moglibyście wiecznie szukać i nie czuć absolutnie nic, nawet odrobiny miłości, pragnienia niesienia pomocy innym, nie wspominając o chęci odwzajemnienia uśmiechu.

Nie myślcie jednak zbyt długo o tej wszechogarniającej pustce, bo u człowieka bez sumienia, który bez poczucia winy może zrobić wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy, trwa ona przez całe życie. Zamiast tego powróćcie do swoich uczuć. W myślach zobaczcie twarz osoby, którą kochacie, dotknijcie jej policzka, rozkoszujcie się jej śmiechem.

Tak oto każdego dnia sumienie nadaje sens naszemu życiu. Bez niego prześladowałyby nas pustka emocjonalna i nuda, bez niego trwonilibyśmy czas na kolejnych monotonnych próbach manipulowania innymi.

Dla większości z nas sumienie przeważnie jest czymś tak zwyczajnym, tak codziennym i tak spontanicznym, że go nie zauważamy. Lecz jednocześnie ma ono wymiar ponadjednostkowy. Stanowi stronę konfrontacji pradawnej frakcji amoralnego egoizmu, od zawsze skazanej na męki umysłu i duchowe niepowodzenia, z równie ponadczasowym kręgiem świadomości moralnej. Jako psycholożka i jako przedstawicielka gatunku ludzkiego opowiadam się za sumieniem, za osobami, które kochają i odczuwają empatię, za ich szlachetnością i łagodnością. Niesłychanie imponują mi wszyscy, którzy po prostu czują, że krzywdzenie innych jest przejawem zła, a okazywanie życzliwości przejawem dobra, oraz każdego dnia postępują zgodnie z tym, co podpowiada im ten zmysł moralny. To oni tworzą prawdziwą elitę. Należą do niej ludzie starzy i młodzi, ludzie, którzy odeszli setki lat temu, i dziecko, które jeszcze się nie narodziło. Reprezentują wszystkie nacje, kultury i religie. To najbardziej świadomi i zaangażowani przedstawiciele naszego gatunku. I są – bo zawsze byli – naszą nadzieją.

---

[1] T. Hanh, *Każdy krok niesie pokój*, tłum. T. Tyszowiecka-Tarkowska, Poznań 1997.

[2] M. Buber, *Between Man and Man*, New York 1965, s. 117.

[3] D. Goleman, *Emocje destrukcyjne – Jak możemy je przezwyciężyć? Dialog naukowy z udziałem Dalajlamy*, tłum. A. Jankowski, Poznań 2003, s. 12.

[4] Mind and Life Institute, *Investigating the Mind. Exchanges between Buddhism and the Biobehavioral Sciences on How the Mind Works*, Berkeley Conference Recording Service 2003.

[5] Przełomowa książka M. Seligmana poświęcona psychologii pozytywnej: *Authentic Happiness. Using the New Positive Psychology to Realize Your Potential for Lasting Fulfillment*, New York 2002.

[6] Kamień mądrej kobiety, cyt. za: adonai.pl/opowiadania/zycie/?id=11 (przyp. tłum.).

[7] Chciałabym podziękować wybitnemu badaczowi stosunków międzynarodowych Jamesowi A. Nathanowi za zwrócenie mojej uwagi (w rozmowie) na fakt, że cytowane hebrajskie określenie *kol demama dakah* (ten cichy wewnętrzny głos) pochodzi z opowieści o proroku Eliaszu, „który przeżył pożary, trzęsienia ziemi i różne okropności, a potem usłyszał cichy, łagodny głos Boga i sumienia”.

Spis treści:

Karta tytułowa
Podziękowania
Od autorki
Wstęp. Wyobraźcie sobie
1. Siódmy zmysł
    Czym właściwie jest sumienie?
    Historia sumienia
    Sumienie kontra superego
2. Zimni jak lód: socjopaci
    Super Skip
    Reguły gry
    Czy socjopaci wiedzą, że są socjopatami?
3. Kiedy normalne sumienie śpi
    Wykluczenie moralne
    Nowe szaty cesarza
    Gdzie sumienie wyznacza granice?
    Posłuszeństwo – sumienie 6 : 4
4. Najsympatyczniejsza osoba na świecie
    Siwy dym i lustra
    Socjopatia kontra przestępczość
5. Dlaczego sumienie jest częściowo ślepe
    Narzędzia pracy
    Gasnący płomień
    Jak zachować ostrość siódmego zmysłu
6. Jak rozpoznać osoby pozbawione skrupułów
    Biedny Luke
7. Etiologia braku poczucia winy: co powoduje socjopatię
    Wychowanie
    Kultura
    Wojownicy
8. Socjopata z sąsiedztwa
    Jak postępować z osobami pozbawionymi sumienia
    Epilog
9 . Pochodzenie sumienia
    Dylemat Heinza
    Pora na płeć i kulturę
    Uniwersalna więź
10. Wybór Berniego: dlaczego lepiej mieć sumienie
    Przegrani zwycięzcy
    Czy to wszystko?
    Sumienie ekstremalne
11. Dzień świstaka

12. Sumienie w najczystszej postaci: nauka opowiada się za moralnością
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
The Sociopath Next Door. The Ruthless Versus the Rest of Us

Copyright © 2005 by Martha Stout

Copyright © for the translation by Rafał Śmietana

This translation published by arrangement with Harmony Books, an imprint of the Crown Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

Projekt okładki
Magda Kuc

Fotografia na okładce
Copyright © Gabriella Imperatori-Penn / Stone / Getty Images

Opieka redakcyjna
Anna Niklewicz
Przemysław Pełka
Artur Wiśniewski

ISBN 978-83-240-4700-0

znak litera nova
Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com